

# Tropy



*Przedmiotem mojej sztuki są drukiem dla Ciebie i  
my trafiło do deligranta i ty po Warszawie, od  
a dzieje się naprawdę i z tego kochankami*

FRANCISZEK MIRANDOLA

## Tropy

### Zatruta studnia

Łan niezmierny leżał pod żarem słońca. Na puszystym dywanie wybielałego od promieni złota uwijali się żeńce.

Człowiek z wiadrem siedział na cembrowinie studni i spozierał<sup>1</sup> zadumany wokół.

Miał przykaz poić wszystkich spracowanych, gdy pić zapagną.

To był jego urząd. Ochotnie wziął sznur z rąk poprzednika, który odszedł zwolniony ze służby we właściwym czasie.

Silnymi ramionami<sup>2</sup> pełnił wiadro dobytą z głębi ziemi krystaliczną wodą.

Przychodzili rozradowani, świadomi, że pracują, jak trzeba, i chłodzili czoła na powiewie wiatru, nim usta przytknęli do wody.

Przychodzili też okryci kurzem drogi wędrowcy ze stron widać dalekich, nie będący pracownikami na złocistym łanie. Twarze ich były obce, ubiory nieznanne, mowa dziwna.

I tym dawał pić wedle przykazu.

Zgłaszali się też próżniacy, szydzący z pracowników, ciskający im słowa szydercze. Spragnione ich usta pożyły napoju.

I tym dawał wedle przykazu.

Najchętniej nachylał wiadro ku ustom dzieci zgrzanych, spoconych, zmęczonych zbytkami<sup>3</sup>.

Poił spragnionych, bo ten był cel życia jego. A że myśli jego nie zajmowało w zupełności to zajęcie, przeto pozwalał im krążyć, gdzie chciały.

Zrazu latały wokół ponad łanem i przyglądały się żeńcom.

Byli tam młodzi chłopcy, chylący się elastycznie ku ziemi, dziewczęta w jasnych strojach roześmiane i zalotne, starzy ludzie osiwiali w pracy, poglądający często ku niebu, kobiety wiekowe w czarnych szatach, szepczące pacierze. Łzy padały gęsto z oczu tych kobiet, a spojrzzenia szukały raz po raz mogił, kędyś w łanie życia skrytych.

Byli tam kapłani głoszący nauki pracującym. Podnosili ręce nad pochylonymi głowami, darząc pracowników błogosławieństwem niebiosów<sup>4</sup>.

Nie brakło też kramarzy z pudłami pełnymi tandety i wrzaskliwych skoczków zachęcających do wesołości.

Wróciwszy sponad łanu, myśli usiadły na cembrowinie studni, pytając:

— Gdzie teraz polecimy?

— Lećcie wzdłuż gościńców dalekich, snujących się bezmiarem widnokregu.

Poleciały.

Wzbiły się zrazu w niebo, by obrać kierunek, potem ruszyły każda w inną stronę świata.

Człowiek z wiadrem pełnił tymczasem dalej swą powinność, w duszy miał przy tym wielką ciekawość, co mu też jego myśli przyniosą. Siedział i pracował i tak był zajęty, że

<sup>1</sup>spozierać (gw.) — patrzeć. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>ramiony — daw. forma N.lm; dziś: ramionami. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>zbytek — tu: zabawa. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>niebiosów — dziś popr.: niebios. [przypis edytorski]

nie spostrzegł, iż jedna z myśli nie poleciała wraz z innymi, ale siedziała na cembrowinie niepewna i zakłopotana, strzepując jeno czasem skrzydełkami.

— Czemu zostałaś tutaj? — spytał, spostrzegłszy ją nagle.

— Chcę się udać gdzie indziej! — odpowiedziała.

— A dokądże się to chcesz udać?

— Chcę zejść w głąb studni.

— Po co?

— Chcę poznać, skąd płynie woda, chcę przebyć całą drogę źródła i widzieć, gdzie jego początek.

— Więc idź!

— Nie mogę tam zejść gołębiem. Przyzwól mi przemienić się w małą rybkę albo pajęczka wodnego, albo kreta, lub inne jakie stworzenie, tak bym mogła zaspokoić me pragnienie.

— Dobrze! — odparł — daję ci moc przybierania postaci, jakich ci będzie potrzeba. Idź i opowiedz, coś widziała.

Znikła, plusnąwszy we wodę, a człowiek z wiadrem pracował dalej, bardziej jeszcze niż przedtem ciekawy na to, co mu jego myśli przyniosą, i spoglądał często w dal, ku skrajowi widnokrzęgu.

Gdy tak patrzył, ujrzał nagle daleko na równi jakąś postać idącą w jego stronę.

Nieznajomy był biało odziany i połyskiwał na tle zieleni jak obłok srebrzystego oparu.

Ale obowiązek nie pozwolił Człowiekowi z wiadrem wpatrywać się długo w oddal. Zgłaszali się ludzie, których musiał napoić.

Pracował wytrwale. Wszyscy jednak, którym przychyłał wiadra, wydali mu się teraz mniej piękni, mniej godni. Dostrzegał brud ich rąk i twarzy, rzucały mu się w oczy ślady wyuzdania w ich rysach, w podkrążonych oczach widział szal cielesny, w drzeniu rąk skutek nałogów brzydkich. Młodzieńcy wydali mu się łakomymi samcami, ludźmi żądnymi uciech, dziewczęta rozpustnicami. Starcy wyglądali na skąpców i bezmyślne ruiny, wiekowe kobiety na pozbawione czucia i pobożności dewotki, kapłani nawet przedstawiali mu się teraz bez wiary, bez zdolności do uniesień... świat mu cały zbrzydł i szerniał w oczach.

Pragnął, by nastąpiła chwila spokojna, kiedy będzie mógł zobaczyć, co się stało z dziwnym nieznajomym.

Gdy napoił ostatniego, postawił puste wiadro na cembrowinie, wstał i przysłoniwszy oczy ręką, zapuścił spojrzenie w dal.

— Bądź pozdrowiony!

Głos jakiś rozebrzmiał tuż obok.

Spojrzał zdumiony i zobaczył, że nieznajomy siedzi na wielkim kamieniu przy studni.

Skłonił się przed nim głęboko. Potem ujął silnymi ramionami linę i wyciągnął świeżej wody.

Pochylił wiadro ku jego ustom.

Nieznajomy uczynił gest odmowny.

— Nie piję tej wody — powiedział.

Człowiek z wiadrem stał zadziwiony i patrzył na przybysza, a im dłużej patrzył, tym bardziej rosło jego zdumienie.

Szata nieznajomego biała była i połyskiwała jak srebro, mimo dalekiej wędrówki czy sta, niepokalana. Spadała z jego ramion w precyzyjnych fałdach, niepodobna zgoła do ubiorów ludzi współczesnych. Ni rąbek jej dolny nawet nie nosił śladu pyłu lub błota, iż wydawało się, że nieznajomy nie dotyka stopami ziemi, ale unosi się ponad nią, jak anioł.

Kapelusz złożył na trawie.

Twarz jego okalały długie, ciemne włosy, spadające w kędziorach na ramiona.

A twarz sama...

Człowiek z wiadrem wpatrywał się w tę twarz długo. Zrazu zgoła nieznaną, coraz mu się wydawała bliższą, bardziej pamiętną, podobniejszą do twarzy zapamiętanych kiedyś...

— Znasz mnie? — spytał nieznajomy.

— Nie wiem... coś sobie przypominam.. — odparł z wahaniem. Potem dodał: — Wyglądasz, panie, jak ktoś znany mi...

— My wszyscy mamy podobne rysy... wszyscy...



— Któż to wy jesteście? — spytał.  
— My wszyscy, niepijący tej wody! — odpowiedział przybysz.  
W tej chwili szum się rozległ w powietrzu nad głowami rozmawiających.  
Człowiek z wiadrem spojrział w górę i zobaczył stadko gołębi.  
Były to jego myśli, które wróciły z drogi.  
Sfrunęły na dół i przypadły do kolan nieznajomego, tuląc się doń miłośnie.  
Brać je łaskawie po kolei i przyciskał do piersi.  
Od dotknięcia jego rąk i szaty stawały się srebrzyste i piękne.  
Gołębie opowiadały, co widziały.

Jak daleko sięgnąć mogły wzrokiem, wszędy na całym świecie pracowali ludzie. Ścinali lasy, karczowali poręby, drążyli się w głąb ziemi, szukając kopalin użytecznych, inni zaś, pozornie nic nie czyniąc, wyteźali myśl nad sprawami świata, albo znów dumali o tym, żali w zaświatach, w przepastnych głębiach przestrzeni, znajdują się twory podobne ludziom, stworzone na ich podobieństwo. Znów inni zatapiali się w pytaniach o początku i sensie świata, byli zaś i tacy, którym ponad wszystko stało prawić, jak to żyć trzeba poczciwie i zgodnie z wolą bożą.

Wszędy zaś, przy każdej gromadzie siedział zawsze Człowiek z wiadrem i poił spragnionych wodą dobytą z głębi ziemi, wspólnej rodzicielki wszystkich.

Gdy to mówiły gołębie, zjawili się u studni ludzie, pić żądający.  
Człowiek z wiadrem wstawał niechętnie i napoił ich, a oni odeszli.

Ale zbrakło wody dla ostatniego.

Człowiek z wiadrem musiał znowu napracować się niemało, nim naciągnął wody.

Gdy wiadro stanęło na cembrowinie, nagle plusnęło coś i wyskoczyła na trawę małeńka, złocista rybka.

Poderwała się raz jeszcze w górę i przemieniła nagle w skrzydlatego gołębia, który usiadł na cembrowinie studni.

Gołąb był zadyszany i drżał ze zmęczenia czy strachu.

— Opowiadaj! — ozwał się nieznajomy. Człowiek z wiadrem pochylił się ku niemu i szepnął:

— Panie... może lepiej będzie poczekać, aż ten oto nasyci się i odejdzie.

— On nie zrozumie... — odparł nieznajomy. — On nawet nie widzi mnie, ni tego gołębia, ani słów, jakie zamieniamy, nie pochwyli. Nie znasz, widzę, ludzi...

— O panie! — zaczął gołąb. — Przybierałem różne postaci i dotarłem wszędy<sup>5</sup>, gdzie dotrzeć może myśl człowieka. Posuwałem się pod bieg<sup>6</sup> wody, zaglądnąwszy wszędy, skąd się sączy choćby jedna kropla. Przy samej studni toruje sobie drogę źródło przez wielki, stary grobowiec, oplukując kości poległych w jakichś dawnych zapasach, powyżej<sup>7</sup> jest złożone zbioro zardzewiałych, kopii i mieczów starożytnych. Widziałem, jak krew ludzka mięsza<sup>8</sup> się z wodą, jak w nią wsiąkają ostatnie westchnienia konających, ich kłątwy i ból. Płynię przez zacisnięte pięści i zakamieniałe serce, oplukuje czarne zgliszcza popalonych wsi i miast, napawa się słonymi łzami sierot i wdów. Przez całą drogę nie spotkałem najmniejszej przestrzeni, gdzie by źródło płynęło przez nietknięte niedolą ludzką pokłady. Czy starsze, czy młodsze mijalem warstwy, wszędy widziałem, jak woda zabiera i unosi z sobą ślady bólu i grzechu, jak się pełni<sup>9</sup> trucizną okropną, trupim zakaża się jadem.

Granitowych chyba starych skał dawnych epok sięgnąć by musiało źródło, by dotrzeć do czystych, nieskalanych miejsc, pozostałych z czasów, kiedy nie było człowieka na ziemi.

Ale stamtąd nie biją źródła.

Nieprawdą jest, że woda czyści się, ciekąc przez ziemię. Krystaliczność jej to pozór tylko. Żadna nauka nie wykryje składników, jakie zawiera. Czyż można to zbadać?

O, zaprawdę teraz wiem dobrze, że ludzie stąpają po zmarłych, karmią się ich ciałem i piją ich ból i ich grzech.

I dlatego są, czym są.

Gołąb zamilkł, a Człowiek z wiadrem obrócił wzrok na nieznajomego.

<sup>5</sup>wszędzy — wszędzie. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>pod bieg — pod prąd. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>powyż — dziś popr.: powyżej. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>mięszać (daw.) — dziś popr.: mieszać. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>pełnić się — napełniać się. [przypis edytorski]

Siedział zamyślony.  
Nagle stuknęło coś.  
Obejrzeni się obaj.  
Spragniony objął ciężkie naczynie i przyłożył usta do jego brzegu.  
Człowiek z wiadrem rzucił się ku niemu, chcąc mu wzbronić napoju.  
— Niech pije... niech pije! — powiedział nieznajomy i dodał: — Czyn, co ci zostało przykazane.  
— Jakoż to będę mógł teraz czynić, o panie? — jęknął boleśnie Człowiek z wiadrem.  
— Jakoż to będę mógł teraz czynić?  
— Będiesz mógł czynić przez cały czas, jaki ci został przeznaczony, jeśli zaprzestaniesz gołąbę wypuszczać swobodnie, gdzie im się latać spodoba.  
Wstał z kamienia, skinął mu przyjaźnie głową i odszedł z wolna.  
Za chwilę majaczył już tylko jak opar srebrzysty na bezkresnej, szafirowej dali.

## Ulica Dziwna

Po wąskich, krętych, lichu oświetlonych schodach wydostał się na trzecie piętro starego, zamieszkałego przez biedaków domu i otworzył drzwi wielkim, niezdarnym kluczem.

Był zmęczony długą służbą w biurze telegraficznym. Ile razy wracał do siebie, tętniło mu w głowie, stukano najniemożliwsze<sup>10</sup> rzeczy. Dopiero po dwu szklankach herbaty z rumem wyjaśniała mu się duchowa sytuacja, ale i ona nie była najlepsza. Widział przed sobą nieskończenie długie lata pracy beznadziejnej, jednostajnej, męczącej i głupiej.

Zaświecił małą, krzywą lampkę, przysłoniętą papierową umbrą, wdzianą na szczątki właściwej szklanej umbry, która przed latami już utraciła blisko połowę swej peryferii.

Pokój, a raczej pokoik i kuchnia, wydzielone z większego mieszkania, zajmowanego przez jakiegoś dziwnego nabożeństwa damy, był brudny, zaniedbany i wyglądał bardzo nieprzyjemnie. Ale polubił je z biegiem czasu, jak człowiek ostatecznie polubić musi każdą rzecz, z którą obcuje ciągle. Więźniowie przywiązują się do swej celi równie dobrze jak bogacz do wspianego gabinetu... bardziej może, bo ciasnotę wypełniają myśli i sny... jedyne dobro człowieka biednego. Śni się i zdaje się, że tyle... jeszcze tyle przed nami.

Zapalił maszynkę naftową i poszedł do kuchni po wodę. Wyciągnął rękę, chcąc odkręcić kurek, gdy nagle zatrzymał się.

Z dzioba wodociągu spadały krople. Machinalnie wsłuchał się w ten szybki rytm nieregularnie kapiącej wody.

Czytał pośpiesznie:

— Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna...

Zimny dreszcz go przeszedł. Potem szybko przebiegł myślą adresy dzisiejszych depeš.

Nie, takiego nie było. Ulica Dziwna...

Czyż była taka ulica w mieście?

Słuchał dalej:

— Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna liczba 36... — wypukiwały krople.

Otrząsnął się i czyniąc wielki wysiłek, odkręcił z impetem kurek. Woda rzuciła się w muszlę, opryskując go tak, że się musiał cofnąć. Z pełnym saganem wrócił do pokoju i postawił go na maszynce. Potem zwrócił się ku patyczkowej półce, gdzie się mieściły różne graty i parę książek, wziął flaszkę, nalał kieliszek rumu i wychylił go duszkiem. Uczyniło mu się ciepło, po chwili zaś rażnie i wesoło.

Siedział na łóżku i patrzył w niebieski płomień nafty, obejmujący naczynie zakopcone, podrapane, biedne jak wszystko naokół.

Zawiśł oczyma na półce, gdzie były książki, ale odwrócił po chwili głowę.

— Ulica Dziwna — przemknęła mu przez myśl. — Gdzież to może być?

Uczuł, jakby wstępował na jakiś zgoła odmienny poziom odczucia, spostrzegł się na chwilę na innej płaszczyźnie świadomości, otoczyły go dziwne zjawy, nieznane. Ale po chwili otrząsnął z siebie to przywidzenie.

<sup>10</sup>najniemożliwszy — dziś popr.: najbardziej niemożliwy. [przypis edytorski]

— Głupstwo! — rzekł do siebie głośno. — Oto skutki tego mego idiotycznego zawodu.

I zatroskał się, co się z nim stanie za rok, za dwa, dziesięć...

— Oszaleję... na pewno oszaleję! — powiedział znów głośno. Potem wstał i udał się do kuchni... Nie zdawał sobie sprawy, po co tam idzie. U drzwi przystanął i wytężył słuch.

Z wodociągu padały w muszlę krople wody.

— Psiamać — rzekł znowu.

Zawrócił szybko, ale nim doszedł do łóżka, stanął, namyślił się i po chwili był już w kuchni.

Stanął u drzwi.

— Ulica Dziwna, liczba 36... ulica Dziwna liczba 36...

Tak nie ulegało wątpliwości, woda wydzwaniała te słowa.

Szybko podbiegł do wodociągu i zakręcił kurek, jak mógł najsilniej.

Krople przestały padać...

Odetchnął. Czekał jednak jeszcze, niepewny, co będzie. Cisza była zupełna, z dołu tylko od podwórza dobiegał pogłos przyciszonej rozmowy i gdzieś pod nim kwiliła niemowlę.

Wrócił do pokoju zupełnie uspokojony. Podniósł nakrywkę sagana. Kłęb pary rzucił się w górę. Nasypał do imbryka herbaty i czekał. Rozległ się dzwonek.

— Tośka! — powiedział do siebie. — Dobrze!

Był zadowolony, że nie pozostanie dzisiaj sam w mieszkaniu.

— Serwus! — przywitała go wesoło, objęła za szyję i pocałowała w same usta.

Potem rzuciła na łóżko kapelusz i okrycie.

— Co słychać? — pytała — Cóżes taki jakiś osowiały? No, gadaj! Możeś sobie wczoraj dał na piec... ej, ty paskudny człowieku!

— Nie, nie... — bronił się. — Jestem przemęczony, piekielnie przemęczony, a o urlopie mowy nawet nie ma. Zróbże herbaty!

— Gdzież to idziesz? — spytała, widząc, że wychodzi z pokoju.

— Nigdzie! Zobaczą tylko...

Wszedł do kuchni... i zdumiał się, a nawet przeraził.

Z wodociągu kapaly krople. Nie wysiłał się już nawet, by słuchać, wiedział, co będzie.

— Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna...

Wrócił i stanął przy stole, który Tośka już trochę zdołała uporządkować.

— Przyniosłam coś dobrego! — szczebiotała. — Zgadnij co... no zgadnij!

Nie odpowiadał, aż spojrziała zdumiona.

— Jezus Maria! Jakiś ty błady! — krzyknęła. — Co ci się stało? Powiedz! Może byś się położył... tak, tak... kładź się zaraz! Wypijesz herbatę w łóżku. Popatrz no, co przyniosłam... jaka śliczna mieszanina... prawda?

Patrzyła mu przymilnie w oczy, uśmiechała się.

— Od paru dni jesteś błady! Czy cię co boli?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Chodź no ze mną! — powiedział poważnie.

Zdziwiła się, ale posłusznie poszła do kuchni.

— Słuchaj! I powiedz mi, co słyszysz! — rzekł tajemniczo.

Przeraziła się na dobre.

— Co ci jest Franek! Boże drogi... co ci jest?

— Pst! — wyszeptał, kładąc palec na ustach. — Słuchaj pilnie!

Słuchała, szeroko otwarte oczy wlepiwszy w jego twarz.

— Nie słyszę nic! — odparła po chwili. — Ktoś rozmawia na podwórzu, płacze dziecko i kapie woda...

— Otóż to właśnie... — szepnął — woda... ale co kapie: słuchaj!

— Boże drogi... czy ja wiem? Prawda... to trochę podobne do telegrafu... tak, coś stuka... ale nie wiem co... wszak nie umiem telegrafować. Puk... puk puk... puk... puk... i tyle. Mój drogi, wszakże to czyste dzieciństwo! Niechże sobie kapie. Sam wiesz dobrze, że to dzieciństwo... jesteś zmęczony i na tym koniec... Chodź, kładź się!

Pociągnęła go w stronę łóżka.

— Rozbieraj mi się zaraz! — powiedziała stanowczym tonem.

— Ale cóż znowu... — bronił się. — Wszakże dopiero ósma, ledwo się na dobre ściemniło.

— Rozbieraj się... jesteś chory...

— Nie, nie, wypijemy herbatę, a potem zobaczą. Nie jestem zresztą chory, głowa mnie tylko trochę boli. Dajże spokój... przyznaję, że mi się czasem trochę kręci w mózgu, gdy wrócę z biura. To straszny zawód, Tośka, powiadam ci... straszny zawód.

Krzątała się wkoło stołu zadowolona, że mówi rozsądnie.

— Masz tobie! — zawołała nagle. — Zabrakło cukru... Czeka, skoczę do sklepiku na rogu.

— Pozwól... ja pójdę! — rzekł pospiesznie. Wziął kapelusz, zarzucił na ramiona okrycie i wyszedł.

Przechodząc przez kuchnię, zamknął oczy, by nie widzieć przeklętego wodociągu. Ale uszu zatkać nie mógł, posłyszał przeto owo wstrętne, głupie kapanie, które brał za jakąś dziwną depeszę.

— Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna... liczba 36...

Goniło za nim, gdy szybko zstępował na dół.

Poszukał oczyma policjanta. Ujrzał go na końcu ulicy stojącego na przeciwległym trotuarze. Przed sklepikiem zawahał się, sięgnął do kieszeni, zwolnił kroku. Ale po chwili, party jakimś przymusem, minął drzwi sklepiku i ruszył spiesznie przed siebie. By przystąpić do żołnierza, musiał przejść w poprzek ulicę. Nie namyślając się, wstąpił wbrew swojemu przyzwyczajeniu, w błoto. Doznał tylko na sekundę niemiłego wrażenia, jakby zdziwienia, że oto robi coś zgoła głupiego, ale brnął dalej.

— Proszę pana — rzekł, uchylając kapelusza — gdzie to jest ulica Dziwna... Zna pan tę ulicę?

Policjant spojrział nań z góry. Obserwował go przez długą chwilę, potem obrócił się na pięcie i odszedł wolnym krokiem. Był widocznie obrażony.

Odetchnął głęboko. Gdyby wypadło, byłby ucałował stróża bezpieczeństwa publicznego. Więc wszystko to jest zwyczajnym głupstwem, pomyślał.

Zawrócił i zaczął szybko iść w kierunku sklepiku, gdzie się jeszcze świeciło.

W sklepiku było trochę ciasno. Stał przy ladzie obok jakiegoś starszego jegomości, który widocznie nie był całkiem trzeźwy. Cuchnęło odeń silnie. Z trudem szukał pieniędzy w kieszeni spodni i liczył potem mozolnie.

Coś go tchnęło i spytał po cichu:

— Proszę pana... czy zna pan ulicę Dziwną?

Jegomość liczył dalej pieniądze, nie dosłyszał pytania. Wreszcie otrzymał swój pakiet, ale nie wychodził. Znaleźli się razem na ulicy.

— Młodzieńcze — spytał jegomość — jak się nazywasz?

— Franciszek Szary! — odparł zdumiony.

— A ja Jan Bylejaki! Tak się teraz nazywam, od kiedy chadzam na ulicę Dziwną...

— Gdzież ta ulica?

— Chciałbyś wiedzieć? Co?

— Chciałbym.

— A masz dużo do stracenia? Ile?

— Pieniądzy... pieniędzy... pieniędzy niewiele... — bąkał.

— Nie pieniędzy! Ale czy masz dużo do stracenia w życiu?

— W życiu... nic... prawie nic...

— No to dobrze! Chodźmy...

Zrobiło mu się jakoś dziwnie. Nie miał zaufania. Wolałby iść sam.

— Czeka na mnie ktoś...

— Kobieta?

Milczał.

— Pluń na to, powiadam ci! Pluń! Chodźmy. Ale mówię ci z góry: stamtąd powrotu nie ma. To wiedz wprzód. Ciałem wrócisz, duszą nigdy! Nigdy!

Szarym wstrząsnął dreszcz. Ten człowiek nie był pijany. Wyrwał ramię, które tamten ujął po przyjacielsku.

— Nie. Nie pójdę. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie to jest.

— Wszędzie i nigdzie.

— Nie rozumiem.

— Wiem to. Teraz powiedz mi, skąd wiesz o tej ulicy.

— Nie mogę powiedzieć!

— No to już dobrze! — zaśmiał się stary. — Nie powiedział ci tego, przypuszczam, żaden porządny człowiek.

— Nie, to mi się tak przywidziało.

— Wybornie! Wyśmienicie! — radował się Jan Bylejaki. — Jednemu się to przyśni, drugiemu się zjawi na jawie w danym momencie. Wybornie. Powiadam ci: chodźmy! Wzbraniał się.

— Niech mi pan powie, gdzie to jest i co tam jest. Pójdę sam.

— Tego nie ma nigdzie! Rozumiesz? Tak jak nie ma nigdzie szczęścia ani miłości, ani dobroci, ani jasnowidzenia. Ale to jest wszędzie, bo nastąpić może jak tamto wszystko, w tej chwili i za sekundę możesz stanąć na ulicy Dziwnej, która wiedzie poprzez życie. Ulicą Proszą, Dostojną, Senatorską chodzą tak zwani ludzie porządni, my zaś chadzamy ulicą Dziwną, Przepastną, Zaświatową.

— A jednak chciał mnie pan gdzieś prowadzić...

— Gdzie? Do siebie, do mego mieszkania. Chciałem cię uczynić swoim uczniem.

— Tyle tylko... — odrzekł rozczarowany. — A jednak ja wiem, że jest to gdzieś... przy ulicy Dziwnej, liczba 36.

— To numer domu, w którym mieszkam.

— Dziwne! Dziwne! — szeptał Franciszek Szary. — Skąd mi się to mogło przywidzieć?

— Nie pytaj, to za trudne pytanie na dziś. Kiedyś sam sobie na nie odpowiesz. Chodź, powiadam ci. Zostaniesz moim uczniem.

— I cóż z tego?

— Czuję, że jesteś powołany... Wskażę ci drożynę, którą się wychodzi poza łąny uprawne życia na cudne, wolne, boże bezdroża...

— I cóż tam znajdę?

— Wolność i mądrość. Zachwyty, jakich nie pomieści pierś ludzka, miłość, która by cię dziś zamieniła w garstkę popiołu. Wyszkolę twe serce, by stać się kiedyś mogło czarą pełną niebiańskiego nektaru.

Słuchał zdziwiony, przerażony.

— Przyjdę jutro... — rzekł wymijająco.

— Nie przyjdiesz nigdy, jeśli nie przyjdiesz dziś. Chodź ze mną.

Franciszek Szary wyrwał ponownie ramię, szarpnął się w tył i powiedział stanowczo:

— Przyjdę jutro!

— Nie ma jutra, jest tylko dziś... Znalazłeś skarb, a chcesz go podnieść jutro dlatego, że dziś masz zbierać łachmany? Pomyśl tylko... pomyśl!

Franciszek Szary zdjął kapelusz, czując zimny pot na czole. Drżał nerwowo.

— Proszę pana o adres! Zaręczam, że przyjdę jutro wieczór i rad będę posłuchać pana. Dziś doprawdy nie mogę!

— Nie możesz... — zaśmiał się cicho — Ach! Wiedziałem o tym, że nie możesz. Tyłu was już było. Żaden nie mógł, każdy musiał spełnić jakiś obowiązek... właśnie w tej chwili... przy ulicy Pańskiej, czy Oczywiściej, czy Pięknej... Dobrze... idź, idź...

— Daj mi pan adres! — prosił.

— Adres? Znasz go przecież...

— Nie znam! Daj mi pan adres dokładny...

Jegomość odwrócił się i poszedł bez słowa. Franciszek Szary patrzył za nim z głębokim żalem.

Nagle zadrżał. Stary uszedłszy kilka kroków, znikł nagle, jakby się zapadł w mrok. Strach nagły zatrząsł patrzącym. Przetarł oczy i spojrzął wokół.

Spostrzegł, że stoi w sklepiku oparty o ścianę. Właścicielka patrzyła nań ze współczuciem.

— Słabo się panu zrobiło?

Nie odparł nic. Zapłacił, wziął swój pakunek i szybko pobiegł do domu.

W susach dostał się do swego mieszkania, szarpnął drzwi i stanął jak wryty.

Nadślułował z wyteżoną uwagą, nie spuszczać z oka wodociągu.



Ni kropla nie padła w muszlę.  
Zatrzął nim straszny, niepohamowany żal. Wpadł do pokoju i zwracając się do Tośki, wrzasnął, aż szyby w oknach zabrzękły<sup>11</sup>.  
— Precz!  
Wskazywał drzwi, stał blady, zęby mu szczękały.  
— Zwariowałeś? — spytała przerażona.  
— Precz! — powtórzył i tupnął nogą. Zaczęła zbierać części ubrania, blada, smutna, obrażona do głębi duszy, a piersiami jej wstrząsał jęk okropny.  
On zaś czując, że się nogi pod nim uginają, padł na łóżko i wybuchnął strasznym płaczem.  
— Franek! Franek! — zawołała przez łzy. Objęła go za szyję i płakała razem z nim.

## Wolność

Niewysłowiona nim owładnęła radość.  
Powód?  
Równie nieznany, jak w gruncie rzeczy nieznane jest wszystko.  
Przecież to takie proste. Budzisz się pewnego ranka... i wyciągasz ręce do świata, by go objąć, by go ucałować.  
Zazwyczaj w sekundę potem dostajesz prztyczka w nos.  
Na przykład... Zresztą i na cóż przykładów...  
Ale są takie dni, kiedy prztyczków owych nie czujesz... po prostu rozśmieszają cię one tylko... ot całkiem jakby ich celem był nos twego np. krawca.  
I cóż dziwnego, że się w dniu takim radujesz?  
Pomieszana tu, jak widać, przyczyna ze skutkiem i nie wiadomo już... co było na początku.  
Dość, że rozpierała go po prostu radość.  
Chciał pocałować świat.  
Zbudził się tego ranka w bajecznym kraju swobody.  
Wszystko, co go otaczało, było piękne i nowe.  
Pokój wielki, widny, świeżo malowany, wokoło ogrody...  
*Ignoruję was!*  
Tak napisał na lamusie pełnym wczorajszych trosk i o dziwo... troski one, wspomnienia, żale i niemiłe obrazki z dni minionych... przepadły.  
Przyszła fala radości i zmyła wszystko do żywej skały. Nie zostało nic... prócz miejsca na rzeczy nowe.  
To były jakieś, *sit venia verbo*<sup>12</sup>, miodowe sekundy, jakieś momenty małżeństwa tajemniczego z nową formą zewnętrzną, w jakiej się ukazał świat... ten stary, a tak wśmienicie zawsze ucharakteryzowany komediant.  
Szukał formy wypowiedzenia się i latał po pokoju. Nie biegał, nie! Latał. Dotykał jeno ziemi, ale tak sobie z grzeczności, niepotrzebnie... Właściwie latał... nie chciało mu się tylko tak znów całkiem dokładnie machać skrzydłami...  
Oczywiście, Oczywiście! Przytakiwał zgłaszającej się do życia formie. Wybierał. Ale nie uznał żadnej.  
Zdawało się, że wreszcie uwieńczy najstarszą z nich.  
Kołysały nim rytmy, bajecznie te same, a cudne jakieś, nieznane... i znów... oklepane... ach! jakże oklepane!...  
Złapał się za głowę, omal że nie począł śpiewać.  
A wracały ciągle. Ile razy wyjrzał przez okno, ile razy zachwycił w oczy tego słonecznego, złotego blasku, którym tam na świecie przepojone było wszystko, tyle razy czuł, że na nowo rozpoczynają nim kołysać rytmy cudne jakieś, a znane dobrze, choć znowu pełne nowej, przedziwnej, niewypitej treści, choć tę samą czarę tyle razy miał przy wargach...

<sup>11</sup>zabrzękły — dziś popr.: zabrzęczały. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*sit venia verbo* (łac.) — jeśli się tak wolno wyrazić; jeśli tak można powiedzieć. [przypis edytorski]

Stanął na chwilę. Potem, jakby się namyślił, usiadł przy stole i na ćwiartce listowego papieru zaczął pisać:

*Moja jedyna!*

Ale tylko tyle był w stanie nakreślić. Powinien zaś być nierównie więcej i to od dawna już...

Cała ta ogromna radość miała być... tak się wydawało przez chwilę, powierzona tej ćwiartce papieru *tant bien, que mal*<sup>13</sup>... i iść kędyś, daleko, cieszyć drugą duszę.

Ale o ileż łatwiej byłoby list taki malować, niż pisać: pokój jasny, czysty, ściany pięknym kryte deseniem, a pod oknami czuby kwitnących czeremch. To przede wszystkim. Dalej zaś, po obu stronach niedawno dopiero wyciętej ulicy... ogrody, wielkie, zapuszczone od niepamiętnych widno<sup>14</sup> czasów, ogrody. Pozłoczone były kopyły widnych w dali kościołów, a także i kolki w rozwalonym do połowy płocie, co koślawo, niezdarnie biegł pomiędzy parcelami. Wypolerowane były wszystkie klamki u drzwi, wyczyszczone szyby domów, obmyte tramwaje skrzypliwe, dorożki rozklekotane, konie, psy, ludzie, a wszystko przysłaniała przecudna, nie do określenia przezroczyista mgła. Czuleś czystość samej nawet kałuży błota... krystaliczną dostojność brylantowej powierzchni z odbiciem cudów nieba i ziemi. Co tam... gdzieś, w głębi... o tym DZIŚ i mowy nie ma. Owo DZIŚ takie wydało rozporządzenie, takie hasło. Idzie dziad kościelny. Szara, czerwonym krzyżem znaczone opończa błyszczą na słońcu, podobnie jak i brudne koszulki dwojga dzieci, co czerpią skorupkami wodę rynsztoka, starając się napęlić nią stary, słomiany kapelusz. Szkoda, że nie widać karawanu. Jakiż byłby dzisiaj? Zapewne purpurowy, ognisty, słońcem na kolor radości malowany... A posuwałby się szybko raźnie, niefrasobliwie. Oto oddaje ziemi cząstkę WCZORAJ, po to, by się zjawić mogło DZIŚ...

I jakże to wszystko napisać?

Więc tylko chyba zaśpiewać czy zagrać na skrzypcach... A może najlepiej otworzyć jedno okno i powiedzieć:

*Patrz!*

Opisywać znaczy podawać powody, tłumaczyć, objaśniać, często też zaciemniać, by ukryć, ale zawsze powody... te powody...

No a jakże tu podać powody, czemu się weszło do drugiego pokoju, jasno oświetconego słońcem...

*Stało się.*

Począł szybko pisać:

„Moja jedyna... Nie wiem, co się stało, ale choć ciebie tu nie ma, choć losy nasze nie najjaśniejsze, rad jestem z czegoś strasznie”...

Nagle zrozumiał, że jest to niemożliwe.

O, jakże się trudno porozumieć ludziom. Za każdym słowem, tylekroć sprofanowanym, utarzanym w błocie podejrzeń... uzasadnionych... tyle się mieści stworów skrytych, pokracznych, pełnych drwin.

Oto ona pomyśleć może:

„Spotkał pewnie dawno niewidzianą kochankę”.

Albo:

„Nie jestem mu widać niczym, kiedy wiedząc, jak jestem smutna, jak samotna...”

Albo, w najlepszym razie, nie rozumie wcale.

I słusznie, bo skądże by...

Rzucił pióro i podszedł do okna.

Powiódł okiem z wysoka po świecie w krąg i pomyślał:

Wszystko to jest królestwo moje.

Uczuł się władnym mocarzem, który by<sup>15</sup> orzeł siedzi na wysokiej turni, w zamczysku i mruży oczy, bo wie, że oto dziś nikt nie ruszy jego włości.

Nadchodziły z wolna różne myśli, ale jednej nade wszystko rad był.

*To jest Wolność!*

<sup>13</sup>*tant bien, que mal* (fr.) — mniej więcej; jakoś; tak czy siak. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*widno* — tu: widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*by* — tu: niby; tak jak. [przypis edytorski]

Tak mu się przedstawiła wolność, a dusza radosna uciekła z ciała, siadła by<sup>16</sup> ptak na kwitnącej czeremsze i dziwiła się osłupiałemu: „Cóż to za gamoń tam stoi w oknie z otwartą gębą”.

*Nieprawdopodobnie dobrze!*

I dlatego... dlatego ani listu, ani...

W odległej, ledwo co wyznaczonej ulicy przechodnie nie bywali częstym zjawiskiem; toteż stojąc w oknie, zauważył zaraz człowieka wlokącego się kędyś widocznie bez celu. Modny płaszcz wisiał luźno na wyschlłym jego ciele, pomięty kapelusz chwiał się na głowie, tak nisko na piersi opuszczonej, że twarzy wcale widać nie było.

Szedł człowiek ów, a patrzącemu wydało się, że suną za nim wielkim korowodem zjawy rozliczne.

Skradały się popod<sup>17</sup> parkany chytre pomysły niskich wybiegów, posuwiste a przygięte do ziemi, jakby zawsze gotowe do skoku szły ambicje, środkiem zaś ulicy, zataczając się z lekka, toczyły się kragłe, tuczne jak wieprze, uciechy towarzyskie i inne. Wyprzedzał jednak wszystkich, sparty<sup>18</sup> na krzywym parasolu poważny, stary, w połamany cylinder przybrany orangutan z wielką, ciężką księgą pod pachą.

A z dziur w chodniku, z otworów suteryn wypelzły różne inne gady i węże i z sykiem roily się pod nogami idącego lub wiły spiralnymi skręty<sup>19</sup> w powietrzu.

Od czasu do czasu smutny człowiek przystawał, jakby niepewny drogi i ruszał po chwili dalej na oślep, byle ująć napastowania potworów, obskakujących go, ledwo się zatrzymał.

Patrzący z okna poznał znajomego i głośno niemal zawołał:

*Tak wygląda szczęśliwiec!*

Tak wygląda, gdy nań nikt nie patrzy... w odległej ulicy. Nie zastanawiając się, co robi, wychylił się całym ciałem za okno, osłonił usta dłonią i już miał zawołać, gdy nagle przypomniał sobie swą turń-zamczysko, tę samotnię swoją, tę ciszę, to ogarnianie z wysoka królestwa... Ach, w cóż by się zmieniły i słoneczna radość, i pustka po zapomnianych grzechach wczorajszych...

*Skrył się.*

Ogarniony strachem, wspomniawszy, iż tamten może rozgląda się i szuka pomocy, że mógł go dojrzeć w chwili owego nierozsądnego wychylenia... przywarł z boku do ramy okiennej i czekał, modląc się, by bez skutku pozostał jego poprzedni, nierozważny uczynek.

Wszystko mieć musi jakiś skutek i wszystko jest skutkiem — myślał.

Dobrze, dobrze, byle nie to... byle nie to...

No i jakoś... jakoś minęło...

Znajomy poszedł dalej, zabierając swoją menażerię. Ostrożnie wychyliwszy głowę, obserwował to król zamczyska... No i jakoś minęło... Dziwny, dziwny dzień.

Uczucie wdzięczności nim owładnęło, uczucie, które zwykle pożąda się przejawić w czynie.

Jakiś piękny tedy... ale piękny czyn.

Do pracy, do pracy!

Tak. Trzeba się okazać godnym łaski otrzymanej niespodziewanie, uzyskanego nowego życia.

A praca ta, musi to być coś całkiem nowego, przepojona być winna uczuciem, z którego wzięła życie.

*Ewangelia radości.*

Musi to być. Tak. Nie inaczej.

I znowu zakołysały nim rytmy dawne, odwieczne, nowe, nieznanne, zgoła niepoznawalne.

Jednym ruchem skrzydeł wzbił się wysoko i z tych wyżyn spoglądając na opuszczone ciało, pytała dusza jego zdumiona: „Cóż to za gamoń tam stoi przy oknie z otwartą gębą?”.

Od chwili już odzywało się coś na ulicy monotonnie.

Nie słyszał naturalnie.

<sup>16</sup>by — tu: niby; tak jak. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>popod (daw.) — pod. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>sparty — dziś: wsparty. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>spiralnymi skręty — dziś popr. N.Im: spiralnymi skrętami. [przypis edytorski]

Było to, jakby skrzypiała taczka, nienasmarowany wózek czy coś podobnego.

Cały balast doświadczeń... myślał... precz... naturalnie.

Z wszystkiego samo jego uczucie wyzwolenia... tak...

A cóż tam znowu tak skrzypi?

Poskoczył do okna.

Ulicą pustą, otoczoną parkanami, spoza których wychylały się śnieżyste czuby rozkwitłych czeremch, szedł z trudem człek jakiś i ciągnął za sobą na konopnej szlei spory wózek.

Na wózku onym rzeczy było niemało, w miarę zbliżania się widać je było coraz wyraźniej.

Przeważały skorupy z potłuczonych, cudnych niegdyś amfor. Ale trucizny snadź mieściły w sobie, bo zielone na nich i sine widniały osady, z innych zaś dotąd mętna ściekała ciecz na bruk uliczny. Dalej czerniły się przekisłe, popękane garnki, w których królowa NĘDZA wczoraj jeszcze pewnie gotowała strawę codzienną. Z boku wychylały się na świat niepewnie trzewiki, podarte na drogach cnoty, poplamione błotem, po krętych ścieżynach życia uzbieranym mozolnie. Nad tym drobiazgiem, przygniatając go wprost swą ważką personą, trzęsła się wielka komoda, pełna fałszowanych dokumentów szlachetności, a obok niej widniała miednica ku myciu w czystości rąk służąca i jako żywo w tej służbie obrzydliwymi plamami okryta.

Ale wszystko to byłoby niczym, gdybym zapomniał o niewielkim, sterczącym nogami w górę stole. Przy nim... zresztą mniejsza o dokładność... dość, że był on przykrą, nader przykrą pamiątką dni minionych. Coś o uczcie się zaplątało w pamięci niechętniej wspomnieniom, o uczcie braterskiej, kartach, cykutowym winie, gościu spodziewanym, tym i owym... ot smutne, smutne rzeczy...

Wszystko, a nie wyliczyłem ni małej części onych rupieci, mieściło się na wózku, a przewiązane były troskliwie porządnym sznurem, z widocznym nawet staraniem o elegancję. Ten, kto to uczynił, w całej pełni zasługiwał na miano zdolnego i o dobro klientów dbałego fachowca.

Człek to był zresztą dziwny jakiś.

Teraz, gdy przystanął dla spocznienia i ocierał pot z czoła rękawem, widać go było wyraźnie.

Rysy miał ostre, haczykowany nos, zarost czarny, kędzierzawy.

Uśmiechał się jowialnie, szeroko otwierając usta.

Na głowie jego widniała czerwona czapka, z przypiętą z przodu blachą. Słońce grało na niej barwami tęczy, jak na szybie katedry i z dala jaśniał wyraźnie napis:

*Posługacz publiczny.*

Czapka siedziała na głowie krzywo jakoś, a spod niej wyzierały mały, krzywy, kosmaty różek diabelski.

Ogon biesi dla większej wygody okręcony był około bioder i zastępował sznur, jakim się opasują zazwyczaj tragarze.

Postał chwilę, zapiął na piersiach rozwartą niebieską bluzę, a znalazłszy oczyma stojącego u okna w osłupieniu człowieka, zdjął uprzejmie czapkę z głowy, skłonił się i zawołał: — Całuję tyż pokornie rączki pana dobrodzieja. Zmarudziło się. Ale nimem się ta na policy o adrys dopytał... Straśna ciżba...

## Cel

— Nie widzę powodów zapuszczania się w badanie początków i celu naszego bytu! — mówiła do swej sąsiadki drobina bromku srebra, tkwiąca w żelatynie płyty fotograficznej.

— Świat jest to ogromna, bliżej niezbadana płaszczyzna, sięgająca na wszystkie strony w „CZARNY PAPIER”, czyli nieskończoność, a każda z nas ma stałe swoje miejsce od wieków wyznaczone przez „WIELKĄ CIEMNOŚĆ”, jedyną, dobroczynną, niepodzielną i ostateczną przyczynę wszystkiego, co istnieje. Istnieją zaś tylko dwie rzeczy na świecie: my i żelatyna. Ta ostatnia jest stworzona dla nas. Oto wszystko, co wiedzieć można... reszta jest głupstwem.

— A jednak przypuścić możemy, że był czas, kiedy zgoła inaczej działa się pod CZARNYM PAPIEREM... mógł istnieć czas, kiedy...

— No... kiedy co?

— Kiedy nie było nawet samego CZARNEGO PAPIERU!

— Milcz!

— Być może, iż nawet nasz stan obecny, wytworzony przez WIELKĄ CIEMNOŚĆ, nie jest odwiecznym i jedynym, a także nie jest ostatecznym i definitywnym... być może, że przedtem... niezmiernie dawno, w toniach przedwieczności istniało coś całkiem innego... coś..

Zamilkła, nie śmiejąc dalej snuć przypuszczeń, pewna zresztą, że nie znajdzie zrozumienia u sąsiadki.

Tak się też stało.

Ortodoksyjna interlokutorka, nie mogąc się odwrócić od buntowniczkę, ni oddalić, zamilkła na znak wzgardy. Złorzeczyła w ciszy WIELKIEJ CIEMNOŚCI za to, że umieściła ją obok tej wariatki, na całą wieczność skazała na to okropne sąsiedztwo i pozbawiła rozkoszy harmonijnego, spokojnego życia pośród równych sobie pojęciami i charakterem.

Z nieznanymi źródłami zrodzone, nie wiadomo jak i przez kogo dalej snute, plątały się wśród statecznego zbiorowiska drobin, istot jednakich z pozoru, rządzących się absolutną oczywistością i nietykalną uznających równość, niejasne, mgliste legendy o rzeczach nadzwyczajnych, przekraczających rozum, niepodległych prawom normalnego spostrzeżenia... słowem głupstwa!

Legendy owe, nazywane przez niektórych „wspomnieniami”, mówiły o początku PŁYTY i jej stopniowych przemianach, zanim wraz z istotami na niej osiadłymi stała się tym, czym była obecnie. Niby wątle cienie snuły się klechdy o słodkim, czerwonym, łagodnym spojrzeniu innego boga, boga, który istniał dawno, dawno, przed narodzeniem WIELKIEJ CIEMNOŚCI, który wisiał wysoko w przerażającej dali, kędyś poza dzisiejszą nieskończonością i mówiły, że to on, ten bóg jest stwórcą PŁYTY i wszystkiego co się na niej znajduje. W on czas, WIELKA CIEMNOŚĆ nie istniała jeszcze w obecnej swej formie, kształtowała się dopiero. Władzał zaś dobroczynny, niepojęty i słodki bóg: CZERWONA LAMPA. Ale z biegiem czasu zaszły zmiany. WIELKA CIEMNOŚĆ rozrósłszy się niezmiernie, z potężnym szumem, dnia jednego obląła świat i w jej czarnych falach zatonoło dobroczynne bóstwo. Na znak tego zwycięstwa ciemności, legł na świecie potężny demon CZARNY PAPIER i nastąpiwszy potężną swą stopą na zdrętwiałą ze strachu płytę, rozkazał nazywać siebie Nieskończonością. Był to jakby wielkorządca nowego boga, absolutny, jedyny i nieodpowiedzialny tyran. Oznaczył granice istnienia i zakazał myśleć o czymkolwiek poza sobą, zabiwszy wszelką możliwość badania... obojętny na urągliwe pogwary i chybotliwe marzenia, legł spoczywać na zdobytym świecie. I zdawało się, że odpoczynek ten trwać będzie wiekuiście.

Gdzieś ponad nim, o czym wiedzieć jeszcze pozwalała wiedza urzędowa, w niepewnej dali, trwała WIELKA CIEMNOŚĆ, przyczyna wszechrzeczy, jako taka jedyna, odwieczna, niepodzielna i wyłączna. Zaś idea boga czerwonoookiego nikła z wolna, jawiąc się już teraz tylko w marzeniach.

Tak głosili poeci.

Ale nikt ich nie chciał słuchać.

Wiekowe doświadczenie przeczyło wszelkim zmianom i przemawiało silniej do umysłów. Było faktem. Narzucało się jako prawo natury, przez samo swe istnienie udowodnione.

Zezłoszczona sąsiadka marzycielki, rozpowiadawszy pobliskim o przypadłościach mózgowych biedaczki, rozpedziła się tak w elokwencji, że zapominając o zaprzysiężonej pogardzie, przerwała milczenie:

— Zaprawdę moja droga, mówi mi głos wewnętrzny, że ty właściwie nie należysz do naszego zbiorowiska. Ty, wprost myślę, dostałaś się do nas tylko przypadkiem. Tak! Tak! Widzę to jasno! Spadłaś tu do nas z innego świata (o ile są światy inne). Ha, ha, ha! Bardzo być może, że gdzieś w przestrzeniach, pod samym CZARNYM PAPIEREM wiszą zwiariowane drobiny, przez Opatrzność wykluczone z życia, dla dobra naszej płyty.

Obraz świata, Bóg

Niezawodnie spadłaś stamtąd i utkwiałaś pośrodku nas! Nie wiem tylko, czemu cię złośliwy przypadek rzucił właśnie koło mnie. Prawdziwe nieszczęście!

Zgromiona milczała długo. Wreszcie zaczęła z cicha:

— Nie gniewaj się, moja droga! Wybacz, że cię może nudzę. Ale rada bym zapytać jeszcze o jedno. Tylko o jedno!

— Mów! — odsapnęła zapytana, rada, że ją proszą o pouczenie. Uczyc to bardzo przyjemnie, to pochlebia.

— Powiedz mi, jaki tedy cel naszego istnienia?

— Cel?

— Tak. Taki rozumny sens życia. Wszystko wkoło ma cel. Tedy<sup>20</sup> jaki jest nasz cel?

Zaległa cisza. Wreszcie powiedziała nauczycielka:

— Muszę uchylić to pytanie. Znam tylko samo życie. Wszystko, co ma cel, ma ten cel dla życia. Jeżeli zaś samo życie ma cel jaki, to celem tym jest tylko ono samo. Zrozumiałaś?

— Nie.

— Spodziewałem się tego. Nie znasz filozofii.

— Myślę tak: czy my kiedyś staniemy się czymś wyższym i czy żyjemy po to, aby się kiedyś tym stać?

— To nie jest żadna filozofia, moja droga! To się nazywa „circulus vitiosus”! Rozumiesz? To jest błędny sylogizm, czyli, inaczej mówiąc, głupstwo! To nawet nie jest żadna kwestia, bo taka kwestia w ogóle nie istnieje. Czymś wyższym? Phi! Najwyższym, poznawalnym jest CZARNY PAPIER... Czymś wyższym? No powiedz no mi moja droga, jak sobie wyobrażasz to „wyższe”? Czym chciałabyś zostać? Powiedz, a śmiało, mam trochę czasu zbędnego! Milczysz?... Jeszcze milczysz... Czyżbyś nie miała do mnie zaufania?

Nie było odpowiedzi.

Po chwili dopiero ozwała się pytająca:

— To prawda. Nie jestem w stanie określić formy bytu innej jak nasza. Ale czemuż ja to czuję? Dlaczego tęsknię? Czy tęsknić można za absurdalnym, za niemożliwym. Czuję...

— Oczywiście! I ja też czuję... — przyznała mentorka.

— Naprawdę! A co? — spytała rozkosznie zdziwiona.

— Czuję, że mi bardzo dobrze w żelatynie! — Wygrawszy sprawę, sapnęła z ukontentowania, a na jej powierzchni pojawiło się coś niby uśmiech satysfakcji. Tak samo sądził ogół.

Niewidzialna WIELKA CIEMNOŚĆ i najwyższe z poznawalnych CZARNY PAPIER, oto wszystko. Marzenia i przeczucia... oto nic.

— Czyż to prawda, że jestem wariatką? — pytała się samej siebie nieszczęsna drobina bromku srebra. — Czyż rzeczywiście wszyscy, na całej PŁYCYE myślą tak, jak to słyszałam, a tylko ja jedna... tylko ja jedna... Tak, tak... to jasne...

Rozpaczliwym spojrzeniem objęła swe otoczenie. Wokół, jak okiem sięgnąć, same przysadkowate, wtopione po szyję w rogowatą masę drobin zezowały ku niej złośliwie.

„Tak, tak... nie ma wątpliwości... ona ma rację, one wszystkie mają rację!” — krzyknęło jej w sercu.

„A może jest ktoś? — myślała. — Może tak samo jak ja cierpi druga dusza... może ich jest dużo...”

To byłoby ocaleniem! Może są... Są na pewno! Tylko daleko niezawodnie, ogromnie daleko, gdzieś poza tą gęstwą wrogów... Są może opodal... coś mi mówi, że są bardzo blisko! Ale to wszystko jedno. Czy są blisko, czy daleko, są zawsze poza sferą porozumienia... czyli... nie ma ich wcale!

I znowu niepodobna znaleźć wyjścia. Znowu staje się wobec klęski.

Czas mijał.

Wszyscy wkoło mierzyli go poczuciem dobra i zadowolenia, ona jedna gorączką niepokoju i rozpaczy.

Aż pewnego dnia stało się coś strasznego.

Powstał szum.

Drobin od razu pogłuchły, a tu i ówdzie odezwały się głosy:

— Legenda! Legenda! Wspomnijcie legendę!

<sup>20</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]



Marzycielka nasza ożyła na nowo i w tym chaosie i przerażeniu ogólnym ona jedna powitała radosną nadzieją groźną katastrofę, siłąc się przy tym na dojrzenie owych drobiny pokrewnych, skrytych gdzieś wśród ciżby obcych, chociaż tak bliskich. Ale daremnie. Nie ujrzała ich wcale.

A groza rosła.

Szum zrazu lekki wzmagął się ustawicznie. Płyta poczęła się chwiać, jak gdyby wicher uniósł ją na niezmierny, wzburzony ocean. Moce jakieś szarpały CZARNYM PAPIEREM, który kłębił się i wił, jakby walczył z potężnym wrogiem.

Konwulsyjne wstrząśnienia uczyli wszyscy. Powstała panika, a tym straszniejszą była, że wszystko tkwiło na swoim miejscu, omdlałe jeno<sup>21</sup>, na poły martwe.

Nikt nie dziwił się, choć działy się rzeczy niesłychane, nikt się nie dziwił, choć padło w niwecz odwieczne prawo.

Wszyscy się bali.

Tylko nasza marzycielka pobladłymi ze strachu usty<sup>22</sup> szeptała:

— Legenda! Legenda! Wspomnijcie legendę!

Ale znów nikt nie słuchał.

Nagle, pośród największego szamotania, stała się rzecz niepojęta.

Oto nastąpiła cisza. Cisza absolutna, niemal zgodna z prawem odwiecznym, a wśród tej ciszy, powoli, bezgłośnie rozwarły się niebiosy i oczom zdrętwiałych z przerażenia ukazało się Bóstwo:

CZERWONA LAMPA.

Świat opłynął nagle falą krwi. Zatonął w czerwieni. A czerwień ta słodka była i ładna. Pieściła pochwycone w topiel drobiny. Całowała je jak matka... i zdawało się, że mówi: „Nie bójcie się! Nie bójcie! Jam jest światłość miłosierdzia. Nie bójcie się!”

---

Długo trwało, nim się ustalił nowy porządek rzeczy.

A jednak tak się wreszcie stało.

I dziwne. Teraz nikt się nie dziwił cudowi, od kiedy narzucił się jako prawo. Katastrofa nabrała wyglądu konieczności, co więcej to, co ongiś potępiano jako marzenie i herezję, teraz posłużyło do ugruntowania nowego światopoglądu. Przyznano, iż poeci i marzyciele wieku minionego mieli niejasne, prorocze przeczucie tego, co nastąpi. Czy było to proroctwem, czy tylko wspomnieniem... O to spierano się długo, aż wreszcie ogłoszono następującą: „*Prawdę o istotnych właściwościach świata i jego początku*”.

1. Świat widomy, czyli PŁYTA, jest to wielka, niezmierna płaszczyzna, która zaczęła swe istnienie w czasie, ale końca mieć nie będzie.

2. Świat widomy, czyli PŁYTA, stworzonym został w czasie przez Bóstwo najwyższe CZERWONĄ LAMPĘ i oddany został w opiekę Bóstwu drugorzędnemu, WIELKIEJ CIEMNOŚCI. Bóstwo to jest emanacją pierwszego i pozornie tylko z nim sprzeczne, w istocie zaś substancjonalnie identyczne, choć różniące się funkcjonalnie. WIELKA CIEMNOŚĆ wyłoniła z siebie, materialniejsze już o wiele, bóstwo trzeciorzędne, CZARNY PAPIER, którego emanacją, jeszcze bardziej grubą i materialną jest żelatyna, która dała życie drobinom bromku srebra.

3. Na PŁYTCIE nic się nie zmienia, wszystko trwa wiecznie, natomiast bóstwa objawiają się przez zmiany, czyli LUNACJE.

4. CZERWONA LAMPA nawiedza stworzenie, darząc je światłem, pozwalając im spozierać w oblicze swoje i darząc rozlicznymi dary.

5. Od zachowania się drobiny zależą zjawiania się bóstwa przedwiecznego i dzieje samejże PŁYTY. Tak to same stworzenia są twórcami swego losu i w tych granicach cieszą się posiadaniem wolnej woli.

6. Ideałem doskonałości jest stan, w którym wszystkie drobiny zasługiwałyby na ciągle oglądanie twarzy CZERWONEJ LAMPY. Stan taki nastąpi i wówczas bóstwa drugorzędne znikną, jako już niepotrzebne. Spalą się w płomieniu CZERWONEJ LAMPY i z nią na wieki zjednoczą.

---

<sup>21</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>pobladłymi (...) usty — daw. forma N.Im; dziś: pobladłymi ustami. [przypis edytorski]

7. Dojście do tego stanu jest celem świata. Tedy celem tego życia jest dojście do życia wyższego, wydostanie się z kręgu ciemności, dziś panującej, w krąg światła, który jest zarazem stanem definitywnym, ostatecznym i niezmiennym.

8. Drogą do tego celu jest wiara, posłuszeństwo i modlitwa.

9. Nad wykonaniem praktycznym i nienaruszalnością tej prawdy czuwa kolegium kapłańskie.

Podpisano: MARZYCIELKA, przewodnicząca

---

Niedługo po ogłoszeniu „Prawdy o istotnych celach i początku świata” znikło bóstwo i WIELKA CIEMNOŚĆ znowu roztoczyła swe panowanie.

Ale prawdy raz powstałe nie znikły wraz ze światłem. Pozostały jako jego abstrakcyjny odbłask, jako dobra nowina.

Tryumf Marzycielki był niezmierny, cześć i szacunek, jakimi ją otoczono, niewypowiedziane.

Dzięki to jej bowiem, dzięki jej tęsknocie, dzięki jej wierze, PŁYTA otrzymała rozumowane prawo moralne, skończył się okres mętnego i płytkiego materializmu, świat cały przejrzał i poznał swój cel ostateczny.

Otrzymała tytuł: „Dobroczyńcy świata”.

Zaiste nie było to za wiele.

Wszystkie drobiny marzyły teraz o tym, by się dostać w jej pobliże. Ale to było niemożliwe.

Sąsiadka usilnie się starała paść jej do nóg, ale i to okazało się niewykonalne.

Poprzestała tedy na tym, że marzyła bez przerwy, by się jej przypodobać.

Niestety, jej marzenie, jako iż nie była zbyt lotną, wrychle przybrało postać narzekania.

— O jakże to dawno — jęczała — jakże dawno zniknęło światło! Czyliż już nigdy WIELKA CIEMNOŚĆ nie rozwinie swych opon?

— Nie szemraj! — nakazywała jej Marzycielka.

I wskazywała na wieki długie, wieki legendarnej wiary w bóstwo, jakie przetrwał świat od chwili pierwszej zjawy.

— Nie szemraj! — nauczała ją. — Trwaj w tęsknocie!

— Ach! Znowu zeszcła ta żelatyna na kamień, tak, że ani wytrwać dłużej!

— Strzeż się! — upominała już surowiej. — Opóźniasz światłość sobie i innym! Módl się!

— Ach! Modlę się, ale CZERWONA LAMPA widać nie słucha moich modłów!

— Modlitwa twoja pełna jest niecierpliwości! Takich błagań nie słucha bóstwo jedyne, nieogarnione, wyłączne, prócz którego nic nie ma na świecie, a którego formą jest wszystko, co istnieje...

Nie mogła domówić swych słów do końca.

Stało się coś przerażającego.

Oto nagle, niespodzianie, bez szumu i wstrząśnienia, rozdarła się czarna opona WIELKIEJ CIEMNOŚCI i na świat spadł... piorun!

Jakiś grom bezgłośny.

Jakaś śmierć nagła.

Nagła, a niewypowiedzianie piękna.

Rozpękł się byt, zawałiło życie.

A przez zgliszcza wionęła wizja bezkształtna, niewyobrażalna.

Wizja życia innego, życia, którym żyć nie sposób. Życia-śmierci.

Spadła na świat NICOŚĆ, będąca wszystkim!

Stało się Niezapamiętalne! Niemożliwe!

Przyszło skądś, gdzie przed sekundą żył Bóg.

Jego tam już nie było!

Padł trupem i został pochłonięty.

Cicho i na zawsze.

Było znów czarno, tak czarno, że nie widać było WIELKIEJ CIEMNOŚCI.

Zdawało się, że to jej zwęglone zwłoki wiszą w szmatach ponad światem.

A wokół cisza... cisza... martwota niezmierna.  
Cisza, co trwać nie przestanie, bo jest sam trupem, cisza próżna, nie zawierająca nawet wspomnień, bo TO wszystkie przeraziło.  
TO!

---

Tak się wydawało wszystkim drobinom na płycie.  
Wszystkim?  
Gdy przeminęło pierwsze osłupienie i poczęto się rozglądać wkoło, nastąpiło nowe zdziwienie i nowe, lepiej już uświadomione przerażenie.  
Marzycielka, przewodnicząca kolegium kapłańskiego zagadnęła sąsiadkę i nie otrzymała odpowiedzi. Zdziwiona, że gadatliwa ta osoba nagle zaniemiała<sup>23</sup>, obejrzała ją dokładnie i... omal nie zemdlała sama ze strachu.  
Sąsiadka zmarła.  
Tkwiła dalej na swoim miejscu i z pozoru nie zmieniała się wcale. Ale ustalo w niej nagle coś, czego określić nie sposób, czego wypowiedzieć nie można. Jednym słowem, zmarła.  
Od początku świata stało się to po raz pierwszy.  
Właśnie jej się to przydarzyło.  
Czyż tylko jej?  
Wokoło stało się to samo.  
W jednym miejscu zmartwiła cała grupa drobin, w innym wszystkie ostały się żywe. Tam TO uśmierciło kilka tylko, gdzie indziej wielka przestrzeń usiana była zmarłymi. Stał się nowy, niepojęty cud.  
Śmierć.  
I to śmierć dziwna, fantastyczna, bezprawa<sup>24</sup> i bezcelowo okrutna.  
Ustalone, wyrozumowane, zgodne z rzeczywistością prawa życia i wynikające z nich prawa moralne w puch rozbił jakiś piorun, jakieś ZŁO, działające bez sensu, bez celu, dzikie i nieobliczalne.  
ZŁO ostateczne, wszechpotężne, a bezrozumne.  
ZŁO, którego żywiołem chaos, a skutkiem rozpacz niema, bezbronna i sama w sobie nierozumna.  
Nie warto już było żyć, ani myśleć, nie warto już budować żadnych wartości logicznych, ani etycznych, nie warto się modlić, ani kłaść, cieszyć się, ni smucić.  
Czyż poginęli sami źli?  
Czyż poginęli sami dobrzy?  
Czyż to była kara?  
Czyż to była nagroda?  
Czy było w tym coś możliwego do poznania?  
Ale było w tym jednocześnie wszystko, bo kładło, bo kłaść mogło kres wszystkiemu.  
Ale czy wedle woli jakiejś... czy wedle przypadku...  
Pewne stało się tylko jedno: CZERWONA LAMPA ZMARŁA.  
CZERWONA LAMPA, Bóstwo twórcze, rozumne, logiczne, miłosierdzie, źródło prawa, emanujące bóstwa inne, wykonawców prawa, zawiadowców szczęścia i zbawienia...  
Zmarła... i wszystko przepadło.  
Zostało ZŁO...  
Szaleństwo siadło na tronie Boga.

---

Nastał czas dziwny.  
Zaczęły się szybkie zmiany, których już nawet notować w świadomości nie mogły skazane na zagładę drobin bromku srebra.  
Przystały się dziwić.

<sup>23</sup>zaniemiać — dziś: oniemiać. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>bezprawa — dziś raczej: bezprawna. [przypis edytorski]

Wszystko, z trudem przez wieki ustalone, wyplakane łzami tęsknoty, wybrane modłami długich nocy oczekiwania, wszystko podarło się w szmaty. Związki przyczynowe pękały. Coś, co dotąd było przyczyną, nagle stało się skutkiem.

Co zmarło, żyło, natomiast żywe przestało istnieć.

Miłosierne, mężne, stało się niemocne i jakby głupkowane...

Nic dziwnego. Wszak rządziło szaleństwo.

WIELKA CIEMNOŚĆ gdzieś się zapodziała.

CZERWONA LAMPA wstała z martwych i zjawiała się po to, by z uśmiechem do brotliwego idioty przyświecać męczarniom.

ZŁO poraziło w niej bóstwo, pozostał uśmiech boski, pozostał łagodny, słodki blask...

Jakby w masce swej własnej, dawnej twarzy, przeszedłszy krainę śmierci, wyszła znów wysoko, jakby na czyjś rozkaz, słuźalczo i spoglądała na rzeczy straszne, nie mrugnawszy okiem. A działy się rzeczy przeraźliwe.

Jakaś nowa moc zanurzyła świat, wraz z wszystkimi żywymi i umarłymi w otchłań oceanu, w toń niezgłębioną a przejrzystą.

Odwieczne środowisko, w którym żyły drobiny, wzduło się niezmiernie.

Teraz wszyscy porażeni przez szaleństwo, poczęli czernieć, stawać się podobnymi do WIELKIEJ CIEMNOŚCI, jakby w zimnym tym morzu bez płomieni spalali się na węgiel.

Otoczyło ich płynne piekło.

A żywi, półżywi ze strachu, poprzez toń przeźroczystą, patrzyli w twarz nieboszczyka-boga swego, w jego oko czerwone i obojętne. Spoglądali bez modlitwy i bez rozpacz.

Bo i rozpacz umarła.

Potem zaczął się koniec. Świat ginął w konwulsjach dziwacznych i dla samej nawet zagłady bezcelowych.

Siła jakaś wyniosła płytę wysoko, przewróciła ją ku CZERWONEJ LAMPCE, zatrzymała na chwilę w tym położeniu, wreszcie zatopiła w inne morze, niewypowiedzianie zimne i mętne.

Zali<sup>25</sup> chciało SZALEŃSTWO pokazać Bóstwu po raz ostatni ruiny?

I po co? Bóstwo przecież przestało rozumieć. Marzycielka zamknęła oczy. Potem czuła, pogrążona w białych odmętach, że odrywa się od PŁYTY.

Wokół niej fale odrywały kawały rodzimego podłoża wraz z żywymi.

Martwi trzymali się mocno swego grobowca, jakby się z nim zrosli.

Potem wraz z innymi spłynęła... czuła, że miota nią coś z niezmierną siłą, uderzyła o skałę śliską i twardą niezmiernie i wreszcie... zatoneła.

Zapadła w biel, nieprześwietloną nawet czerwonym światłem i doznała dziwnego wrażenia.

Było to jakby rozstępowanie się ciała, rozkład, któremu przyświecała świadomość. Ale nikła i ona szybko, ginęła... wreszcie skończyło się wszystko.

---

Na świecie, zeżartym przez orkan SZALEŃSTWA, pozostały same tylko szerniałe trupy. Chociaż szarpane zębem ZŁA, z uporem nieświadomym trzymały się powierzchni, szklistej teraz i niepodobnej do siebie. Leżały w bezładnych kupach, bez celu rozrzuczone, jak je poraził piorun, to blisko siebie, to porozdzielane wielkimi przestrzeniami, to w cieńszych, to w grubszych warstwach... słowem w nieładzie bezrozumnym, nikomu na nic nieprzydatne, niezdolne już nawet odczuwać przeraźliwej jasności; na jaką je wyniesiono, niezdolne widzieć, że CZERWONA LAMPA błysnęła niedługo po śmierci Marzycielki po raz ostatni i zgasła na wieki.

Czyż Bóstwo oprzytomniało wobec grozy zagłady istoty wybranej i skonało z żalu za tą, której tęsknota długa, bolesna i wytrwała sprawiła tyle dobrego?

Zginęła Marzycielka, zginął jej świat i cel jego. I nie wiedziała, że na zeżartym Szaleństwem świecie stała się rzecz nowa. Powstał obraz istoty wyższej, a cel PŁYTY spełnił się dla niej.

Powstał portret CZŁOWIEKA.

---

<sup>25</sup>zali (daw.) — czyż; czyżby. [przypis edytorski]

Istoty, której świat drobin bromku srebra nigdy nie widział i nie mógł widzieć.

Portret CZŁOWIEKA.

A jakież długie szeregi aniołów postępują drogą wiodącą z nizin pojęć człowieczych, do tronu BOGA.

## Putapka

Trzymał się półprzytomny ze strachu zimnych, rdzawych krat więzienia i szeptał w czarną noc:

— Słuchaj! Słuchaj!

— Słucham! — mówiła noc czarna i wyl wicher<sup>26</sup>.

— Zbłądziłem w zakamarek, zbłądziłem... Coś zatrasnęło drzwi... wyjść nie było sposobu... domy się poczęły ruszać... obstąpiły mnie parkany... przygięły się drzewa od góry... a nade wszystko, ktoś zatrasnął drzwi...

— Ja... noc, ciemność...

— Ty?... Nie, nie mów tak... Nie przerywaj... Nie może być... Więc mówię... zbłądziłem... A chciałem jeno... czekaj... coś chciałem... Aha... Coś połyskało na bruku...

— Szkło! Szkło! Rozbita faszka z wódki... Przeglądał się w niej Syriusz świetny...

— Skąd wiesz? Nie, to było coś cudnego... I po cóż bym....

— Nie... nie...

— I po cóż bym dlatego miał zbaczać? Zresztą... wszystko jedno... nic zmienić tego nie zdoła, że: zbłądziłem.

— Nieprawda...

— Zbłądziłem... błądził... dził... dził... eeeem... em!... Żeeee... błądził... błą... Żeee...

Coś jak papuga wrzeszczało gdzieś z góry spod sufitu.

Więziń zeskoczył z przymurka, na którym wisiał, kurczowo trzymając się kraty.

Papuga się zbudziła. Sumienie! Cała znów noc męczarni... Co począć... co?

Wyciągnął pięści w stronę ptaka i wbiwszy oczy w ciemność, rozkazał:

— Milcz!

Przez chwilę łopotały skrzydła i rozlegały się gardłowe dźwięki. Potem nastała cisza. Liczył sekundy: jedna, dwie, trzy... dobrze!

— Posłuchaj! — szepnęła znów ciemność — To było tak...

— Czekaj! Czekaj! Jest tu pewnie jeszcze druga bestia. Poczekaj. Wlecze się przecież za człowiekiem druga forma sumienia... poczekaj...

Z wyciągniętymi ramionami<sup>27</sup> obszedł całą celę. Nic.

A może tam w górze, pod sklepieniem? — pomyślał.

I jakby w odzew przypuszczeniu rozległ się kędyś spośród rozgałęzień gotyckich żeber cichy, szyderczy śmiech.

Szukał skrzętnie za czymś<sup>28</sup>, co by mu posłużyć mogło.

— Mam! — odetchnął radośnie.

Znalazł deskę ze sporym, sterczącym gwoździem.

Oparł ją o mur, wspiął się wzwyż i szukał po sklepieniu.

Natrafił na gotyckie wypukłe żebra, niby napęczniałe krwawe żyły ciała ludzkiego czy gałęzie drzewa.

Szedł po konarze żebra i wnet dotknął zwornika.

Misternie był wyrobiony w kształt małpy.

Położył dłoń na jej ustach. Śmiały się szyderczo, cicho.

Zamachnął się i trzasnął pięścią w te usta.

Zeskoczył na dół, rad bardzo.

Kopnął deskę. Padła z łoskotem. Zahuczalo rozgłośnie, potem kaźnię zaległa cisza głęboka.

— Teraz mów! — powiedział w ciemną noc. — Jak się to stało?

<sup>26</sup>wicher — dziś: wicher. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>wyciągniętymi ramionami — daw. forma N.lm; dziś: wyciągniętymi ramionami. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>szukał (...) za czymś — dziś popr.: szukał czegoś a. rozglądał się za czymś. [przypis edytorski]

Sumienie, Kondycja ludzka,  
Zwierzęta

Nic mu nie odpowiedziało. Czekał, czekał... daremnie. Ta cisza wprowadziła go w rozpacz. Zrozumiał, że chcąc nawiązać kontakt z zaświatem... zerwał go.

Chcąc uprościć drogę, zdeptał ślady w gąszczu życia.

Cisza.

Rad by był usłyszeć cokolwiek, bodaj głos jakiś, bodaj papugi wrzask, bodaj śmiech małpy.

— Mów! — prosił jak dziecko splakane, zestraszony<sup>29</sup>.

Nie odpowiadało nic.

Jak człowiek, który wszystko utracił, począł rozumować trzeźwo, zimno, porządnie. Był zdany na siły własne. Przede wszystkim więc: Jak się to stało?

— Szedłem prosto... nagle...

I już nic więcej nie wiedział, bo jakże może cokolwiek wiedzieć człowiek, który nagle zapadł się w świat inny.

Byłe promyk słońca, byłe głos jakiś. Po tej wątłej nici wydostałby się jakoś w świat żywych.

To nie był sen. O, sen jest jaśnią i prawdą wobec tych oto ciemności. Nie grób... grób jest ogrodem wobec tej kaźni!

Wstał i jął<sup>30</sup> chodzić wokół zamkniętej przestrzeni.

Naraz stanął. Coś pukało... pukało... cichutko, lekko... ledwo dosłyszalnie. Zaczął szukać. Wodził rękami po ścianach. Suwał je z góry aż do posadzki. Nic. Szukał dalej... idą za owym nieuchwytnym pukaniem.

Nagle zadrżał.

Natrafił na coś miękkiego, ciepłego.

Po chwili trzymał w dłoniach małą ptaszynę.

Serce ptaka waliło młotem.

Od uderzeń tych drżał cały, drżały mury więzienia, tętniła ziemia...

Czuł, że uderzenia te mogą rozwalić ziemię.

Albowiem był to strach.

Porwał się biec ku oknu, ale musiał go długo szukać. Nareszcie trafił i wsunąwszy rękę poprzez kraty otworzył dłoń.

Rozległ się furkot skrzydeł.

— A to było tak... — posłyszał nagle z ciemności.

Ciemń zaczęła opowiadać.

Przywarł do krat łakomie. Ujrzał słońce na czerni, rozświetliła się noc. Zrozumiał, że może w ciemku żyć radość.

Leżał na twardej słomie, głos od okna przywołał go i szeptać począł:

— A to było... tak...

— Jak? — spytał.

— Szedłeś prosto... prościuteńko, jak każe prawo... a nad głową twą była pieśń...

— Tyle wiem sam. Była pieśń radosna.

— Tak. Szedłeś tedy... gdy wtem nagle..

— Już wiem! Szkło! Rozbita fłaszka!

— Nie!... Gdzież tam!

— Nie?

— Więc mówię ci... Szedłeś... wtem... nagle z bocznej, brudnej uliczki ktoś krzyknął: „Ratunku!”

— I co? I co dalej? — pytał rozciekawiony. Nagle pod sklepieniem załopotwały skrzydła.

Więziń skurczył się ze strachu. Czekał... wysilił swą wolę, skupiał do rozkazu, ale czuł, że mu jej braknie, że nie uśmierzy sumienia.

— Wiesz, jak to się stało — powiedziała znów ciemność.

No wiem... Ktoś z bocznej uliczki zawołał...

— Ale nie! Nie!

— Znowu inaczej?

Strach, Ptak

<sup>29</sup>zestraszony — dziś: przestraszony. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]



— Tak było... Słuchaj! Szedłeś ulicą... szedłeś... ponad twoją głową był sztandar Jutra z koroną cierniową na czerwieni niepokalanej... wtem nagle...

— Ktoś krzyknął...

— Nie! Wcale nie!... Nagle zapłakało dziecko... dziecko... mała dziecina przestraszona tym, że śmieci porwane wiatrem tańczą dziwacznie w kółko.

— I dlatego... ja...?

— Któż ci mówi, że dlatego...? Tak... było... to dosyć... tak lub podobnie... Dlaczego to ON jeden chyba wie sam tylko... albo i ON nie wie... Może tego pytania całkiem nie ma... Któż zgadnie... Wiele „kwestii” pojawiało się na świecie, pojawia się i pojawiać będzie... choć wcale nie istnieją.

...To prawda. Na pytanie: „Dlaczego?”... odpowiedzieć się całkiem nie da... i koniec... podobnie jak na skrzyp drzwi źle nasmarowanych albo dźwięk dzwonka... pomyślał.

Poweselał. Rzeźwy był, silnym się czuł, wszystko w nim wołało o czyn.

Z wyciągniętymi<sup>31</sup> przed się rękami chodził po kaźni od muru do muru.

Ratować, myślał, ratować trzeba... ratować koniecznie, jeśli już nie mnie, to to, co niosę... ..Serca mego męstwo, woli rozmach spętany rozkuć muszę... Tak człekowi nie wolno ginąć... nie wolno... Złe patrzy... a gdy pozna, że silne... Ratować trzeba siebie... ratować... ratować!

Potrącił deskę, z której sięgał ku sklepieniu i po chwili dłuwał wyjętym z niej gwoździem koło osady kraty. Ale to było czyste dzieciństwo... Ileż lat... ile lat, a co jeść tymczasem?

Jedynie u drzwi coś by się może zrobić dało... zaraz... ten sztyft... potem... tamten... ano może się uda...

Zajęła go praca, kłęczał u drzwi odwrócony od okna, którego prostokąt nieznacznie odciął się od czarnego wnętrza kaźni. Wyteżywszy wzrok, dostrzec też można było obok okna wypukłe żebro sklepienia i jakieś połyskujące oczy wysoko ponad drzwiami, jakby ptak drapieźny siedział przyczajony na gzymsie.

Pracował żarliwie, chociaż bez widocznego skutku, wybić usiłował nity wiążące zamek, dostać się do jego wnętrza.

Przestał rozmyślać, był niemal wesoły, miał coś w rodzaju nadziei... To był przynajmniej realny, prawdziwy zamek, zrobiony przez prawdziwych ludzi... już bez pytania oczywista jawa... Dotykał palcami tej rzeczywistości... syn ziemi pieścił żelazo wykopane z tej ziemi, obrobione rękami czy maszynami ludzkimi...

— Chodź no! Chodź! — szemrało od okna, mimo że nikogo nie było widać.

Zbliżywszy się, choć ciemności zalegały wszystko, miał wrażenie, że okno więzienne znajduje się wysoko, bardzo wysoko ponad ziemią i że wychyliwszy się, można by patrzeć wprost z góry na czuby drzew i dachy domów.

— Wychył się... wychył się... — usłyszał.

Nagle coś mu się ciężkiego położyło na ramionach, jak gdyby ktoś go przytrzymał z tyłu i nad samym uchem coś szepnęło:

— Samobójca!... Samobójca...

Chwytał się krat i trzymając się ich silnie, pił powietrze całą piersią. Teraz, gdy było bodaj trochę rozwidnione, stało mu się z dławiącej trucizny nektarem.

Pił powietrze, nie słuchając wcale, co szemrze koło niego. Był nawykły do głosów, dobywających się z każdego stworzenia... czytał ruch chmur i gwiazd hieroglify...

Wołało go wciąż, bez ustanku:

— Chodź no! Chodź! Już czas!

— Kędyż<sup>32</sup>? Kędy? — pytał.

— Przez Wrota Strachu! — odpowiedział głos, jakby z wielkiej dali.

Dreszcz nim wstrząsnął.

— Jak to? Już?... Dziś?

Pytał jak dziecko, co się boi dać wyrwać zęb zepsuty.

Wolność, Śmierć

<sup>31</sup>wyciągnięty — dziś: wyciągnięty. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Znowu nie rozumiał nic a nic... Ten głos, ten głos, który go ratował tyle, tyle razy... teraz, w chwili nieszczęścia, w zawikłania momencie, strasznej goryczy, czasę śmierci do ust mu przykłada?

Wrota Strachu... Nie, kiedyś, wśród światłości i ciszy, gdy zbieleją już włosy... ale teraz... dziś...

Umiał czytać ruch chmur, gwiazd hieroglify... i cóż z tego... nie umiał przeczytać swego życia...

— Chodź! — mówiła ciemność z coraz większej dali. — Chodź w przemienione istnienie, w wolność, ty spracowany za młodu... chodź po szafirze radosnych tropów szukać życia innego co dnia...

— I czemuż — pytał — ty oddalająca się, tająca się w czerni wabisz mnie na okropną, przeraźną<sup>33</sup> ścieżkę? Mówiłaś mi zawsze o zwycięstwie, o nieśmiertelności...

Z dali, ale wyraźnie, jak głos dzwonu, posłyszal:

— Jak to?... nie wiesz?... Nieśmiertelność jest córką skonu.

— Wiem, wiem — odparł, trzymając się krat — Wiem, ale... wszakże kraty...

— Chodź! Jeszcze chwila, a drzwi się mogą zamknąć z trzaskiem... na zawsze...

Na poły zdecydowany zszedł jednak z przymurka i nagle rzucił się na posłanie ze słomy.

— A niech się tam zatraskują drzwi — pomyślał lekceważąco — byleby wróciło to, co jest prawdziwą, codzienną prawdą... to życie bez maski, czy też nawet w masce, ale w znanej, dobrze znanej masce jawy... ach... byle wróciło...!

Ale nim dokończył tej myśli, już zawołał:

— Nie! Nie! Nie chcę przemazać<sup>34</sup> pragnień... nie! Raczej śmierć!

— Chodź! — doleciało go z dali wielkiej. Zerwał się.

— Dobrze! — wrzasnął z rozpaczą na całe gardło, aż jękły<sup>35</sup> echa potężne. — Dobrze! Idę!

Wyskoczył na okno i przechylił się na zewnątrz.

Zdziwiło go, że przemknął kratę jak duch. Zdziwiło go też, że nie zaskrzeczała papuga.

— Ach! Więc ja nie zbłądziłem! — pomyślał — to była moja droga... kawałek tylko biegła pośród ciemności...

I ogarnięty nagle ogromną radością, wolny już wewnątrz<sup>36</sup>, rzucił się w półmrok gęsty.

Ledwo stracił spod nóg ziemię, uczył, że się kłębi pod nim powietrze, że go niesie, że u rąk ma długie, kładące się na fali wiatru skrzydła giętkie, ruchliwe, czule na każde drgnięcie, a stalowe, zdolne nieść wysoko... w samo choćby niebo.

Spłynął. I nagle ujrzał przed sobą w niepojętej oddali coś błyszczącego, niby mała gwiazda.

Podobne to było błyszczącemu ziarnu pszenicy.

Otaczała je jakby mgła jasna, jakby płomień liliowy, to znów szafirowy...

Od gwiazdy tej jaśniała szybko ciemna przestrzeń. Pędził w topiel światła, ciągniony, bezwolny, choć jednocześnie własną mocą, pospiesznie, nagląc się sam, jak do wybawienia.

---

Pod sklepieniem kaźni więziennej rozległ się łopot skrzydeł.

Wielkie, ciężkie ptaszysko sfrunęło na dół, siadło na przymurku okna i wsadziwszy głowę w kwaterę kraty patrzyło w rosnącą jasność, mrugając oczami.

A ponad ptakiem chwiała się w powietrzu na długiej, wężej<sup>37</sup> szyi maska rozgrymaszonej małpy.

Patrzyła, co się dzieje.

<sup>33</sup>przeraźny — dziś popr.: przerażający. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>przemazać — przekreślić. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>jękły (daw., gw.) — dziś: jęknęły. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>wewnątrz — dziś: wewnątrz. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>węży — dziś: węzowy. [przypis edytorski]

# Świt

Ciemno. Wysoko, na gankach, nad przepaścią podwórza miejskiego zawieszonych jedne nad drugimi, za dnia snują się codzienności, dudniąc obcasami, szmer spódnic dolata stamtąd... Teraz cicho. Deski tylko tu i ówdzie rozsunięte, tak iż z dołu widzisz przez szpary niebo, a w dzień, idąc gankiem, patrzysz ze strachem wprost w kałużę, nisko pod tobą na ziemi.

Ciemno. Nie głosi życia ruch ni szmer ciągły, który jest za dnia bytu znamieniem... ciemno, czerń zaś ta, zda się, leży wprost na piersiach twoich, jak ziemia na rzuconym w dół i zasypanym psie bezpieczeństwa.

Ciemno. Nie wybiła godzina wstawania nowych radości, a czarność leczy rany wczorajsze... chowa pomarłe stworzenia... dobra jest bowiem dla tych, co już wyrosli spod opieki słońca... dojrżeli do WIELKIEJ PODRÓŻY.

Ciemno. Ale choć oczom, co mają po ziemi szukać swych pożytków... uciech... i miłości, światła za mało, patrzmy, czy na bezjawej pustaci nie załśni tu kędyś ślad PRZE-WODNIKA.

---

Nad miastem wysoko Bóg-Orzeł przed świtem, Bóg-Orzeł mocny, dalekowiedz nad dalekowiedze wisi na rozpostartych skrzydłach i patrzy.

Nim świat się z nicości wychyli, idzie z dołu niby oddech śpiącego, gorąca fala, mdła, niemiała.

Linie zaczną nabierać znaczenia, staną się znakami, z plamy wstanie kształt, rzecz żywa, stwora śpiąca albo rzecz, co kryje w sobie żywe.

On, patrzący z góry, wie dobrze, że to wszystko jeno symbol. Kontur światłem określony, plam parę. Tajemnica na przykład słońca przez to, że na nią patrzymy co dnia, nie staje się dzięki temu jasną... my jeno, my patrzący kujemy słowa i stajemy się dewotkami, co skutkiem częstego sypiania po kościołach mniemają, iż mogą z familiarnym uśmiechem patrzeć, jak się w rękach kapłana dokonywuje przemiana prochu ziemi w BOGA żywego...

On też patrzy, chcenie swe twórcze odsunawszy ręką od działania, jak się odsuwa natrętnie dziecko. Patrzy na zjawę błędną, co dziwną, zygzakowatą drogę zakreśliwszy, od wczoraj spadła ot tu... po wiekach czy sekundach, nie wiadomo... pod bramę kamienicy dotąd zamkniętą<sup>38</sup> i drżąc ze zimna, przytulona u proga czeka... czeka smutnie, by wpaść co żywo... co żywo... i nie płacąc ODŹWIERNEMU-LOSOWI, który otworzy skrzypliwe wrota, co prędzej wbiec na schody... po dwa... po... trzy... skacząc do siebie do łóżka... do codzienności, watowanej cichością półmroczną, do spokoju, odrętwienia.

On się nie złudzi niczym, choć wnet się „życie” wynurzy, to jest to, co ja, ty, on, my, wy, oni... zwiemy znanym i bliskim... my, kiepscy astronomowie, co nie świadomi pokrewieństwa gwiazd, tworzymy konstelację pozorów, fakty, majaki, nicość na nicości, głuszę w milczeniu, ciemń na czerni... słowa.

---

Coś leci pustymi ulicami. Coś tętni donośnie, pogłos wzrasta... przybliża się.

Jakiż to wczesny znak życia?

Nie jest to pewnie wóz-śmietnik, bo dzwoni inaczej, sunie powoli... wiedząc, że co krok zatrzymać mu się trzeba, by nowe brzemie nabrać na się.

Nie pora mu zresztą jeszcze. Jeszcze ciemno i wóz śpi cicho, czyściuteńko wymieciony z wczorajszych obrzydliwości...

Coraz to głośniejszy tętent. To podkowy. Koń leci po nierównym bruku... rzuca się naprzód jak ryba we wodzie... pędzi wśród nocy.

Mignął w kopczącym świetle latarni dalekiej cień i poszła od zaułka do zaułka pogłoska:

Na rozpędzonym koniu, jeździec... do ciała przywiązany duch... duch jeszcze przed chwilą promienny, teraz poczerwiał jak ośniedziałe złoto.

---

<sup>38</sup>zamknięty (daw.) — dziś: zamknięty. [przypis edytorski]

Lecą. W omdłym ręku ducha nad ranem zwolniały wodze, czy chciał może doświadczyć siły swej... i uległ? Nie wiadomo. Koń niesie jeźdźca. Ratunku nie ma... Noc... ciemno... pusto... ni żywego człeka...

Pędzą... tam... ku... rzece... czy dokądś...

Może w ostatnią przed świtem kałużę użycia, świadomi, iż powstydzic się przyjdzie słońca...

Nie. Pędzą w dół, ku rzece... Niechby się wreszcie bestia i zatopiła... rzeka się dziwnie szybko sama oczyszcza... ale duch... duch... kto odwiąże ducha?

Łomocą po bruku podkowy, odbłysek skier krzesanych dolata... zniszczała cała cisza przedświtowa. Błądny tułacz pod progiem, który śnił o domu, nie mając czym doń wejścia opłacić, zbudził się i uczuł, że zimno, że bardzo zimno... Huczy po ulicach przeraźnie<sup>39</sup>, a echa echem podają gryzące, pilne pytanie:

Ale duch... duch... kto odwiąże ducha?

---

Zza węgła domu, ze szpary pomiędzy murem a parkanem ogrodu wypełzło coś. Le-ciuteńkie, szarawe tony przylgnęły już do ścian, choć na niebie zmian nie widać wyraźnych ku jasności. Zda mi się, widać łeb. Wieczysty, pretensjonalny żal, jaszczur zielony powraca z łowów nocnych.

Rusza się, miele żuchwami jaskry, stokrocie... Jada wszystko, mówią... wszystko, co się zjeść daje, tylko baczy, by nikt nie widział... przecież on „żał”.

Widzę go. Napęczniały, opity wodą, lśniący stoi w niepewnej, rodzącej się poświacie, u okienka piwnicznego i czeka na coś.

Jeszcze noc... jeszcze się liczy noc, jeszcze nikt nie widzi, że oto nażarł się znowu, że syty i dlatego to nie ginie... żyje ciągle, ciągle...

Syty? Wstyd... wstyd... Spaliłby się ze wstydu, okryłby się płomieniem przed oczyma człowieka, który by dostrzegł, że jada po nocy... do... sytości... Skandal!

Podniósł łeb... miele gębą, a z paszczy zwisają mu pęki ziela rozmaitego, nasiąknięte<sup>40</sup> wodą.

Wszyscy wiedzą, iż on... on... to tak zwana: „potrzeba duszy”... No, tego by jeszcze brakło.

Łypie oczami i spoziera w górę... Patrzy w górę. No, Boga nie wstyd mu chyba... któż się tam Boga wstydzi... to się nie liczy... to się nie liczy...

Spojrzał raz... drugi... i postąpił krok jeden, drugi i wsunął się do piwnicy.

Ale Bóg-Orzeł nie patrzył na niego.

Rozmawiał właśnie z wiatrem, który zerwawszy płachtę jakąś ze szczytu wieży ratuszowej, rzucił ją na plecy czekającemu pod progiem, zmarzłemu na poły.

---

Już świta, świta. Czuję, że kędyś hymny płyną, trąby grają. Modlitwa poważna, zamysłona. Jakie to JUTRO, to wstające... nie wiadomo wcale... może to wielkie...

Wznoszę się na fali modłów, jak dym pod obłoki.

Tu cicho jeszcze i pusto, nic nie gra... przywidziało się.

Jasność tylko rozlewa się z wolna, prostuje, kładzie na ziemi i patrzy z niska, skośnie po samej powierzchni ziemi.

W dole, słyhać skrzyp. Otwarto drzwi starej wieży. Idzie stary dzwonnik ogłaszać dzień nowy.

Ptaka zaśnionego<sup>41</sup> na ramieniu nie zbudził. Jak spał w fotelu, wstał i idzie. Idą razem głosić dzień nowy, ach... jaki dzień... jaki... czyli nie ów... ów, o którym się potem śpiewa dzieciom w kołyskach leżącym... dzień-baśń szczęścia...

Wstawaj ze snu, dzwonie.

Zwieszony kielich dzwonu jest jak kwiat o stulonych płatkach korony, w ten szary przebrzask.

---

<sup>39</sup>przeraźnie — dziś popr.: przeraźliwie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>nasiąknięty (daw.) — dziś: nasiąknięty. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>zaśniony (neol.) — dziś raczej: uspiiony. [przypis edytorski]

Śpi. Szemrze wiatr, słabo coś na rąbku spiżowym wygrywając. Szarpnięcia trzeba. Drżąca ręka starca spoczęła na ramie okiennej, dzwonnicy, siwa głowa zwrócona ku wschodowi. Stoi.

Serce uprzedziło dzień, przymusiło stare nogi, ręce... Serce bywa czasem dokuczliwe.

Szarość się srebrna rozplynęła wokół, a z tej topieli wynurzać się powoli zaczęły zębate szczyty, ostre igły, długie grzbiety nasiekane i spuściste garby dachów.

Jako prawda uznane i dlatego natrętne, co dnia się narzucające panowanie złudy po-  
cznie się niebawem.

Chociaż kto wie... nie powiedziano wyraźnie, po czym to poznamy ów świt inny, upragniony.

Ostatnie momenty skupienia w ciszy i bezkształcie, kiedy dusza nie rwie się jeszcze w stu sprzecznych kierunkach.

Słyszę pacierz poranny obłoków poważnie sunących, ledwo zarysowanych na niebie.

Dzwonnik czeka z ptakiem zaśniejonym na ramieniu.

---

Bóg-Orzeł posłyszał oddech przyspieszony, gorączkowy. Tam w dole pracował człowiek, śpieszył się...

Z wysiłkiem, z napięciem całej woli pracował ów człowiek łopata. Wbijał ją w twarde, kamienisty grunt i wyrzucał w powietrze czarne, rozlatujące się gruzły.

Padły z ciężkim łoskotem, podobnym do westchnienia.

Tak, tak, pomyślał, śpieszy się... a wiedząc, iż mu ulży i sił doda, pytając (bo człękowi pomaga rozmowa o wielkim celu), zagadnął:

— Hej! Jakże tam robota?

Gruzły przestały padać, łopata szczękła<sup>42</sup> o bruk, a z dołu doszły wyrazy wyrzucone ze zdyszanych piersi:

— Idzie... idzie... bo ja wiem zresztą... Może... gdyby noce dłuższe... gdyby długo, długo pożyć...

— Albo mieć komu zostawić łopatę...

— Hm... to trudno... trudno... Wolałbym dożyć...

— Nie bój się! Nie bój! Dożyjesz... myślę, że dożyjesz...

— Tak myślisz... ano to i dobrze...

Znowu rozległo się pośpieszne kopanie. Człowiek pracował, by nagrodzić czas paru sekund na rozmowie zmarnowany... Tętniło o kamienie żelazo, padły z ciężkim postę-  
kiem wielkie gruzły ziemi... a nad pracującym coraz to się robiło jaśniej i jaśniej.

— Co on robi? — spytałem wszytkowidza<sup>43</sup> zawieszzonego wysoko.

I usłyszałem werset znany, ach znany... ale zapomniany werset z pieśni *O krzyżowaniu Tęsknoty*.

„I dam im moc wytrwania, iż ze świata ducha uczynią przekop w życie  
codzienne, a wody niebiańskie spłyną i omyją, i użyzną je... i pięknym się  
stanie”.

Zawieszony na skrzydłach wysoko Bóg-Orzeł patrzył na wznoszący się, to znów chy-  
lący grzbiet pracującego z wysiłkiem i przytakiwał głową jego ruchom.

On, zdało mi się, on jeden, jedyny na całym świecie przytakiwał mu... Chociaż może...  
Może gdzieś w ciemności skryty... zadyszany, z sercem głośno tętniącym któż wie jakimi  
prześczeniami i czasami odległy mozolnie pracuje jeszcze ktoś inny, śpiesząc się, nim  
wезде słońce i przywiedzie przechodniów... brat po duchu i tęsknocie nieznany... od  
wieków i na zawsze niepoznawalny... daleki, a bliski jak druga gwiazda jednej konstelacji...

Grzbiet ruszał się, wyblyskiwał z ciemni i tonął w niej znowu, ostrze łopaty migąło  
w powietrzu rozjaśnionym już teraz bardziej.

I tak pracowali obaj, ten na ziemi i ten w górze, a posłaniec jutra, anioł skrzydlaty  
stał opodal i czekał.

---

<sup>42</sup>szczękła — dziś popr.: szczęknęła. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>wszytkowidz (neol.) — wszytkowidzący. [przypis edytorski]

Wiedziałem... gdy odejdzie pracownik Boga, anioł usiądzie<sup>44</sup> na wale świeżej ziemi i nakryje przekop skrzydłami.

Wiedziałem... czuwa tak co dnia... co dnia... rękami odsuwając różnych ludzi... różne zamiary... strzeże roboty świętej przed pysznym bezrozumem jawy.

---

Posłyszałem westchnienie. Ledwo zadrgały odeń szyby, ledwo się ujawniło, ale ktoś wie, jak silne było w miejscu swego poczęcia, jak wielkiego bólu było znakiem...

Zbudził się ten tęskniący, który czeka odpowiedzi ziemi i waży w ręku każdą zjawę.

Zbudził się. Ciemno było wokół, nic nie widział, czuł jeno, że leży na wonnej, ciepluchnej pościeli, a w powietrzu nad nim wisi nieruchoma fala zapachu.

Paliłem wczoraj, myślał, kadzidło, leżałem krzyżem przed obliczem wyśnionej pierwszej litery imienia nowego Boga... ot tam leżałem z jękiem wielkim:

Zjaw się! Zjaw!... błagałem... i wszystko nadaremnie.

Tak było: ...w cudnej, kamieniami zbieranymi po całej ziemi, siedmiobarwnymi, najdroższymi klejnotami sadzonej kadzielnicy ze złota palił się on sam w męce nieopisanej miast<sup>45</sup> kadzidła, ku czci Boga.

Zjaw się! Zjaw!... błagała jego dusza.

Jawiły się twarze przerozmaite, ale wołał do każdej zjawionej<sup>46</sup>:

— Nie ty! Nie ty! Nie ty!

Zdawało się, jakby tęsknota jego bezskrzydła była i odziewała się jeno w szaty szarej barwy, podjęte z pyłu dróg publicznych ziemi.

— Nie ty! Nie ty!... — wołał. — Zdejmijcie maski, o bogowie, albowiem znam was wszystkich i bibliotekę posiadam świętych ksiąg ogromną.

Przestali mu się tedy zjawiać.

Owinęły się chmury jak u szczytu jedli o jego duszę i dumał skryty, odpędziwszy kształt wszelaki.

Dumał w ciszy o promieniu siły bezformej<sup>47</sup>, bezdźwiękiej<sup>48</sup>, o przelewaniu się jej w próżnię od wieków... w próżń<sup>49</sup> straszłą, gdzie wyzbywszy się wszystkiego prócz bycia, tkwiła zawieszona, bezojczyzniana... serce ludzkie... on sam.

Marzyło mu się dalej pochłanianie owej siły, ekstaza sytości wiecznością... niewysławialne obcowanie z Niewysłowionym.

Zbudził się... ciemno...

— To nic — myślał — wszak odpędziłem kształty, uczyniłem się naczyniem próżnym, w które splywa napój widzenia.

Ciemno... to dobrze... to jest światłu żywemu uczyniona droga, by przyszło, przez mrok się ścieląc...

Objąć ją, tę ciemność silnie w ramiona, by nie pierzchła, by nie odeszła, jak odchodzi wszystko...

Zerwał się, ukląkł, wyciągnął przed się ręce chciwe...

Nagle tuż obok usłyszał lekkie westchnienie, jakby kogoś budzącego się.

Zdrętwiał nagle, nie śmiejąc głowy zwrócić ku stronie, skąd głos doleciał.

Myśl jego szeptała bezgłośnie, błagalnie:

— Zjaw się! Zjaw się!

Ale cisza znów zaległa głęboka, więc oprzytomniawszy nieco, począł szukać wokoło siebie, a jednocześnie, z wolna zaczęło wracać wspomnienie dnia ubiegłego... z cieniów świadomości, niby konary z mgieł pod wiatru wiewem, mgliste zrazu, potem coraz to jaskrawsze, wylaniały się kształty.

Za każdym takim uświadomieniem, jęcząc boleśnie, jakby go biczowano u słupa, szeptał:

— Ona... tak... ona... ona... włosy jej, ramiona... tak... oczy... to... ona... tylko... ona...

---

<sup>44</sup>usiądzie (daw. forma) — dziś: usiądzie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>miast (daw.) — tu: zamiast, w miejsce czegoś. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>zjawiony (daw.) — dziś raczej: zjawiający się. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>bezformy (neol.) — nieposiadający formy. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>bezdźwięki (neol.) — niewydający dźwięku. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>próżń (neol.) — próżnia. [przypis edytorski]



Kilka lez gorących spadło z wysoka na twarz zaśnieonej, więc ocknęła się i wyciągając w ciemną dal ręce, spytała pośpiesznym, cichym szeptem:

— Co ci to ukochany? Co ci to?...

---

Dzwon! Dzwon! Dzwon! Bije dzwon!

Strzał armatni wstrząsnął szarą, ciężką oponą co niebo słoniła<sup>50</sup>.

Pękła.

Drugi strzał.

Siecią srebrnych pęknięć pokryły się niebiosy, a tam, gdzie, zda się, padł pocisk tonu, na wschodnim skłonie firmamentu, złota rozlała się krew.

Ścichło znów.

Bije dzwon. Kręgi się podnoszą wirujące szybko. Wichr je podtrzymuje w locie. Płoszą rozpędem czarniawe zbite, kry- chmury.

Uciekają, tłoczą się, jak z owczarni wypędzane przez psa czarne barany. Zbijają się we wał<sup>51</sup> na zachodzie, potem toną w jakimś przepastnym, dalekim morzu.

Wtem nagle człek pod progiem czekający, okryty od zimna sztandarem z wieży... podniósł na światło coś błyszczącego, a Bóg-Orzeł spojrział z góry. Pochylił się na potężnych, nieruchomych skrzydłach i spytał:

— Cóż to masz?

Człek drgnął. Trwożnie obejrzał się wokół i schował w zanadrze rzecz trzymaną w ręku.

— Nie bój się! To ja — krzyknął mu spod gwiazd wszystkowiedzący.

Obłądnik spojrział w górę i kiwnął Orłowi na dzień dobry głową. Znali się... dobrze się znali...

Wyjął, co skrywał i podnosząc rzecz błyszczącą, zawołał:

— To... z samego... dna... z sa-me-go dna...

— Skarb?

— Nienazwany żadnym imieniem... przeto nie będą wierzyć, ale skarb. Ja wiem.

— Więc im go nazwij!

Ruszył ramionami i uśmiechnął się wzgardliwie...

— NAZYWAJĄCY jeszcze śpi... ty sam wiesz... SĘDZIA WARTOŚCI NOWYCH jeszcze się nie narodził... nazywać nie można, bo w szkło się zmieni każda perła z samego dna dobyta...

Patrzył na rzecz trzymaną w ręku i kiwał smutnie głową. Potem westchnąwszy, rzekł:

— Ot i koniec, rzekłem szkło... i stało się szkło... Nie pora spoczywać...

Ruszył spod proga, w dalszą tulaczkę, a Bóg-Orzeł nie namawiał go, by spoczął... Daremne... jakby daremnym było prosić czas, by stanął, choćby to miało przyczynić życia komuś, kogo się bardzo, bardzo kocha...

Szedł prosto przed siebie, drogi nie pytając, a z pleców zwiślał mu sztandar wypełzły, płaszcz darowany przez wiatr.

---

LOS-ODŹWIERNY sapnął głośno i kopnąwszy kołdrę, spuścił na ziemię długie, kosmate swe nogi.

Przeciągał się, stojąc nad pustą miednicą.

Zadumał się... Jakiż to u licha dzisiaj dzień... ..ha?... Spojrział w okno, posłuchał przez chwilę... nic.

I po rozwadze, zważywszy, że dzień to bardzo sobie zwyczajny, a do onego JUTRA pewnie jeszcze dość daleko i czasu dość... uznał, że myć się nie warto.

W otwartej bramie stał dobrą chwilę.

Pusto było. Nie czekał nikt... ale to nikt dosłownie, jeśli mowa o ludziach. Kot jeno wraz z odźwiernym wyszedł z podwórza znużony nocnymi lowy<sup>52</sup>, a nienapasiony nimi, i wyprężony grzbiet, machał ogonem z rezygnacją.

---

<sup>50</sup>słonic (neol.) — zasłaniać. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>we wał — dziś: w wał (choć: we wtorek). [przypis edytorski]

<sup>52</sup>nocnymi lowy — daw. forma N.lm; dziś nocnymi lowami. [przypis edytorski]

ODŹWIERNY-LOS pomyślał: Nie czekał nikt... znowu dziś nie czekał nikt... hmmm... to dziwne... nie ma tego, kto by plon nocy dniowi przynosił... Przepaść... istna przepaść... bez mostu... bez najwęższej kładeczki... Zresztą... diabli mi tam do tego... Nie moja w tym głowa! Niech ich tam siarczyste pioruny...

Klął, ale nie był pewny. Przeciwnie, gdzieś w głębi świadomości czuł, że oto mogło się stać, iż wielu, wielu odeszło, znudziwszy się stanem... dzwonieniem nawet... dzwonieniem... Odeszli, zrzekłszy się schrony<sup>53</sup>, przyjaciół miłości... bóstw mających tu swą świątynię... bóstw, o które spytać zawsze warto, bo nie wiadomo, które zostanie ukoronowane na Pana nad Pany, skoro nadejdzie on dzień... on wielki... oczekiwany...

Przez chwilę stał zapatrzonej w niebo, jakby śledził drogę dusz, co ostatniej nocy odeszły do OJCZYZNY.... potem powiódł po ziemi oczyma, jakby stóp śladów szukając w złe i dobre drogi idących po ciemku, za niewyraźnym głosem... dumął też o tym, co mu i czy mu cośkolwiek INNEGO zrobić wypadnie dzisiaj.

Stał nierad wracać do zwyczajnej pracy, stęskniony za odmiennym bodaj ruchem rąk...

Nagle tupnął.

— Psiakrew, sto tysięcy diabłów!! — i splunął z pasją.

Złości było dość powodów... wreszcie i do siebie się zwracał, do ogarniającej go ociężałości, i... do... owych, do owych, co... pono<sup>54</sup> myśleć mieli o jakimś ponagleniu, o jakimś sposobie, by nareszcie się stało coś... coś... co przepowiedziane...

— Zatracona ich mać! — mrucał, idąc w głąb podwórza, ku swej izdebce, gdzie głośno chrapiąc, spała wśród pierzyn żona jego, tuląc do siebie dzieci... jedno... drugie... trzecie... czwarte...

Stał chwilę z rękami w kieszeniach spodni i patrzył na śpiących, potem splunawszy niechętnie, wziął z kąta miotłę przytartą już porządnie i wyszedł.

Idąc, mamrotał końcami warg pacierz codzienny. Czasem przymieszała się do słów nabożnych, jakowaś lżejsza klątwa, czasem je rozdzieliło splunięcie...

Zamiatął sień, podnosząc tumany kurzu.

\*

Zadudniły ganki, skrzypnęły drzwi, ukazały się wnętrza straszne, nieposłane łoża rozpuszty, stoły ciekące winem, twarze się wychyliły pijane, żółte, blade, o podkrążonych oczach... a wszystko to spozierało tam, skąd szedł dzień... a wszystko pytało niemo dnia, co szedł:

— Coś ty zacz?... kiedyż nadejdzie ów... wielki?

Zajęczały deski pod stopami, biedne deski ganków spiętrzonych jedne nad drugimi... Kobieta z wielkim koszem na ramieniu pobiegła do miasta po sprawunki...

Bóg-Orzeł z wysoka rzucił pióro z swych skrzydeł do zabawy dziecku, co zadumane na kupie przygotowanego do wywózki śmiecia patrzyło na swe ręce bezczynne.

Podniosłem ku niemu oczyma. Wisiał na błękitcie nieruchomy, maleńki, teraz niedostrzegalny tym, którzy zajęci są zawsze rzeczami położonymi nisko.

Wpatrzyłem się we wszystkowiedza, przed którego okiem, mówią, nic złego ni dobrego utaić się nie może... i zdawało mi się, że bystrooki, zwany latarnią morską świata, patrzył za czymś z wytężeniem, a dojrzeć nie mógł.

Wisiał na zawrotnej wyży i zwarty w sobie, skupiony, cichy wypatrywał na wielkiej, niezmierzonej rozchwiei zjawisk, tropów onego marzonego, idącego z bezmiarów przestrzeni, wielkiego świtu ziemi.

## *Pociąg nadzwyczajny*

Tętniły sygnały. W czarnej nocy jarzyły się ślepie czerwone, zielone, żółte. Jasne trójkąty zwrotnic, plamy lamp i latarń nie oświecały niczego, jakby w zawoje, we mgły kłęby okryte. Majaczyły tu i ówdzie kawałki szyn, porudziałe od drzemającej na nich poświaty, ale

<sup>53</sup>*schrona* — dziś: schron a. ochrona. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*pono* (daw., gw.) — podobno. [przypis edytorski]

nie szły w głąb, przerywały się co chwila, w głębi zaś była niepewność, ruch chaotyczny i szerokie, czarne pole dla wszelkiego przypadku. W ciemności poruszały się nieokreślone postacie, płały cienie dziwne, zmienne, nieuchwytnie, szemrały w rytm deszczu słowa, brzmiały rozkazy, nawoływania, a wszystko było niespokojne, niepewne, zachwia-  
ne w mocy swej przez mrok, mgłę i sieczenie kropel wody. Zdawało się, iż wszystko co ludzkie, co rozumem urządzone i przewidziane, co doświadczane w rozlicznych wypadkach i w warunkach światła i pogody, teraz skurczyło się, zmałało i tylko jeszcze sili się na ton pewności, na spokój i powagę, ale wszelaka gromkość i rozmach zatapia się w pomroce, staje bezsilną demonstracją, pozorem... niczym.

Panował LOS. Właśnie przed chwilą objął służbę. Siedział niewyspany, spotniały u stolika i poruszał drżącą ręką papiery. Przed nim gwał się w dziwnych ruchach młody człowiek. Naciągał pośpiesznie mundurowy płaszcz, jednocześnie recytując sprawozdanie:

— Pan naczelnik spóźnił się nieco, przeto odebrałem z przestrzeni co trzeba... regularnie... tylko nadzwyczajny... ostre krzyżowanie z personką<sup>55</sup>... nic szczególnego... jakaś wycieczka... zatrzyma się... aha... tu nowe doniesienie na Gnoma... Rył, prosił... Zresztą najmocniej przepraszam... mam tu pożegnać siostrę... sługa najniższy... upadam do nóg Pana naczelnika dobrodzieja!

Znikł w otworze drzwi, zanim zawiadowca mógł mu rzucić swe ospałe „Dziękuję!”. Zawiadowca potniał i trząś się jednocześnie. Kołnierz munduru podstąpił w górę skutkiem siedzenia na niskim krześle. Dławił go. Lekki, ale nieznośny szum w głowie... drganie jakiegoś ogromnie przykre w całym ciele... od czasu do czasu strzyknięcie... ale nade wszystko ten straszny ruch w żołądku, ten dziwny ruch skądś z głębi trzewi... ku gardłu... uuuch! Ta fala kwaśna, gryząca, co niesie na siebie różne smaki... Drżał... ale poprzez wszystko słyszał jeszcze tętnienie dzwonka elektrycznego... Służba...

Zwłóknął się z krzesła, westchnął i skierował się ku drzwiom. Idąc, otulał się starannie płaszczem.

Wkroczył w noc i począł się posuwać naprzód, nastawiając głowę pod prąd wiatru, który mu rzucał deszcz w oczy. Nie widział nic. Ledwie postąpił kilka kroków zatoczył się, z nagłą potracony.

— Uważaj cymbale! — krzyknął za śpieszącą się postacią.

— Sameś<sup>56</sup> cymbał! — usłyszał odpowiedź.

Zatukło mu się w żołądku, uczył zawrót głowy. Za chwilę, gdy jakoś przeszło, powłóknął się dalej drogą, przecinaną przez światło i ciemność, ku zwrotnicy.

Irytowało go wszystko. Podniesione kołnierze płaszców u służby kolejowej, wciśnięte na czoła czapki, ostrożne chlupanie nóg po wodzie, to, że nikt go nie spostrzegł, nie kłaniał się...

— Michał! — zawołał wściekły.

Ale nikt mu nie odpowiedział.

— Bydło! Bydło! — mrucał pod nosem. — Niechże was diabli...

Uczuł, że idąc, ociera się o ludzi, o większe grupy ludzi szepczących.

— Tyle ludzi... tutaj... w takiej dziurze... i to wśród deszczu?

Przyspieszonym krokiem ktoś biegł za nim. Obrócił się.

Coś dźwięczało, światło latarki podskakiwało.

Zatrzymał się.

Człowiek ociekający wodą, zadyszany począł mu się w pas kłaniać.

— Melduję się posłusznie... Gnom... ślusarz... kontrola osi... proszę też łaski Pana naczelnika... przepraszam... ale potem odjeżdżam szesnastką...

Wielka torba zwiślała mu z ramienia niemal do ziemi, na piersiach miał latarkę, w rękę młotek na długiej rękojeści.

Zawiadowca wyprostował się z godnością.

— To wszystko nieprawda... co on tam napisał... to fałsz... klnę się, przysięgam... proszę też łaski wielmożnego pana naczelnika...

— Daj mi spokój! Co mnie to... pójdzie do dyrekcji!

<sup>55</sup>personka — osobowy. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>sameś — skrócone: sam jesteś. [przypis edytorski]

— Na rany boskie... na rany boskie... niechże się pan naczelnik zmiłuje... To wszystko ten Fafajda... on, na pewno... ze szczerzej zazdrości.

Ale zawiadowca nie słyszał lamentu. Już od chwili począł chwytac jakieś dziwne słowa, nastawił tedy uszu. Od bliskiej grupy ludzi szedł szmer głośny. Z podniesioną do postawienia kroku nogą posłyszał początek, ale zanim się doczekał końca, chlupnął w wodę. Prysnęła wysoko. Mimo że uczył ją na twarzy, nie przyszło mu na myśl zakląć. Podniósł tylko rękę i przerwał potok wymowy ślusarza. Słuchał.

— Jada! Jada! — mówił głos w ciemni.

— O Boże! Ześlij na nich swoje błogosławieństwo!

— I na ich dzieci i na ich mienie.

— Cudny lot... hej orły... hej orły nasze...

— Wszyscy!

— Dusza świetlana idei wzięła tysiąc ciał, aby się wyżyć mogła potężniej... szczytniej...

— Historia zapisze... ten dzień... to miejsce...

— Cicho... cicho... konspiracyjnie...

— Nie będę cicho... za długo byliśmy cicho! Niech żyją!

— Tak! Rzecz się domaga wielkich słów... hymnu...

— W ogóle... czemu się to dzieje w nocy?

— Jak to... a policja...

— Cicho, Władek... tyle razy ci już tłumaczyłem...

— Ale bajki... dziś jest co innego...

— Stulże pan pysk! Proszę najuprzejmiej...

— Kto gada?... hej...

— Cicho... słyszałem, że naczelnik zakonspirowany... służba... wszyscy...

— Aha! Więc będą mowy...

— Kto to gadał o pysku?

— Już poszedł. Daj pan spokój.

— Ale niech ten pan nie przychodzi...

— Dobrze. Powiem mu!

Śmiech się zerwał, ale uciął zaraz.

— Jada wszyscy. Powiadam, wszyscy. Tego nie było jak dawna historia!

— Kwiaty... powiadam, kwiaty! Myśl przyszła rankiem i wzięła w welon swój zlocisty wszystkie kwiaty, jakie zakwitły w ogrodzie. Niesie je do BOGA. Oto, powie mu, co znalazłam w ogrodzie. Nie daj go podeptać... nie daj! Takie wydaje kwiaty...

— A jednak nie wolno kwitnąć... *strengstens verboten*<sup>57</sup>...

— Cicho... cicho... nie słyszę dudnienia szyn, a przecież ja jestem od słyszenia, jak dudnią szyny...

— Chronić ich Panienko Najświętsza!

— Wszyscy wstali przed świtaniem... biali starcy... cudne kobiety...

— Pany... chłopcy... chłopcy... pany...

— Kwiat narodu!

— Cicho, cicho! — doleciało z dali — Delegacje z wieńcami naprzód!

— I czemuż to tutaj? Taka dziura!

— Dokument... Znak... Gdzie indziej... nie wolno.

Ktoś zbliżył się szybko do grupy.

— Kolego... a gdzie Prezes, nie mogę go znaleźć!

— Prezes?... Zajrzyj do bufetu.

Skądś, z dalsza dobiegła komenda.

— Porządek! Bacność! Chodem marsz!

— Do jakichże cudnych zórz płyniecie duchy... na jakież jasny szczyt?

— Poeto... potem... potem...

Zaszeleściło wokół, jakby wieńce tarły się o siebie w ciemku<sup>58</sup> liśćmi lauru i szarfami o złotych napisach.

Zawiadowca chwiał się na nogach jak pijany.

<sup>57</sup>*strengstens verboten* (niem.) — najsurowiej. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*w ciemku* — dziś: po ciemku a. w ciemności. [przypis edytorski]

Ślusarz, włożywszy młotek do torby, oburącz ujął go za łokieć.  
 — Jezus Maria! Cóż to wielmożnemu panu naczelnikowi!  
 — Nic, nic! — odparł. — *Herr Gott*<sup>59</sup>... i żadnej instrukcji! A może co jest! Może telefon... nikogo nie było przy aparacie... *Herr Gott!*  
 Porwał się za głowę i z miejsca ruszył pędem do biura.  
 Leciał. Woda bryzgała mu na twarz, na piersi, na czapkę, tryskała wokoło tak, że ludzie rozskakiwali się przed nim.  
 W biurze stukał aparat. Puścił pasek i wpił się weń wzrokiem.  
 — *Sechs Wagen Zuchtschweine*<sup>60</sup>... Kierpeć & Kula... Dziedzice... nie, nie... Szła jakaś depesza.  
 Skoczył do telefonu. Zadzwoił.  
 Cisza. Dzwonił... dzwonił... dzwonił...  
 Poprzednia stacja spała już widać po wypuszczeniu w odstępkach obu pociągów. „Personka” tutaj schodziła na drugą linię.  
 — *Herr Gott! Herr Gott!*  
 Rozpaczliwie rozejrzał się wokoło, szukając pomocy.  
 Przy drzwiach stał ślusarz. Oczy miał szeroko otwarte, przerażone. Młotkiem na długiej rączce wywijał w powietrzu młyńca.  
 Zawiadowca patrzył jak lunatyk.  
 „Tak, tak! — przemknęło mu przez myśl na widok tego wywijania. — *Aushalten*<sup>61</sup>... Dobrze by było, ale jak... jak to zrobić...”  
 Patrzył na ślusarza i kiwał głową jak oszalały Chińczyk porcelanowy.  
 Wreszcie zdecydował się. Siadł przy aparacie i znakiem właściwym przerwał depeszę.  
 „Mniejsza z tym — pomyślał — zapłacę... wytłumaczę się... pal diabli te świnię zatracone!”  
 Wołał... wołał... wołał... alarmował... beszał wreszcie kolegę siedzącego przy przesyłaczku... groził doniesieniem... Cisza.  
 — Ja ci dam obrazę, szelmo jakaś! — wrzasnął. — Nie gada łajdak! Pewnie wziął za świnię... Kanalie! Kanalie!  
 Zaczął rozpaczliwie wołać:  
 — Michał! Michał! Michał!... Jarzyński... *lampist!*  
 Był bezprzytomny.  
 — Dobrze by pana Ignaca! — poddał ślusarz.  
 — A gdzie pan Ignac?  
 — Niby na placu.  
 — To leć!  
 — Lecę. Ale on nie na placu skrót tej panny... wiadomo...  
 — Więc gdzie...  
 W tej chwili zadudniało na dworze, przemknęły przed oknami biura czerwone oczy wielkiej lokomotywy, zazgrzytały hamulce, okrzyk z wielu, wielu piersi wstrząsnął powietrzem, stało się niemal jasno, a wszystko pokryła sobą fala pieśni potężnej, rozlewnej, zrywającej tamy ciemności, wątpienia, niepewności i złudzeń.  
 Zawiadowca zaraz za progiem utknął w tłumie. O pełnieniu służby nie było co myśleć. Noc wyrzuciła z siebie masy niezmierne i stłoczyła tak, że pociąg ugrzązł w nich formalnie. Jaśniał jak brylant na czarnym aksamicie, na tle nocy.  
 Okna zatłoczone były głowami, ale rysów rozpoznać nie dało się stąd.  
 Tysiące rąk powiewało chustkami, kapeluszami...  
 Serca tętniły głośno, gorący oddech uniesienia kłębił się jak kurzawa gęsta nad ludźmi i coraz huczniej, śmielej, płynęła pieśń.

Zwycięzać noc...  
 Iść świtem poprzez ciemnie...  
 Wstań! Wstań!  
 Wstań! Budzę cię tajemnie...

<sup>59</sup>*Herr Gott* (niem.) — Panie Boże. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*Sechs Wagen Zuchtschweine* (niem.) — sześć wagonów świń hodowlanych. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*aushalten* (niem.) — wytrzymać, dotrwać, tolerować. [przypis edytorski]

Wstań budzę cię o zorzy...  
Jestem moc...  
DUCH BOŻY!  
Niewoli gród...  
Zburzyły wichry duchy  
I każdy niesie krzyż...  
Bierwiono każdy wlecze  
Mój LUD.  
Przenosi ściany wzwyż...  
Nad mgły, nad zawieruchy...  
Serca człowiecze.

Rozchwiały się pieśnią ciemności... rozświetliły, dodając ech, dodając modulacji niekończonych, jakby wszystko jeszcze było za małe, zbyt nikłe.

Ludzie powtarzali słowa niejasne, radosne, pełne obietnic, łkali... Przerywano okrzykami. Chwilami słychać było teraz głos mówcy.

— ...symbolem odnowy... ruchu zbiorowego w przyszłość... Jakież naród widział podobny czyn? W ciszy głębokiej, kiedy prześladowcy zasnęli, zeszedł anioł z nieba i usiadł na grobie. I pękła płyta, gdy jej dotknął dłonią...

Jakaś grupa zaczęła śpiewać. Uciszone śpiewających.

— ...bo oto Pan woła cię na ucztę, a chleb, który z tobą łamać pragnie, jest to nowe życie... a wino, które chce z tobą dzielić, to krew odnowy. Zaprawdę... któż widział taką komunię narodu, od kiedy istnieją narody ziemi!

Wśród ciszy poczęło coś dzwonić. Od czasu do czasu brzękło coś, jakby opadła jakaś ogromna kropla wody.

— Dzyńńń!

— ...więc patrzy świat zdumiony na duchy-żurawie, które za cichym głosem płyną ufne, beztroskie... klucz karny i potężny tą powolnością dla głosu...

— Dzyńńń!

Podniosły się głosy oburzenia.

— Cóż to za cymbał tak dzwoni... wyrzucić go!

— To nic! Kontrola osi... głupstwo. Nie przerywać! Cicho!

Znowu wybił się głos mówcy.

— ...nie wiedział wróg, że na pustce wioski małej przystanął orszak królewski, korowód sławy. I któż znał nazwę tego miejsca wczoraj jeszcze?

— Dzyńńń! — brzęczało coraz bliżej.

— Podobnie nikt nie zna przed bitwą nazwy, która złotymi zapisze się głoskami w Panteonie serc, nikt nie wie, gdzie leżą nasze przysze Grunwaldy ducha... I może właśnie tu... może właśnie tej nocy...

— Dzyńńń!

Wszczął się rumor.

— To nie do wytrzymania...

— Dawać draba jednego... to umyślnie...

— To jakiś anarchista...

Nagle rozbrzmiało wołanie gromkie.

— Na bok! Na bok! Pociąg idzie! Uciekajcie!

A jednocześnie zajękła<sup>62</sup> gwizdawka urzędnika.

— Jazda! Odjazd!

Odepchnięty strachem niebezpieczeństwa i łokciami służby, tłum zatoczył się wstecz. Odkrył się tor przed pociągiem nadzwyczajnym.

Zamigotały latarnie i na stację wpadła „personka”.

— Odjazd! Odjazd!

Trąbka zabrzmiała i pociąg nadzwyczajny ruszył powoli. Daremnie jednak sunął przed osobowym. Personka zakryła go powoli długością swoją.

<sup>62</sup>zajękła — dziś popr.: zajęczała. [przypis edytorski]

Dwa te ruchy tak się zmieszały, pożegnanie tak zostało nagle przerwane, że tłum przez chwilę oniemiał i dopiero kiedy zabrzmiał hymn, począł się znów kołysać i falować.

Ale był to już ruch wstecz. Nagle powiało zimnem, wszyscy spostrzegli, że ciemno i że deszcz pada... że daleko do domu... pod dach bodaj...

Zawijano się troskliwie w okrycia i wszystko potoczyło się ku wyjściu.

Tłoczono się teraz, ale inaczej... ordynarnie... szukano sobie miejsca kułakiem, gdy inaczej być nie mogło. Tu i ówdzie ktoś zaklął. Spluwano gęsto, ucierano nosy. Przez chwilę tętniły miarowe kroki, jakby odchodzącego oddziału. Milkło wszystko tak szybko, jak szybko znikają obrazy snu czarownego, przepadało jak one, niksące przecież, zanim się jeszcze rozewrą oczy zbudzonego.

„Osobówka” była długa, ale niemal pusta i ciemna.

Z jednego tylko wozu dochodziło jęśliwe zawodzenie jakiegoś znudzonego alkoholika.

— Ooooooj! Mówiła wrona wrooonie... Nie chodź pooo zagooonie...

Z innego wozu dama w chusteczce na głowie wyglądała ciekawie.

Ktoś jej rzucił słowo.

Roześmiała się i odrzuciła dowcip oklepany.

Tłum topniał, wsiąkał doszczętnie w noc, jak woda w czarny miał węglowy zaścielaający ziemię na stacji.

Konduktor „osobówki” z latarką uczepioną u guzika wychylił się daleko poza most wagonu i patrzył, czy w dali dostrzeże trójkąt zwrotnicy, wskazujący, że nastawiona dobrze.

Drugi chodził machając lampą. Od zwrotnicy kroczył zawiadowca. Gdy się zbliżył, podniósł do ust gwizdawkę i dał sygnał. Jęknęła trąbka. „Osobówka” powoli poczęła się posuwać.

Znudzony pasażer zanucił znowu:

— Ooooj mówiła wrona wrooonie...

Dama rzuciła w ciemń całusa.

Gdy pociąg przeszedł, ukazał się widok niespodziewany.

Przygasły już nieco... nieco rozespany stał jednak ciągle jeszcze pociąg nadzwyczajny, stał sobie spokojnie na torze i czekał.

W snopach przenikającego co jeszcze światła, widniały zarysy wieńców, połyskiwały cylindry, migotały kapelusze pań, ale czasem mignął odejścia „osobówki”.

Zawiadowca stał w miejscu, gdzie dawał sygnał też biały rękaw koszuli, szal się zatrzymał w powietrzu... układano się do snu widocznie.

Powoli z ciemni wyblysnęła iskierka latarki niesionej i poczęła się zbliżać.

Był to ślusarz, wracający po służbie. Szedł, a ramię opadało mu ku ziemi pod ciężarem wielkiej torby, z której sterczała długa rękojeść młotka.

Właśnie przechodził popod<sup>63</sup> oknem jednego z wozów pociągu nadzwyczajnego, gdy okno się opuściło w dół i siwy jegomość, wychyliwszy się, zawołał:

— Panie... człowieku...

— A wedle tam czego? — odmrunknął niechętnie ślusarz.

— Prędkoż my pojedziemy dalej?

— Ha... Bóg to raczy wiedzieć proszę jaśnie pana dobrodzieja...

— Cooo?

— Osie mają *beisslauf*<sup>64</sup>... proszę jaśnie pana dobrodzieja...

— Co to znaczy? A może my musimy przesiadać...

— Ta niby to i tak by znaczyło... ale nie da rady... bo nie ma wozów na takiej małej stacji, proszę jaśnie wielmożnego...

Zawiadowca LOS uśmiechał się teraz. Nie czuł już nudności... ani nawet strzykania w głowie. Ba, samo nawet owo drżenie bolesne gdzieś się podziało. Nie ma jak emocja... nie ma jak ona... myślał.

— Na Boga... cóż to wszystko znaczy! — wykrzyknęła spoza jegomości jakaś dama otulona w szal.

— To znaczy, proszę jaśnie pani dobrodziejki, że osie mają *beisslauf*.

<sup>63</sup>popod (daw.) — pod. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>beisslauf (z niem.) — przegrzanie (urządzenia w wyniku intensywnej pracy). [przypis edytorski]

— Więc może pan, panie zawiadowco, — zwrócił się do stojącego nieco dalej — może pan zechce łaskawie poinformować mnie, dokąd będziemy tak stali?

Zawiadowca podszedł z ugrzecznieniem i przyłożył rękę do daszka kepi.

— Aż do dalszego zarządzenia łaskawy panie... aż do zarządzenia... które oczywiście... naturalnie... ale proszę się nie obawiać... już dałem notę... właśnie dałem notę.

## Gościniec dusz

Czarne zwały fal przelewały się niespokojnie, dęły się i rozluźniały na przemian, podobne muskułom olbrzymiego ciała gorączką trawionego, podobne rytej histerią twarzy, myśli wichrem brużdżonemu czołu... na grzbietach fal biała strzępiła się piana.

Pociemniało już stare, odwieczne niebo, pustynia, kędy tyle od wieków przemieszkowało stworów dziwnych, ciągle innej postaci, ciągle pożądanym tym pelzającym po dołach bogotwórczym... tym, jako morze ustawną targanym udreką.

Noc nachodziła świat burzliwa, zdradna<sup>65</sup>, żądna łupu, kryjąca zamachy w sobie, do złego skłonna...

Pomału, ostrożnie zstępując ze śliskich grzbietów fal w parowy płynne, migotliwe nawet w pomroce, to znów dźwigając się na wyże, nie wiadomo skąd się jawiące, po szafirowym morzu sunął wielki okręt.

Śmigłe maszty darły się w górę, wydymały się białe, na zieleni ciemnej toni żagle, skrzypiały na wietrze reje, a z pokładu zapełnionego tłumem ludzkich postaci dochodziły dźwięki poważnego hymnu o modlitewnych akordach.

Na pomoście przednim, wysoko, widoczny wszystkim innym stał kapłan w białą ubrany szatę.

Orlim wzrokiem śledził horyzont, zaś u stóp jego na marach pokrytych białym płótnem spoczywał człowiek uspiiony czy zmarły, nie wiadomo.

Wiatr powiewał szerokimi rękawami szaty kapłana, iż wydawało się, że uleci w przestworze na skrzydłach uniesienia wewnętrznego, niby przedziwny duch — albatros, pan mórz nieprzebytych...

Rytm hymnu, zda się, nie wiatr, nie podwodne prądy niepokoiły fale.

Akordy kładły się czasem, by<sup>66</sup> dłonie przyjacielskie na spiętrzonych, zadzierzystych grzywach i wtedy pod ich lekkim, a możliwym uciskiem, strzępiste, garbate grzbiety mieniły się w płaszczyzny lśniące, podobne podstawom jedwabnych tkanin rzuconych na powietrze. Czasem znowu ton tętniący, mocny, rozpedzony wpadał, zatapiał się dziobem w toń, prul ją, rozdzierał, głębił się<sup>67</sup>, sięgał... aż czerwona jawiła się posoka fali, a on szedł coraz dalej, dalej, aż na dno, aż gdzieś... gdzieś...

Chór śpiewał:

O Panie, o Panie!

Kędyż posłałeś nas, wichry swoje?

Kędyż na wielki bój, płyniemy oto o ciemku duchy ducha niosące, drogą przeznaczęń, niepisanych nawet w snach duszy człowieczej!

Jako oddech TWÓJ jest świat, jako tchnienie TWE jawi się życie i jako nicość jest, gdy zechcesz, a wciągniesz w głęb swoją wszystkie jawy, wszystkie znaki Bytu.

Oddechem BRAHMY jest to, co jest, a nic prócz tego w przestrzeni.

O Panie! Kędyż wysłałeś nas, tchnienia swoje?

Kędyż na wielki bój na spełnienie chwili następnej płyniemy o ciemku, duchy ducha niosące, bezmiernym gościńcem stawania się, szlakami, kędy nie stąpa nawet myśl śpiącego u stóp tronu TWEGO archaniola... Kędyż o Panie!..."

<sup>65</sup>zdradny (daw.) — dziś: zdradziecki. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>by — tu: niby, jakby. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>głębić się — zagłębiać się. [przypis edytorski]



Fale szły coraz to wyżej, rozchyłało się głęboko morze, jak rozdierający szaty swe trwogą, bólem, rozpaczą, męką czekania i niepewności targany człowiek.

Zawył wiatr, uderzył czołem w płonący nisko ponad wodą hymn stary, zwinął się z nim, zmieszał, omotał go sobą, zwichrzył i poroztrzącał akordy niby wilk, co skowytem porazi śpiew idących lasem kompanii pobożnych o mroku.

Czyliż dalekie, czy bliskie lądy, gdzie paść ma ptak zdyszany, dusza niewcielona... czy bliskie?

Czyliż zaśnionym będzie szła światem w doły rozliczne wpadając, czyli będzie krwawe zostawiała tropy za sobą?

Czy może wybiła godzina światłości dla promienia idącego przez czern międzygwiezdą, od bytu do bytu?

Czy wybiła godzina jaśnienia?...

Kapłan wznosił w górę białą dłoń, połyskliwą jak mewa na mroku. Gdzieś daleko, niewidzialna człowieczym oczom ukazała się na widnokręgu wyspa.

Dwaj młodzieńcy w białych tunikach pochylili się nad leżącym u stóp kapłana, marynarze spuścili zawieszoną z boku łódź. Gdy się zakolysała na falach, rozwinięto sznurową drabinę i zniesiono ciało zmarłego, czy zaśnionego, ostrożnie na dół, a młodzieńcy stanęli przy leżącym w głowach i u stóp jego, jako dwa cheruby pilnujące arki świętych tajemnic.

Ponownie zabłyśły na czarnym niebie białe ręce kapłana, tak białe i świecące, jakby promienna w nich krew płynęła... a łódź odbiła od okrętu.

Ślizgała się po ścichłym nagle morzu, które przycisnęło się w wielkim oczekiwaniu, a górą płynął hymn prastary powoli, majestatycznie, niewstrzymanie, zwycięsko.

---

Nad morzem na piaszczystym wybrzeżu jęczał pod razami człowiek.

Dwu tęgich oprawców smagało pletniami jego plecy, a smagając, szydzili:

— Masz oto proroka od wiernych swoich! Masz oto na pamiątkę od wielbicieli! Przyjmij, co dajemy wdzięcznym sercem!...

Ponoszący kaźń stał z otwartymi ustami, głowę wstecz odwróconą, na poły przymknionymi<sup>68</sup> oczyma i stękał głucho.

Zbudzony ze snu o ranku, po kilkudniowym więzieniu miał być wypuszczony, ale przedtem jeszcze wymierzono mu plagi.

Liczył je w duszy, nie wiedząc, na ile wyrok opiewa, liczył i wyczekiwał końca.

— Dwadzieścia jeden... aaach... dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... Boże, Boże!... — szeptały zbielełe wargi.

Nagle osłabł, upadł na kolana, a głowa jego opadła na belek<sup>69</sup> porzucony na piasku wybrzeża.

Posypały się pletnie na leżącego, ale on jeno<sup>70</sup> na poły czuł ból.

Nagle światło jakieś zjawilo mu się pod powiekami.

Rozwarł oczy.

Hen tam daleko, na ciemnym morzu, pośród zwichrzonych fal, nie wiadomo skąd, nie wiadomo dokąd, płynął wielki okręt. Ciemny kontur, olbrzymią sylwetą odcinającą się na powietrzu brzeży a jasny nimb zaś na przednim pomoście jaśniała biała szata kapłańska i błyszczały ręce wysoko wzniesione, błogosławione ręce, udzielające rozgrzeszenia.

Szeroko rozwartymi oczyma patrzył, patrzył, pił ten widok, nie rozumiejąc go wcale...

— Dwadzieścia siedem... dwadzieścia osiem... — liczyli oprawcy. Nie czuł wcale, dusza cała poszła ku zjawisku i pytała, idąc ku niemu:

— Ktoś ty?

A zjawisko odpowiadało głosem cichym, przekonywującym: „Pokój tobie, o tęskniący... pokój i cześć twemu bólowi, bowiem on ziszcz przyszłość... bowiem on mnie sprowadza, przeciągając mocą nieprzepartą z przestrzeni wszechświata”.

Ogromna radość załapała duszę udręczonego. Kwiat bólu począł śnić, iż wyda owoc czasu sobie właściwego, zawołała tedy usta: „Więc ty jesteś śmierć, wyzwolenie?”.

<sup>68</sup>przymkniony — przymknięty. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>belek — dziś r.ż.: belka. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

A od okrętu wiatr poranny przyniósł tejże chwili cichy, spokoju dokonanego dzieła pełny akord:

„Oto bije godzina światłości dla promienia idącego ode mnie!  
Oto utracony jest koniec śmierci, oto wieczyste zmiłowanie postawiło  
stopę na pasczy ciemności i zawarła się na wszystkie czasy...”

Tej samej chwili przybiła do piaszczystego brzegu łódź z zaśnionym człowiekiem.

— Czy kończyć? — pytał jeden oprawca drugiego, spoglądając na martwo leżącego skazańca.

— Nie ma potrzeby... myślę. Chodźmy!

I poszli ku miastu.

Otoczyli go ludzie, domy, wszedł w życie zadziwiony i nierychło nauczył się nie okazywać zdumienia, jak to czynili inni. Tak mniemał bowiem, że wszyscy udają obojętność, będąc ciągle w duszy olśnionymi i zdumionymi tym, co umyślnie... może umyślnie.

Jestem! Cud wielki, niepojęty! Skąd wyszedł rozkaz: bądź! I oto jestem! Kto wydał rozkaz, kiedy i czemu? Oto pytania pierwszej wagi.

I ślubował sobie nie spocząć, dopóki tych pytań nie rozwiąże, czując słusznie, że niedogodnym jest żyć, przyjmować gościny na ziemi, nie wylegitymowawszy się: jestem ten, a ten!

Ale gdy zwierzył się jednemu człowiekowi z tego postanowienia, ten roześmiał się i rzekł mu:

— Umrzesz tedy niebawem. Zamęczysz się.

Bardzo go to zmartwiło.

— Cóż tedy mam czynić? — spytał człowieka onego.

— Zapomnieć! — odparł tenże. — Zapomnieć albo...

— Albo co? — zagadnęła chciwie.

— Albo przyjmując naukę.

— Jaką naukę?

— Jedną z wielu. Najlepiej przyjm naukę dnia, co płynie. Ona najlepiej zasłania pytania wszelkie.

— Jakaż ona?

— Powiada: wyrosliśmy jako drzewa owe, z gleby ziemskiej powstaliśmy, jako wszystko powstaje z prochów przodków naszych. Należymy wszyscy do jednego bractwa nicości i przemijamy bez echa jak przemija ton trąby w lesie, jak mija kształt zaspły śnieżnej pod promieniami wiosennego słońca.

— I to wystarcza? — zdziwił się.

— Naturalnie. Zwłaszcza gdy się tym człowiek przejmie od dziecka. To niezmiernie, uważasz, uspokaja, to jest społecznie bardzo pożyteczne, toteż król, pan nasz miłościwy, wydał edykt, mocą którego znosi się wszystkie uprzednie nauki, zakazuje się na razie wszelkich innych tłumaczeń zasadniczych zagadnień bytu... aż do dalszego rozporządzenia. Tak. To ostatnie zastrzeżenie wskazuje, jak bardzo jesteście postępowi, przezorni. Ustawa owa, którą ci przytoczyłem jest wynikiem unii zawartej pomiędzy kościołem naszym, który zarzucił dogmat władzy świeckiej i nauki... Wprawdzie nie ulega kwestii, że dla siebie... święte nasze kolegium kapłańskie posiada jeszcze inne jakieś tłumaczenia... Nie ulega kwestii, że są pewne domysły oparte na prastarych podaniach i rzekomo nawet doświadczeniach. Jeśli tedy masz ochotę, poznaj się z tymi rzeczami o ile zdołasz, ale przestrzegam cię, że zajmowanie się tym pociąga złe skutki, odbija się na karierze osobnika po prostu fatalnie... fatalnie... Oto weź na przykład, żebrak spod klasztoru WIELKIEGO MIŁOSIERDZIA. Człowiek ten mógł zejść bardzo daleko... ale żegnaj mi! Widzę, że zbliża się jego wysokość Przynaglacz Pracy. Zmykam! Zmykam, inaczej dostanę kreskę w KSIĘDZE SPRAWIEDLIWEJ OCENY.

Lubił przesiadywać nad morzem. Próżnował, jak mówili ludzie, po całych dniach i gapił się bez celu.

— Czemu? Czemu? — jęczała jego dusza. A w KSIĘDZE SPRAWIEDLIWEJ OCENY czerniło się od kresek na jego stronicy.

Często otaczali go ludzie. Przystąpił naprzód jeden i zagadnął:

— Nad czym to dumasz Istagogu? Powiedz.

— Nad daremnym, zabronionym pytaniem, Chloerze pracowity. Nad tym, kto wydał rozkaz, bym się stał, kiedy się to stało i czemu się stało?

Pracowity robotnik kiwnął smutnie głową i szeptał drugim, o czym дума Istagog, który myśli za ludzi.

Tak się zbierały czasem spore tłumy, pośród nich pojawiał się zaś niekiedy mądry Saceidos i wstąpiwszy na kamień jak i albo belek porzucony przez fale, mówił.

A mówił różnie. Czasem podawał w wątpliwość urzędowe tłumaczenie istnienia świata i ludzi. Czynił to w porze poobiedniej zwłaszcza, kiedy Wielki Przynaglacz pracy odprawiał swą sjęstę i w czasie takim rozwodził się szeroko, jakby ksiądz na kazalnicy. Często wśród przemowy urywał z nagle, jakby coś chciał powiedzieć ważnego, coś co rozbija wszelkie wątpliwości, coś naocznego chciał przytoczyć, ale właśnie to najważniejsze nie mogło być widać wyrażone po ludzku, czy też nie było w jego duszy gotowe... dość, że w takich razach cichł nagle i zniknął pomiędzy tłumem.

Częściej atoli Saceidos śpiewał tylko żałośliwie zwrócony ku morzu o nimfie tęsknocie, która wygnana z Przybytku Światłości nie mogła zapomnieć drogi do niego, może przez pomyłkę anioła wymierzającego karę, a może nawet umyślnie... może umyślnie.

Zgorzkniały, wielokrotnie karany chłostą i więzieniem za tłumaczenie niewytłumaczonego, Saceidos mniemał, że stało się to umyślnie, że złośliwości jakiejś straszliwej, zaś wyrok opiewał: na całą wieczność!

Kiedy tak razu pewnego zebrany był tłum nad morzem, w dali ukazał się silny oddział żołnierzy. Stąpali rozgłośnie, nad ich głowami falował w wietrze proporzec królestwa, a od złotego jego ostrza spływała na dół czarna krepą.

Rycerstwo niosło zwłoki króla, który tej właśnie nocy zmarł ze starości. Umieszczone były w złotej łodzi krytej, blachą huskową obitej i miały być wedle prastarego obyczaju puszczane na fale wraz z odpływem morza.

Na czele pochodu kroczyli biali młodziankowie, niewinni, prawie dziecięcego wieku, sposobiący się do tajemnic urzędu kapłańskiego, za nimi zaś połyskiwały rogaty, w kształt półksiężycy wycięte czapki wtajemniczonych stróżów arki.

Pochód dotarł do wybrzeża, utworzono olbrzymie koło, pośrodku niego ustawiono na ziemi pogrzebną łódź i rozpoczął się uroczysty obrzęd.

Odplynieś oto zanim minie dzień i noc zapadnie,  
Odplynieś jako kropla w wielki źródł wot swój,  
Odplynieś jako kropla w wielki źródł  
I spocznieś kędyś TAJEMNICY na dnie...

Tak zawodził chór śpiewaków.

Ledwo posłyszał te pierwsze słowa człowiek zwany przez tłum Istagogiem, zapadł w rozmyślanie tak głębokie, że nie widział już, co się koło niego dzieje.

Oto już w pierwszej zaraz strofie prastarego hymnu pogrzebnego bez trudu odnalazł on prostą, dziecięcą, nieprawdopodobnie prostą odpowiedź na pytanie dręczące od dawna nie tylko jego, nie tylko jego... Wszakże każdemu zmarłemu, ten sam hymn nuconym jest od wieków... Czegóż tedy chce żebrak, za czym wzdycha tłum? Cóż zostaje z marnego oficjalnego tłumaczenia? Jedna strofa pieśni zwyciężyła całą, długą, forsowną pracę rozumu czy złej woli...

Na co wreszcie cała ta komedia? Na co to wszystko... kiedy przecież tam w dali... Tak mówi serce.

Nagle uczył, że ramienia jego ktoś dotyka.

Spojrzał. Wciśniony<sup>71</sup> w tłum, tak pochylony, by go nikt nie widział, stał przed nim biały młodzian w wieńcu z róż na złotych kędziarach. Zdumiony Istagog patrzył i nie

<sup>71</sup>wciśniony — dziś: wciśnięty. [przypis edytorski]

wyciągał ręki, chociaż młodzian podał mu przedmiot jakiś mały. Wiedział, że nie wolno go dotykać, gdyż jest czysty i poświęcony Bogu.

Młodzieniec upuścił u nóg Istagoga mały zwitek papieru, potem wskazał w stronę kolegium kapłańskiego, zgromadzonego koło trumny króla i zniknął w ciżbie.

Istagog spojrział i ujrzał skierowany na siebie wzrok arcykapłana.

Wysoki mężczyzna ubrany w wielką ciemnoszafirową tiarę z białą gwiazdą pośrodku, mierzył go wzrokiem, a Istagogowi wydawało się, że mówił:

— Czytaj!

Podjąwszy tedy zwitek papieru, przeczytał:

Z człowiekiem zadumany wśród tłumu nie mogą porozumieć się ci,  
którzy mogliby być jego szczęściem. Przyjdź dzisiaj o północy pod bramę  
klasztoru WIELKIEGO MIŁOSIĘDZIA.

Instynktownie podarł kartkę na drobne kawałki i poszedł, szukając miejsca, gdzie by je po jednym powrzucić w morze.

O północy znalazł się u bramy klasztoru. Była zamknięta. Zapukał raz, drugi, trzeci... nadaremnie.

Księżyc świecił blado poprzez oponę chmur. Ze wzgórza, na którym stał klasztor, widać było morze smagane wichrem, który tam gdzieś daleko pędził przez rozchwiej samotną w tej ostatniej podróży opuszczoną przez wszystkich łódź-trunę królewską... pojazd ostatni.

Mijały chwile. Już miał Istagog odejść, niepewny, czy rzecz cała nie była złudzeniem, gdy w górze ponad głową, wysoko spostrzegł małeńkie w grubym murze wycięte okienko, w którym połyskiwało światło. Ledwo je dostrzegł, głowa czyjaś wyrzała i głos jakiś rzekł mu:

— Obejdź klasztor wokół i zobacz, czy kogo nie ma w pobliżu.

Nie było nikogo. Powrócił i zdał sprawę.

Wtedy u stóp jego upadł klucz.

---

Arcykapłan nacisnął guzik w murze i natychmiast rozstąpiły się ciężkie głazy. Z ciemni buchnęły jarzące wielobarwne promienie. W świetle kaganka bezcenne klejnoty połyskiwały wszystkimi kolorami tęczy, rudo krwawiły się długie, ciężkie sztaby złota, cienie wielokształtne nieprzeliczonych, rozmaitych naczyń drogocennych, sadzonych kamieniami łamały się po sklepieniach.

Arcykapłan mówił:

— Patrz! Oto skarby mocą naszą z dna morza dobyte. Oto naczynia obrzędowe wygasyłych doszczętnie, wynicestwiających kultów czasów tak odległych, że przeszłości tej umysł ludzki boi się dać wiarę, w snach swoich dopuścić marzeniom o onych bóstwach przedziwnych i ich wielkiej, dziś niepojętej potędze.

Wystarczy wziąć jeden z tych oto kamieni, ten na przykład szafir niewielki z napisem w zaginionym języku.

— I co... co? — spytał poządlwie.

— Wystarczy... to jest wystarczyło im, dawnym mędrcom świadomym rzeczy, wobec których wszystko, co my wiemy, jest niczym, wystarczyło im położyć ten kamyczek na czoło, a stawała przed oczyma jasnowidza przyszłość cała i przeszłość, co bliskie stawało się dalekie, a co odległe przybiegało na wezwanie z drugiego krańca wszechświata. Czytać mogli oni czas i przestrzeń międzygwiazdną nieogarniętą, jak my książkę w znanym nam języku napisaną.

— A teraz! — wykrzyknął.

— Teraz te wszystkie rzeczy, które dla praojców naszych były literami wielkiego dzieła, klawiszami niezmiernego organu w kościele Bytu, teraz to wszystko, to tylko skarby bezcenne, to tylko majątki niezmierne, za które można kupić zabójcę króla, wystawić wojsko dla napaści na kraj sąsiada, kupić żonę przyjaciela, zapłacić zdrajcę kraju rodzinnego. Wszystko to, to jeno ziemskiej, małej środki potęgi, nieudolnej tam, gdzie trzeba zmierzyć się z tym, co poza grobem, niezdolnej rozświecić ani jednym błyskiem tych

niezmiernych ciemni, jakie istnieją za kręgiem życia naszego. Wszystko to tylko zwłoki cudu...

Trupem jest ten wielki opał wyjęty z oka Kali i złoty posąg samej Kali też jest trupem. Dusza tych rzeczy zgasła, znikła, jak znika cały świat, gdy pociemnieje słońce. Po omacku chodzimy tu wszyscy, nie widzimy wcale, jeno rękami dotykamy zimnych twarzy trupów. Oto nasz świat, oto mądrość nasza, oto wiedza. Nie wiemy nic, podobnie jak tłum tęskniący i podobnie jak on siedzimy nad morzem bezmiernym i płaczemy słońca.

Odplyniesz oto zanim minie dzień i noc zapadnie...

Odplyniesz w dal gdzie wszystko wzięło swój żywot...

— Stara to pieśń, bardzo stara, i także trup. Przyjrzyj jej się, a spostrzeżesz, że ani słowa nie rozumiesz. Tak jest ze wszystkim. Dawniej słowa co innego znaczyły, co innego mogły. Mówisz: morze. Ależ ono zbadane zostało jak najdokładniej przez żeglarzy naszych. Dal? Znamy ją wybornie w każdym calu. Zmierzyliśmy odległość gwiazd stałych, znamy ich skład chemiczny, z wieloma światami zamieszkałymi utrzymujemy stałe stosunki, nasze aeroplany wychylają się nieraz poza sferę powietrzną otaczającą nasz glob ziemski... a mimo to możemy jeno powiedzieć, że znamy zaledwie ściany więzienia naszego, kędy nas ktoś na jakiś nieokreślony czas zamknął, nie wiemy zaś nic o rzeczach zewnątrz murów istniejących, nie wiemy nic... nic... tylko tęsknimy. Ktoś trafnie wiek bieżący nazwał czasem przerażającej tęsknoty i niepokoju.

Zapanowała cisza. Żółte światełko latarni skakało po szarych murach pod wiewem jakiegoś wiatru, a rogatą szafirową czapką nakryta głowa arcykapłana chwiała się podobnie. Po chwili zaczął cichym głosem, który wnikał w duszę:

— Czasem tylko... bardzo rzadko... raz na wiek cały zjawia się człowiek, który chwilami ma władzę spojrzenia poza mury. Czasem, wiatr jakiś zaziemski na ziemię przyniesie liść z drzewa poznania zerwany, z tego wielkiego drzewa, które symbolizuje w sobie życie, jak mówi prastara legenda... Nikt nie wie, kiedy się to stawa<sup>72</sup> i dlaczego... Nikt nie wie, kto i czemu bywa posłańcem innych światów, nie wiemy nawet, czy przestrzenią czy inną przeszkodą światy te od naszego są oddzielone. Przychodzi taki człowiek i nie ma z ludźmi nic wspólnego, jest samotny i dziwi się życiu.

— Skąd wiesz arcykapłanie? — zdziwił się Istagogos.

— Stare zapiski — odparł arcykapłan — trochę obserwacji, ot i wszystko!

Długo milczeli obaj, a potem zapytał kapłan:

— Istagogu! Jest żeś ty owym samotnym posłańcem, który ma list dla ziemi, wieść, nakaz... którego nikt odczytać nie może?

Zapytany milczał.

— Dawniej — mówił dalej arcykapłan — nie poznawano owych ludzi i brano ich za wrogów, a przeto palono na stosach i krzyżowano. Oni zaś umierali, ucząc miłości. Jeno w tej formie potrafili wypowiedzieć swe posłannictwo, przeto ich nie rozumieli ci, co dopiero do nienawiści dorosli. Dziś wszystkie serca czekają, by poseł otwarł usta, by przemówił. Wzmogła się strasznie tęsknota i nie masz już pośród nas zawistnych. Utonęło co złe we wspólnej wszystkim męce czekania.

Nagle w duszy słuchającego głos jakiś zawrzasnął:

— Nieprawda! Nieprawda! On kłamie! Nie wygasła nienawiść między ludźmi! Nie wygasła!

Zdumiał się Istagog i spojrział nagle na arcykapłana. Stał pochylony, wpijając się weń wzrokiem, a oczy jego, wbrew słowom pałały żarem pożądania. Głos łagodny i słodki płynął tymczasem jak pieśń:

— Wniknij w siebie — szeptał najwyższy dostojnik sanhedrynu — wniknij w siebie! Nie wolno zapoznawać powołania swego. Odrzuć precz pokorę, bo byłaby tutaj zbrodnią... Powiedz... Jest żeś ONYM?... Pomyśl tylko... lud cię otacza miłością, masz za sobą wolę ludu. To wiele. To niezmiernie wiele. Nie posiadał tyle, mimo swych skarbów, król przedwczoraj zmarły... Powiedz... Jest żeś ONYM...?

<sup>72</sup>kiedy się to stawa — dziś: kiedy się to staje. [przypis edytorski]

Istagogos milczał ciągle, głębiąc się bowiem we wnętrze swego ducha, nie odnajdywał w nim odpowiedzi na pytanie, widział tylko tam tęsknotę, słyszał tylko akord hymnu modlitewnego.

— Nie zawsze jest dane człowiekowi wiedzieć jasno... — zaczął.

A arcykapłan ciągnął dalej:

— Jeszcze nie wiesz nic Istagogu. Czyny twe własne muszą przemówić do twojej świadomości. Przeto mówię ci: chciej! Reszta przyjdzie sama z siebie.

— Chcę! — wykrzyknął Istagog silnym głosem.

— TEDY zostaniesz królem.

— Ja? — zapytał oszołomiony.

— Tak. My, najpotężniejsi w królestwie, my wtajemniczeni, my stróże arki tajemniczej, oddamy ci w ręce berło władzy.

— Wy? A cóż ja mogę dać wam w zamian, ja biedak, który nie wie, skąd się wziął tutaj, który za całą dań życia ma jeno jakieś widziadlane wspomnienia, jakiś zabłąkany w sercu akord innego świata... ja parias, ja skazany na wieczystie jedną tułaczkę po drodze wiodącej do PRZYBYTKU WIELKIEJ ŚWIATŁOŚCI...

— Ty, parias, ty skazaniec dasz nam, potężnym, twe wspomnienia widziadlane, wyśpiewasz nam akord innego świata zabłąkany w twej duszy, a my ci oddamy za to wszystką potęgę tej ziemi, całą moc władania ludźmi i rzeczami, pośród których idziesz zadumany nad początkiem swoim.

— I czemuż to? — spytał lekliwie i z wielkim zdziwieniem.

— Dla samego właśnie dobra tych ludzi i rzeczy, których dziedzicznymi kierownikami jesteśmy od wieków my, święte kolegium.

— Tedy zostawcie mnie, gdzie jestem, a jeśli zdołam coś odczytać w duszy własnej, powiem wam... powiem całemu światu dla jego dobra.

— Wiem to, spodziewam się i dlatego wzywam cię: złóż w moje ręce przysięgę, że nikt nie dowie się od ciebie ani słowa!

— Nikt, dlaczegoż to?

— Słuchaj! Czy dałbyś szalonemu albo dziecku miecz ostry w rękę? Nie. Otóż wiedza twoja byłaby mieczem i zagładą, nie dobro rozszerzyłaby po świecie, oddana w moc tłumów zawistnych i żądnych posiadania. Z potęgi zdolnej poruszyć ziemię z posad, z wiedzy tej uczyniono by szal straszliwego użycia, chaos piekielnych uciech, w których świat spłonąłby dnia jednego, jak garstka słomy na ognisko rzucona.

Nie czekając odpowiedzi, pochwycił arcykapłan pałkę wiszącą u ściany i uderzył nią uroczyście trzy razy w wielki złoty gong.

Natychmiast nappełniła podziemie światłość wielka i muzyka rozbrzmiała wspaniała. Jakby cudem zjawili się lewitowie, biali, strojni rycerze, dziewczęta z koszami pełnymi kwiatów, sztandary zwinięte i pochylone w podziemiu, gotowe szeleścić w powiewie morskigo wichru.

— Skąd się to wzięło? Skąd wiedziałeś?

Zdumiony Istagogos oglądał się za kapłanem, szukał go oczyma, ale nie mógł dojrzeć. Zresztą nie dano mu dumać, posadzono go w krzesło nośnym i pochód ruszył.

— To sen, to sen — rzekł cicho do siebie.

— Wszystko jest snem — odpowiedział mu z pobliza głos jakiś. — Błogosławiony ten, który pamięta sny swoje i buduje z nich życie.

---

Tearcha mieszkał we wspaniałym pałacu wzniesionym na wysokiej górze, skąd się widziało całą wyspę i wielką, nieogarniętą roztocz morza. Świtę jego stanowili młodzi lewitowie, czujni, cisi, zakamieniali w ekstazie pełnienia obowiązku, a przeto nieposzlakowani.

Kiedy siedział na złotym tronie smutny był, czuł się więźniem, kiedy odbierał hołdy poddanych, czuł się manekinem, formułką bez treści. Wszystko, co go spotkało, było jak sen, a czyż można walczyć z ułudą?

Wolnym czuł się jeno w nocy, wonczas kiedy posnęli wszyscy, chciwie wsłuchani w każde jego słowo, usiłujący myśli w locie rozpoznać i przytrzymać na to, by uczynić z niej... ach tak wiedział już teraz... by uczynić z niej narzędzie władzy, środek panowania.

Raz, o wczesnym ranku, podczas przejażdżki, smutnymi wodził wokoło oczyma. Przechodzący, śpieszący do pracy spoglądali ponuro na pojazd królewski. Lud, który go jeszcze tak niedawno miłował, który go słuchał tam nad morzem, nieufny stał się, miał się widocznie za zdradzonego...

Istagogos spostrzegł przy drodze siedzącego na kamieniu Saceidosa. W podartą suknię ubrany żebrak miał złośliwą minę. Widać go znów niedawno oćwiczono. Rzucił on Istagogowi takie spojrzenie, że nie mogąc dłużej znieść tego, Tearcha kazał zatrzymać konie.

Skinął na starca, a gdy ten się zbliżył, podał mu król pierścień i chciał się wytłumaczyć. Ale ledwo otworzył usta, jakby spod ziemi wyrosli biali lewitowie, stanęli zwartym kołem u powozu, tak że zdołał on jeno wykrzyknąć, w chwili gdy pojazd ruszał:

— Zawsze ten sam, wierzcie!

Reszta utonęła w rozgwarze donośnej fanfary trąb, które witały zawsze każde królewskie słowo i szczękę oręża rycerskiej świty.

Był to bardzo smutny dzień. Istagogos był więźniem. Przegrał, uczuł to dobrze, całą stawkę życia swego. Koło przeklęte zamknęło się za nim, ledwo w nie wstąpił. Był oto w rozgwarze sprzecznych interesów i omyłek, stał się ich źródłem, mimo woli zbudził nadzieje niezaszczalne niemal. Dziwna sytuacja zaiste. Naprzód zeskontowano jego mgliste wspomnienia, sny, domysły. Bolał go nad wyraz ten straszny przymus duszy, nad którą stoją pochyleni chciwcy, żądni byle fragmentu, słowa, byle strzępu myśli. I dlatego pewnie ona, ta dusza, stępieła, zawarła się dumnie, jak świątynia, do której chyłkiem skrada się po nocy złodziej bluźnierca... Męka, codzienna męka! O, jakimże prawem krzyknął im dzisiaj: „Zawsze ten sam!”. Nie jest już ten sam... O nie! Jako pęk był, który się nie okwiecił. I oto porwały go brutalne ręce, brudne palce rozdarły oponę delikatną, sięgły maleńkich płatków korony i poodwracały je przemocą na to, by przymusiwszy do rozkwitu ustawić na biesiadnym stole użycia, gdzie wino cieknie strugami, gdzie twarze pijanych przywarły do obrusa i toczą bezprzytomnymi oczami, a usta wołają: „Zaczynać, zaczynać!”... jak na widowisku. Jako pisklę był dotąd, które w jajku rozwarło oczy. Jako oprawcy wzięli go ludzie, rozbili skorupkę i trzymając pod słońce badają ściśle i pytają: „Powiedz, co widziałeś, a my ci za każde z twych słów zapłacimy doskonałą cenę. Powiedz. Zapłaty takiej nie brali dotąd prorocy tej ziemi”.

„Powiedz, bo jesteśmy zdecydowani zasypać cię złotem i klejnotami, jako stać nas, potężnych stróżów tego zewłoku arki świętej, z którego uciekła dusza, owej pustej skrzyni, w której gospodarzą myszy jeno i szczury”...

Uczuł, że nie zdoła przebić muru odgraniczającego go od świata żywych. Od tego też dnia zaczął się uważać za zmarłego. O wymknięciu się z niewoli nie było co i marzyć, pokusić się o wywiedzenie w pole kapłanów także wydawało się szaleństwem. Ale lekceważąc odtąd zaczął Istagogos swych wrogów i nie przyjmował już arcykapłana codziennie, jak to miało miejsce dawniej, kiedy był przekonany o jego szlachetnych zamiarach. Zostawiono go w spokoju, strzegąc pilnie.

Raz noc nadeszła czarna, bezksiężycowa. Istagogos, odprawivszy służbę, rzucił się w ubraniu na łożo i zapadł w smutną zadumę.

Zrazu barwnym pochodem przeciągał przed oczyma jego duszy dzień dzisiejszy. Wszystkie szczegóły życia ujrzał z wielką wyrazistością, słyszał każde z wyrzeczonych słów, jakby je cud jakiś utrwalił w nim na wieki.

Wokół głęboka panowała cisza. Morze zda się zmartwiało pod czarnym, bezgwiezdny niebem. Nie dochodził z tamtej strony szum zwyczajny. Jakieś ukojenie zapanowało czy otepiałość.

Mijały godziny, król leżał bez ruchu.

Dusza jego tymczasem powoli, powoli oddalała się, płynęła szarą dalą bez kształtów i nazwy.

Lampa raz jeszcze błysnęła światłem i zgasła. Czarny aksamit otulił wszystko szczerze, zdawało się, że z każdym westchnieniem wciąga się pył czarny, niezmiernie subtelny w płuca. I jakby płyn ten był wodą Lety, znikwały od niego zjawy wszystkie po kolei... to, co nazwy nosi nicestwiło się, zachodziło za chmurą nicości, wytrzebiały się lasy myśli, a na ugorzysko jałowe stępowała bezforma mgła NIENAZWALNEGO, NIEWYSŁOWIONEGO...

A wówczas, na tym tle jakby niebytu, gdy krew odpłynęła od wypoczywającego mózgu, gdy oddech spadł do szmeru niedosłyszalnego, a piersi zamarły bez ruchu, wtedy czarną nicością poczał kołysać rytm jakiś.

Było to falowanie ciemni.

Było, jak kiedy DUCH BOŻY unosił się ponad wodami w przedstworzonej pustce.

Płynęła z dali fala tak lekka jak sen o przyptywie. Nastawał powoli prąd ku łądom nieokreślonym w języku jawy. Echowe rozbrzmiały stąpania... Czas niósł coś poprzez nicość na rękę, niósł je w darze spragnionemu, zdziwionemu sercu.

I poczęło serce promienieć. Szło naprzeciw oblubieńca ze światłem miłości w rękę.

Wezbrało rzewnością wielką, ukochaniem dziękczynnym, łkającym uwielbieniem.

Pojmowało już teraz, na co się stała nicość.

Tak niezawodnie, tak niezawodnie.

Z dali szedł hymn:

O Panie, o Panie,

Kędyż posłałeś nas, wichry swoje?

Kędyż na wielki bój płyniemy oto po ciemku, duchy ducha niosące, drogą przeznaczonych niepisanych nawet w snach duszy człowieczej.

Jako oddech TWÓJ jest świat. Jako tchnienie TWE jawi się życie... i jako nicość jest, gdy zechcesz, a wciągniesz w głąb swoją wszystkie zjawy, wszystkie znaki bytu.

Oddechem BRAHMY jest to co jest, a nic innego w przestrzeni.

Serce otwarło się, jak kwiat lotosu i chłonęło objawienie.

Wnikało kołysane rytmem w tajniki stworzenia, przemógłszy formę poznania nieodłączną, przewyciężywszy czas, patrzyło na stawanie się zjaw.

Pragnienia jego, by ręce w modlitewnym uwielbieniu, wyciągnęły się w dal z prośbą: „Wiem Panie, wszystko wiem, widzę aż do dna duszy każdej ubranej w ciało i tęskniącej w formie. Zaglądam kształtom wszelakim w oczy i widzę każdego, świetlny, nieśmiertelny powód istnienia... Czuję życie, jestem wszystko i nic poza mną w TOBIE... Dosyć Panie! Obawiam się, że ciało moje skona z miłości, dosyć Panie. Nie mów do mnie, bo spłonę na popiół, nie mów, zajmuję się płomieniem od każdego Twego słowa, od szeptu głuchnę boleśnie. Ginę. Przekroczone są progi możliwości...”

A hymn rozkołysał się jak dzwon. Ciemń grała:

O Panie, o Panie!

Kędyż posłałeś nas, tchnienia swoje?

Kędyż na wielki bój, na spełnienie chwili następnej płyniemy oto po ciemku duchy, ducha niosące, niezmiernym gościńcem stawania się, szlakami, kędy nie stąpa nawet myśl śpiącego u stóp TWEGO tronu archaniola...

Zamarło zmorzone, spłynęło potokiem łez wdzięczności serce.

A wówczas, jakby w ostatniej, przedskonnej sekundzie wid się ukazał:

Czarne zwały fal przelewały się niespokojnie, dęły się i rozluźniały na przemian. Podobne muskułom olbrzymiego ciała gorączką trawionego, podobne rytej histerią twarzy, myśli wichrem bruźdżonemu czołu... Na grzbietach fal biała strzępiła się piana.

Pomału, ostrożnie stępując ze śliskich grzbietów w parowy płynne, migotliwe nawet w pomroce, to znów dźwigając się na wyże, nie wiadomo skąd się jawiące, po szafirowym morzu sunął wielki okręt.

Śmigłe maszty darty się w górę wysoko, wydymały się białe na zieleni ciemnej żagle, skrzypiały w wietrze reje, a z pokładu zapełnionego tłumem ludzkich postaci dochodziły dźwięki poważnego hymnu o modlitewnych akordach...

Na pomoście przednim, wysoko, widoczny wszystkim innym, stał kapłan w białą ubrany szatę i orlim wzrokiem śledził horyzont.

Wzniesione jego ręce jaśniały blaskiem białym, jak skrzydła mewie podlatywały szerokie rękawy szaty. Szukał oto po ciemni serca wołającego wzrokiem słodkim, a ostrym, widzącym wszystko, i znalazłszy je, ogrzał spojrzeniem i ukoił.

A serce szukało słów uwielbienia.

Obraz świata



— Jakże cię zwać mam RABI? Jakie słowo znaczy TY, jakie słowo CIEBIE znaczy, Panie? Zniknij, cień swój świetlisty zostawiając wiekom przyszłym, a wtedy może będziemy mogli ochłonąć i nadać ci imię pochwalne, które się zmieści w ustach naszych!

Jakby słońce spadło do komnaty, nagle rozbłysło wszystko jaskrawo, a z powodzi tej z fali, z gęstej jasności wyłoniły się dwie ręce i palce jakies dotknęły, by<sup>73</sup> powiew wiatru, głowy jego.

Uczuł lodowaty prąd, znikło mu wszystko spod czaszki i tylko wiedział, że leci wysoko, że opuścił ziemię...

Powietrze rozdarł krzyk wielki. Istagogos rzucił się na posłaniu wysoko i padł na powrót zemdlony na pościel.

Drzwi komnaty rozerwały niecierpliwe ręce. Wpadł ze światłem arcykapłan i kilku lewitów, czuwających onej nocy nad spoczynkiem króla.

---

Istagogowi cichą, straszną śmierć głodową przeznaczono.

Mijał dzień piąty. Więzień leżał wyczerpany na twardych deskach łoża więziennego i myślał. Ale myśli jego osłabłe, zgłodzone snuły się po ziemi, złożywszy skrzydła na plecach.

W kaźni mrok panował ciemny, nie wiedziało się, jaka pora dnia we świecie szerokim, tej oto godziny.

Więźnia nie odwiedzali dozorczy, bo i cóż pilnować konania. Arcykapłan sam wziął klucz od grobu, zewnątrz na nim położywszy pieczęć świętego kolegium.

Skazaniec wodził oczyma długo po murach, a oczy same wbrew rozkazowi rozsądku i woli szukały, szukały pilnie, jak by i kędy uciec się dało, zwiedzały każdą szczelinę jak jar pełen bezcennych skarbów, zmierzły troskliwie rozmiar gęstych oczek silnej, żelaznej kraty, spróbowowały mocy żelaza, najgłębiej się w tę rzecz zapuszczając... wreszcie... poszły na świat, za mury, tam, gdzie spadzisto zbiegają się w morze skały i dalej, brzegiem, gdzie piasek płukany tysiące razy falami, wyjałowiony do granic ostatecznych.

Nad morzem, idąc powoli, myśli więźnia jasne teraz i wyraźne ukazały mu tłum ludzi.

Pośrodku tłumy, na porzuconym przez morze trumnie drzewa, nie wiadomo skąd, z odległości wielkiej przyniesionego, stał Saccidos i mówił:

— Jako ten belek, na którym oparte są stopy moje jest dusza nasza. Nie wiadomo, skąd przyszła, nie wiadomo dokąd i jaki prąd ją ponosi w przestrzeni... Ponad rozjęciem serc naszych wołających o odpowiedź, jako oliwa na wzburzonych falach unosi się WIELKIE MILCZENIE. Nie zmąci go jęk milionów, nie wzruszy płacz. Pod NIEWIADOMEGO strasliwym sklepieniem, nakryci gęstym oparem łez naszych trwamy, trwamy bez początku i końca, narodzin ni skonu nie świadomi, jak krople rzeki niewiedzące, gdzie i jakie płyną zalewać czy żyźnić łąki, jakie pustoszyć siedziby, jakie unosić kolebki z niemowlętami...

Istagogos uczuł wielki żal, wielkie współczucie. Oto człowiek, pomyślał, który snuje dalej mój płacz i prostuje ścieżki tęsknoty, by nie zagmatwały się dusze. Azaliż nie jest to drugi liść onego drzewa, o którym mówił arcykapłan... liść jednym ze mną przyniesiony wiatrem, czekający nowego podmuchu, by ulecieć nie wiadomo kędy?... I zebrawszy całą siłę woli, rzekł mu:

— Saccidosie! Saccidosie! Zaprawdę powiadam ci, rozplomieniał kierz<sup>74</sup> tęsknoty, albowiem on ci jest WIELKIM HASŁEM, jakie ma być na równiach ziemi zapalone BOGU, na znak, że czas zniżyć! Saccidosie! Powiadam ci, ty jesteś nowy Jan, a wodą chrztu jest ogień bólu!

Saccidos pilnie nadsłuchiwał mówiącego doń dalekiego głosu. Twarz swą zwrócił w stronę więzienia i ręce wyciągnął, a w oczach miał taki blask i zachwyt, że słuchający go tłum padł na kolana, jak pada łan pod sierpem wichru przelatującego.

W tej chwili ukazali się od strony miasta zbrojni.

Istagogos ujrzał w ich rękach pletnie i uczuł naprzód smaganie, jakie zgotowane było Saccidosowi.

Serce jego wezbrało gniewem wielkim, wznosił przeto ręce swe ku niebu i wykrzyknął:

---

<sup>73</sup>by — tu: niby, jakby. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>kierz (daw.) — krzak. [przypis edytorski]

— O Boże! Skiń na mnie, bym poszedł na ratunek prześladowanym.

Ledwo wyrzekł te słowa, uczuł wielką lekkość, jakieś nienazwalne wyzwolenie, jakby go wir jakiś ciągnął kędyś, a on miał nakaz słuchać musu. Nie opierając się tedy, poszedł za tym nakazem.... przeniknął mury więzienia... począł iść ku morzu.

Sennie, niepewnie pamiętał jeszcze ostatnie spojrzenie rzucone po celi więziennej.

W czarnym lochu, który zalegał gęsty mrok, na tapczanie z twardych desek leżało nagle ciało człowieka, którego dawniej gdzieś widywał... tak... tak... widywał go, kiedy pochylony nad wodą przy brzegu umywał się o świcie w morzu.

Skierował się ku wybrzeżu.

Nagle, na zakręcie drogi, spoza klombu agaw wyniosłych ujrzał idącego samotnie człowieka.

Na głowie jego chwiała się szafirowa, arcykapłańska czapka. Szedł zadumany. W rękę kręcił wielki klucz, a u pasa święte pieczęci brzękały uderzając jedna o drugą. Drogocenna szata z bisioru wlokła się po ziemi w prochu.

Istagog ujrzał w duszy tego człowieka tęsknotę wielką. Klęczała we włosiennicy i wyciągnąwszy ku niebu splecione ręce, zawodziła: „Kędyż? Kędyż o Panie?”.

Wydawało mu się w tej chwili, że czystą jest i nie zaprzęgnie się, jak tylekroć do czynów marnych, niskich...

Wystąpił tedy na środek drogi i czekał z rozwartymi ramionami, gotów objąć, do serca cisnąć, przebaczać i wspomagać.

Ale jakby był jeno cieniem, przeszedł arcykapłan miejsce, na którym stał. Zmieszały się nawet ich stopy na chwilę. Potem Istagog ujrzał się samotnym. Arcykapłan znikł poza agawami, kierując się w stronę więzienia.

---

Wpatrywał się weń z natężoną uwagą a kiedy dusza zdawała się wracać w martwe, stężale ciało cichym piśszczotliwym głosem przemówił:

— Wszystko złe skończone. Przed chwilą napoiłem cię mlekiem. Będziesz żył, czy słyszysz?

Istagogowi rozradowało się serce, rozczulił się. Oto w wielkiej troskliwości arcykapłan poi go mlekiem, by żył. Rzekł mu więc:

— Bądź błogosławiony, iż masz duszę dobrą, ale czyż inaczej żyć bym nie był zdolny, pomyśl tylko, czyż nie obroniłem żebraka Sacejdosa, kiedy go pochwycić miano na męki, a przecież wtedy nie jadłem od pięciu dni i nie piłem.

— Nie rozumiem cię! — odparł arcykapłan. Patrzył nań zdumiony. Wreszcie uderzył nogą w posadzkę. Zjawił się we drzwiach żołnierz.

— Czy wróciła straż z więźniem Sacejdosem? — spytał go.

Żołnierz był błądy, zmieszany bardzo. Nie patrzył na arcykapłana, ale szeroko rozwarte i jakby niewidzące nic źrenice utopił w Istagogu. Stał jak skamieniały. Potem niby trzcina pod wiatrem zachwiał się i upadł na kolana. Ręce splecione wyciągnął ku więźniowi.

— Zmiłuj się, zmiłuj! — szeptały jego zbieleńsze wargi.

— Precz! — krzyknął zdumiony i przerażony nagle arcykapłan. Żołnierz patrzył na Istagoga, a więzień, wyciągnąwszy rękę, rzekł mu:

— Odejdź w pokój!

Żołnierz znikł jak widmo.

Wówczas arcykapłan wstał z niskiego stołka, na którym siedział obok tapczanu więźnia, cofnął się o krok w tył i spokojnym, pewnym głosem zapytał:

— Więc powiedz, czego właściwie chcesz w zamian?

— Czego chcę? — powtórzył więzień. — Oto proszę, powiedz mi, azali<sup>75</sup> widziałeś mnie przed małą chwilą na drodze wiodącej ku morzu.

Arcykapłan patrzył nań teraz zupełnie, jak przed chwilą żołnierz.

— Spotkałem cię — mówił dalej Istagog — siedleś samotny i zadumany w tę stronę. Na głowie twojej chwiała się szafirowa arcykapłańska czapka, w rękę kręciłeś wielki klucz, a u pasa święte pieczęcie brzękały jedna o drugą. Drogocenna szata z bisioru wlokła się po ziemi w prochu. Ujrzałem też na dnie duszy twojej tęsknotę płaczącą. Klęczała ona we włosiennicy odziana i wyciągnąwszy ręce ku niebu zawodziła:

---

<sup>75</sup>azali (daw.) — czy; czyż. [przypis edytorski]

Kędyż? Kędyż o Panie?

Wystąpiłem na środek drogi i czekałem z rozwartymi ramionami, gotowy objąć i do serca cisnąć, ale jakbym był cieniem jeno, przeszedłeś przez miejsce, na którym stałem i ujrzałem cię samotnym. Odszedłeś, kierując się w stronę mego więzienia.

Zaległa cisza. Arcykapłan patrzył na więźnia jak skamieniały. Poprzez grube mury dochodził teraz niewyraźny, głuchy szmer, jakby tłum ludzi, niespokojnych, podnieconych oblegał budynek, żywo rozmawiając. Arcykapłan z każdą chwilą bleśszy, stał ciągle wpatrzony w Istagoga.

— Powiedz, czego chcesz? — powtórzył głucho.

— Chcę jeszcze, byś powiedział tęsknocie, klęczącej w więzieniu twej duszy: „Widzę, że czystą jesteś. Płacz tedy, požądaj szczerze! Płon! Spłynie ci na czoło nowy chrzest Jutra, chrzest ognia, a on ci jest hasłem zapalonym na równiach ziemi, Bogu na znak, że czas wyzwalać”.

Arcykapłan nagłym ruchem podniósł ręce do głowy, zdjął swą szafirową arcykapłańską czapkę i klękając szybko, jakby padał, cisnął ten symbol władania duszami społeczeństwa pod stopy skazańca.

Istagoga serce wezbrało miłością. Wyciągnął ręce, objął szyję klęczącego, przyciągnął go do siebie i przykładając do białych policzków dostojnika swą twarz wynędzniałą, powiedział:

— O jakżeż pragnę, byśmy się porozumieli bracie! O jakże bardzo pragnę. Jakże niezmiernie gorąco pożadam godziny światłości dla promienia idącego ciemnią, przez nicość, jak mówi hymn stary, przez czyste źródło objawienia. O jakże chciałbym być najniższym z marynarzy WIELKIEGO OKRĘTU, któremu dana jest w rękę lina żagla... o jakżebym pragnął...

Obom spływały teraz gorące łzy po policzkach.

Trwali w bezsłownym zachwyceniu.

Szmer dolatujący z zewnątrz, nagle, bez przejść buchnął rozgwarem, jakby rozwarło grube drzwi. Zabrzmiały okrzyki, wrzask rósł, jak rośnie lawina... zatętniły sklepienia... pękły wreszcie ostatnie podwoje i rozżarty, pijany szaleńcem tłum ukazał się na progu kaźni.

Gorąco biło od stłoczonych ciał, żar buchał od dusz ogarniętych pożądaniem pomsty.

— Na krzyż! Na krzyż! — ryczał tłum.

Tak samo jednak rychło, jak wybuchły, głosy zamarły.

Zwite konwulsyjnie ciała zastygły w rozmachu.

Setka ócz wpatrzyła się w tych dwu klęczących na ziemi, w tych płaczących bez słowa, splecionych uściskiem.

Wreszcie Istagogos opanował wzruszenie, skinął na stojącego najbliżej.

— Bracie — rzekł mu — podaj oto tiarę arcykapłańskiej władzy. Nie trzeba, by się wałala w pył.

Wziął ją ucałował ze czcią i włożył na głowę arcykapłana. Potem dał znak stojącym w odrzwiach i rzekł:

— Odejdźcie! Odejdźcie! Czuję krew! Dusze wasze cuchną krwią, której pożądały. Czyńcie pokutę!

Krew

---

— Wspomniany człowiek, przybyły ze stron jakoby nieznanymi, wedle zaś ścisłych badań wysadzony na ląd przez okręt, zdaje się łączyć w sobie cechy wariata z oznakami posuniętej daleko medialności. Tym wytłumaczyć sobie należy pewne, zresztą niedostatecznie stwierdzone przypadki jasnovidzenia, zdwojenia osobowości, poruszania przedmiotami na odległość i innych zjawisk analogicznych.

Święte kolegium nasze usiłowało rzeczono Istagoga użyć do świętych i wysoko założonych celów swoich. Spostrzegłszy, że posiada wspomniane właściwości uczyniliśmy go władcą... niestety nadaremnie.

Oskarżam tego człowieka, że ukrył przed nami swą duszę, a tajemnice święte oddać usiłował w ręce tłumowi...

Słowa oskarżenia tętniły głucho w podziemnej, nisko zasklepionej sali, gdzie zasiadał tajny sąd świętego kolegium.

Czarne kapy okrywały barki zebranych wysokich dostojników. Spod wielkich rogatych czapek spływały białe, długie włosy i brody.

— Przekonaliśmy się wreszcie — mówił dalej prokurator świętego kolegium — przekonaliśmy się dowodnie, że Istagogos nie myśli jak człowiek zdrowy. Czapką arcykapłańską pogardził. Nie chciał tedy być ani głową państwa, ani jego namiestnikiem.

Przytłumiony pomruk dał się słyszeć.

Zaduch wielki panował w mrocznej sali.

Gdzieś za ścianą grzmiały organy, jakby odprawiano tam nabożeństwo.

Od pułapu sklepionego nisko i rozpięcie, zwieszał się wielki, poczerniały świecznik, którego niezapalone lampy szarzały przez ciemń.

Ogromny refektarz, snac<sup>76</sup> średniowiecznego pochodzenia, który by czasu swego czynił wrażenie ciszy i bezpieczeństwa, był dziś jak grobowiec pełen żywych, skazanych na śmierć.

— Ale oto musimy uderzyć się w piersi — zawołał mówca.

Winniśmy, winniśmy po trzykroć.

Rozpętaliśmy burzę groźną.

Tłumy stoją po stronie szaleńca, przyłgnęły doń i czekają na objawienie z ust jego.

Nadchodzi czas zła...

Jęk żałobny przeleciał po sali. Głowy osędziały pochylił wicher, co nagle, jak wilk o mroku zawył przeraźnie.

Czarno już niemal całkiem było. Nie rozeznałeś nic. Z nocy tej szedł głos oskarżyciela:

— Do tego doszło, że my, członkowie świętego kolegium, tutaj, w tej na poły podziemnej sali obradujemy, bracia nasi tam obok, narażając życie, ciszą tych z pospólstwa, którzy się jeszcze ciszyć dadzą... a całe społeczeństwo... cały kraj w rozpętaniu.

Grzmot oburzenia poleciał, warcząc rozgłośnie.

— Ale mamy w ręku zemstę — głosił mówca. — Nowy „Jan Święty”... Sacejdos, oto tam rozciągnięty na męce.

Nagle rozebrzmiał rechot złego śmiechu.

— W samej tej sali zemstę mamy naszą. W sali tej zaprawdę odbędzie się sąd nad jednym z winowajców.

— Na sąd! Na sąd! — wołano.

Zamieszanie nastąpiło wielkie. Radzono, rozprawiano, bojąc się świecić światła. Nikt już nie słuchał mówcy, którego jeno pojedyncze słowa słyhać było.

Ale nastąpiła rzecz dziwna, na którą nikt nie zwrócił zrazu uwagi. Czarność poczęła z wolna rzednąć, jak noc, gdy świt nadchodzi.

Z nicości poczęły z wolna występować luki sklepień, rozpościerać się ściany, nabierając złocień, polichromii, linii, gzymsów, zatok i wyskoków.

Dołem zaczerniła się wyraźnie masa ludzka.

Widać już było księżycowato wycinane czapki kapłańskie, tu i ówdzie zabłykotały frędzle kapy żałobnej lub srebrne jej lamowania. Wynikały z wolna z tej ciemni twarze. Wynurzały się blade, uczernione plamami ocz i ust zaciśniętych lub szeroko rozwartych w krzyku. W głębi, na podwyższeniu ukazał się tron połyskujący, na tronie zaś majaczyła szafirowa infula arcykapłana. Z prawej strony tronu, wysoko w powietrzu sterczała trybuna oskarżyciela.

Zatopieni w swych sprawach, zebrani nie widzieli nic, nie mieli oczu dla świata zewnętrznego.

Wreszcie jasność spoczęła u stopni tronu.

Coś zabielało.

Od tła odstawać poczęły kształty ludzkiego ciała, które nagie, wyciągnięte nadmiernie, nienaturalnie w tył rzucone, przygwożdżone się okazało do długiej deski opartej skośnie o podest tronu arcykapłana.

Był to Sacejdos, żebrak, który śpiewał o tęsknocie nad morzem.

Zył jeszcze, czy zmarł już na męce, nie było wiadome, bo ciałem jego nie wstrząsał ani dreszcz najmniejszy, z rozchyłonych warg nie ulatało najslabsze westchnienie.

<sup>76</sup>snac a. snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Wrzawa nie ustawała. Potworzyły się małe grupy. Radzono, spierano się, widać było żywe ruchy rąk i głów.

Światłość potężniała z każdą chwilą.

Jakby szło słońce, jakby się zbliżała jakaś ogromna kometa, jakby pożar jakiś ogarniał coraz bliższe stepy.

Nagle w szmer wmieszał się daleki, rozlewny rytm pieśni.

Falować zaczęło powietrze, jeszcze zanim tony nadbiegły z oddali wielkiej.

Zamotały się w tę falę słowa mówcy, pokryty został szeleszczący odgłos zmieszanych w dyskusji wyrazów i w chwili, kiedy na złotym świeczniku pierwsze zamigotały promienie światła, poprzez mury wtargnął akord śpiewu chóralnego, rozbrzmiewającego z wielu piersi.

Głowy się podniosły, ujrzano zjawisko. Zapanowała śmiertelna cisza.

I w ciszy tej naglej, jak spóźnione w rozpędzie łodzie wyleciały na brzeg już po cofnięciu się fali, ostatnie słowa oskarżyciela.

A śpiew i jasność rosły i rosły.

Szła powódź rozśpiewanego światła, jakaś rzeka pozaziemska, przerwawszy groble przez Opatrzność założone, płynęła tutaj do podziemnej sali, groźna, strasząc, oniemiając. „O Panie! — brzmiało — O Panie

Kędyż posyłasz nas, wichry swoje?

Kędyż na wielki bój płyniemy oto duchy ducha niosące drogą przeznaczoną, niepisanych nawet we snach duszy człowieczej...”

Zakratowanymi oknami lała się światłość rażąca, mocna, jakby gęsta.

Powódź przybrała kształty tak realne, tak namacalne, że kapłani stali w śmiertelnej cichości zeszywniali, półmartwi.

Pieśń wypełniła salę, posadzkę zalewało światło, pryskając po ścianach, odbijając się od płaszczyzn, tworząc w wąwozach siklawy<sup>77</sup>.

Nie było ujścia.

Znikły już od jasności kontury sprzętów, zatoneły ich kształty.

A ponad rozpalonym płynem, niby słupy lagunów wbite kędyś we dno, tkwiły ludzkie, zwęglone strachem postacie.

I nagle puścili w osadzie kraty okien.

Wszystko jakby zastygło na chwilę, a na toni jasnej nagle zjawił się on, Istagogos.

Patrzący dojrżeli, jak podniósł ręce i usłyszeli głos, który mówił:

— Zbudźcie się!

Drgnęli wszyscy i uczyli ból wielki, jakby ich z martwych wyrwał na moment życia.

— Zbudźcie się i słuchajcie! Nie moją jest owa światłość, w której przychodzę, jeno Pańska, na świadectwo światu ujawniona i na uskromienie błędu! Daremneście tu słowa miotali, daremnie!

Nie przyszedłem zacierać ścieżyn Pańskich, ale całować każde odbicie jego stopy, wyciśnięte niezatarcie na ziemi i utrwalić je jeszcze łzami serca.

Jam jest liść onego mistycznego drzewa, które jest znakiem życia i samym życiem, a przywiał mnie wiatr musu, iżbym pokazał się i poszedł dalej dawać świadectwo chwili.

Przyjacielaście mi zabrali i ukrzyżowali we chwale, jakby był Synem Bożym.

Dzięki Wam! Dzięki! Bowiem wziął on z rąk waszych najwyższy chrzest bólu i oto teraz razem ze mną pójdzie w przestrzeń, gdzie iść ma od wieków.

Idę i zostawiam za sobą jasną smugę.

Idę i zostawiam za sobą drogę dla tęskniących.

Bądźcie uzdrowionymi na duchu...

Zwrócił się do umęczonego i wyciągnął doń rękę:

— Pójdź przyjacielu! — rzekł. — Wstań!

Sacejdos odstał od deski, odjął od niej ręce i nogi i postąpił ku Istagogowi.

— Pójdź przyjacielu! — powtórzył. — Pora nam przetrzeć oczy po krótkim śnie życia na tej ziemi.

Skinął ręką ku oknom, a oczy wszystkich poszły za tym gestem.

<sup>77</sup>siklawy (gw.) — wodospad. [przypis edytorski]

W dali, na morzu, które się stąd ciemnym wydawało, zamajaczył wielki okręt kołysany falami.

I znowu zabrzmiał hymn, a na jego jakby fali poczęła się zbliżać ku oknom mała, złocista łódź.

Dwu białych młodzieńców stało w niej, z oczyma utkwionymi w punkt, do którego im przybić rozkazano.

„Jako oddech TWÓJ jest świat — brzmiało powietrze — jako tchnienie TWE jawi się życie i jako nicość jest gdy zechcesz a wciągniesz w głąb swoją wszystkie zjawy, wszystkie znaki Bytu”.

Istagogos, objąwszy ramieniem Sacejdosa, stał na poły zwrócony ku oknu bliższemu tronowi, na którym zmarłego arcykapłana tkwiły zwłoki.

Oczyma szukał czegoś na horyzoncie.

I oto nagle na ustach jego wybiegł uśmiech radosny.

Wysoko, pod masztem okrętu, widoczny wszystkim innym, stał kapłan w białej szacie. Wzniesione jego ręce nawet w tej światłości białe wysyłały promienie. Rękawy szerokie polatywały jak mewy na wietrze.

Do światła tego rwała się dusza pielgrzyma, leciały doń wszystkie tęsknoty jego jak łódki zabłąkane do kręgu oświetlonego promieniami latarni morskiej.

Łódź zarzuciła kotwicę u okna. Nie puszczając towarzysza, wstąpił w nią Istagogos i rzucił w głąb ostatnie spojrzenie. Nieruchomi, popaleni na śmierć, tkliwi w posadzce starcy, jak drzewa dokoła pożartych ogniem chat wioski.

Nie mając już do kogo mówić, w milczeniu zwrócili się pielgrzymi ku okrętowi niesionemu przez wzburzone fale.

Gdy łódź odbiła od brzegu, Istagog jednym ruchem zerwał ze siebie szatę i ciskając ją na wodę, zawołał:

— Jako tę szatę rzucam ci ziemio imię moje i losy dziś dokonane. W bezimiennej jaśni powracam na łonie życia, liść drzewa, który wiatr przeznaczenia pędzi.

Odpywali z wolna ku okrętowi.

Morze niespokojne było.

Czarne zwały fal przelewały się, dęły i rozluźniały na przemian, podobne muskułom olbrzymiego ciała, gorączką trawionego, podobne rytej histerią twarzy, myśli wichrem brużdżonemu czohu... Na grzbietach fal biała strzępiła się piana.

Pociemniało już znowu, stare, odwieczne niebo.

Noc nachodziła świat burzliwa, zradna, żadna łupu, kryjąca zamachy w sobie, do złego skłonna.

Pomału, ostrożnie zstępując ze śliskich grzbietów fal w parowy płynne, migotliwe, nawet w tej omroce, to znowu dźwigając się na wyże, nie wiadomo skąd się biorące, po szafirowym morzu płynął okręt.

Śmigłe maszty darły się wysoko w górę, dęły się białe na zieleni ciemnej toni żagle, skrzypiały reje, a z pokładu, zapełnionego tłumem postaci ludzkich, dochodziły dźwięki poważnego hymnu o modlitewnych akordach.

Oddechem Brahmy jest to, co jest, a nic innego w przestrzeni.

O Panie, kędyż wysłałeś nas, tchnienia swoje?

Kędyż na wielki bój, na spełnienie chwili następnej płyniemy oto po ciemku, duchy ducha niosące bezmiernym gościńcem stawania się, szlakami, kędy nie stąpa nawet myśl śpiącego u stóp tronu TWEGO archaniola...

## Stary dom

Nieskończone, ciągle zgrzyty, hałas, tętent kroków. Roją się ludzie jak mrówki, brzęczą jak bąki gderliwe. Szum, zgiełk w korytarzach Starego Domu, a ja muszę słuchać tego wszystkiego. Oczy zamknąć można.... przez uszy przenika wszystko. Chwytają każdy jęk, każdą skargę, każdą kłótnię. Najbliższa sprawa dostaje się do mózgu i rozgrywa się tam,

Dźwięk

rozklada swe akta... Występuje oskarżyciel, obwiniony, obrońca, ława przysięgłych zasiada... Twoje zaś akta człowiecze, twe własne, najdroższe sprawy spycha woźny brutalnie na ziemię. Gdy zaś mieszkańcy Starego Domu chcą tańczyć, to chociaż masz w duszy pogrzeb dnia tego, musisz wycinać hołubce. Uszy to straszny wynalazek... straszny!

Słucham, a przede mną rozwarta księga mej duszy, w którą chwila po chwili wpisuje ktoś spoza kręgu naszego poznania, ku ziemi wychylony, słowa otuchy, przestrogi i nadziei.

Rozmyślam, a oni żyją.

Jakże wytrzymać w Starym Domu?

Co gadają.... nie wiem, ale czuję, jakby cięcia tępej szabli po twarzy, wydaje mi się, że duszę mą tacza ktoś w beczce nabitej ostrymi gwoźdźmi.

Idzie deputacja na strych. Strych oglądają. Parlament kazał obejrzyć strych, skąd kapie. Idą.

Za chwilę słyszę ich ponad sobą. Chodzą, przesuwiają ciężary, stukają młotami...

Nikomu nie przyjdzie na myśl, że to wszystko osłabia jeszcze bardziej stare belkowanie i rujnuje do reszty poszycie uczynione ze słomy zbutwiałej, której dostarczają rośliny, jakich obecnie już nie ma chyba na ziemi.

O, czemuż nie mogę was przemienić w lekkie motyle!

Łażą, suwają się na brzuchach. Niezmiernie gorliwi, niezmiernie punktualni.

Wracają.

A co?... Kapie?

Rozgwar głosów; idąc po schodach, kłócą się, wymyślają sobie.

Nagle loskot, ktoś upuścił siekiere. Wydaje się, że spadła wprost na moją głowę.

Nie mogę... uciekam.

Leżę w trawie.

Naprzeciwko mnie Stary Dom. Roi się jak mrowisko w lesie. Dosłownie jak mrowisko, bo naokół dziwny, ogromny, nieznanany bór, który oni zowią „Wielki Las” i którego się boją. W podwórku Starego Domu gromadka ludzi. Dyskutują.

— Ho, ho... — powiada ktoś — postoi jeszcze, postoi... wszakże stał tak długo... dlaczegoż by miał teraz właśnie...

— Tylko trzeba dach zrzucić! — woła drugi. — Cięży starym murom i powoduje ich zamakanie. Trzeba odnowić dach nad naszymi głowami uczynić życie w Starym Domu pewniejszym.

— Tak, tak! — przytakują inni.

— To jest właściwie wydaje mi się... — zaczyna architekt stojący na uboczu.

— Tu nie ma żadnego „wydaje się”, tu trzeba koniecznie niezwłocznej decyzji!

— Panowie! Wszak powiedziałem w komisji: więcej światła... postęp wymaga światła, czyli okien... To jest rzecz przesądzona w całym świecie. Tu nie ma dwu zdań...

— To prawda... — wołają głosy.

— W ogóle na co są ściany? — pyta ktoś. — Zaćmiewają tylko pogodny pogląd na świat. Słońce to wszystko...

— Precz ze ścianami! — zawołano.

— Za pozwoleniem... a na czymże spocznie belkowanie dachu? — pyta ktoś.

— Patrzcie! Oto jest rozumowanie konserwatysty... jemu dach jest wszystkim, wydaje mu się, że górować, panować, gnębić to jedyna racja życia.

— Ależ panowie... wszakże to jest rozumowanie szaleńca... bez ścian i dachu...

— Szaleniec... szaleniec!

— Panowie! Proszę się uciszyć... Zabieram głos dla zreasumowania sprawy. Zaszczycy waszym wyborem...

— Ja głosowałem za Nietoperzem... Veto<sup>78</sup>!

— Zaszczycy waszym wyborem na prezesa, konstatuje w pierwszej linii niezwykle zainteresowanie obywateli sprawą przebudowy...

— Restauracji... nie przebudowy!

— To jest właściwie... racja... restauracji, sądzę, że utrafię w myśl wszystkich, jeśli...

— Się pan powieszisz! — dokończył ktoś.

<sup>78</sup>veto (łac.) — nie pozwalam; w daw. Polsce formuła zrywająca obrady. [przypis edytorski]

W czwartym oknie drugiego piętra stoi człowiek jakiś i śmieje się szyderczo.

To Habdank, krawiec gromadzki, dziwnie pyszny i bezceremonialny.

— Cymbał! — woła, pokazując w nie palcem. — Patrzcie na cymbała! Czyż ktoś się w ogóle wyprowadza kiedy ze Starego Domu? Czyż można się w ogóle wyprowadzić? To człowiek szalony, człowiek niebezpieczny... rewolucjonista!

Z drzwi głównych wychodzi komisja, która była na strychu. Jest ich kilkunastu. Najgrubszy, widocznie prezes, wyłazi z trudem na beczkę kapusty. Jakaż to dostojna postać!

Tamci, obradujący przed chwilą, cofają się półkolem, by zrobić miejsce mówcy.

— Panowie! — zaczyna prezes komisji.

Wtem z brzękiem otwiera się okno w suterynie. Słychać zmieszane głosy. Odbywa się jakieś zgromadzenie. Widać głowy, ciżba, mrok w sali podziemnej.

— Do fundamentów Starego Domu ściekło wiele łez i krwi. Grunt rozmoczyła fala gorzkich łez. Nie dziwcie się tedy, że pękają sklepienia, że się rysują groźnie plafony z drzewa fiołkowego, cudnymi obrazami pokryte. Nie dziwcie się temu wy, którzy poszukujecie zła, by je usunąć i wy, którzy poszukujecie zła, by je utrwalić... Do fundamentów Starego Domu ściekło wiele łez i krwi.

Takie słowa leciały z suteryny.

— Panowie! — wołał mówca z beczki. — Zaszczycony wyborem na prezesa komisji dla badania ewentualności prawdopodobieństwa przypuszczenia, jakoby czcigodny, kryjący głowy długich pokoleń, dach waszego Starego Domu miał się znajdować w stanie niezupełnie odpowiednim...

— Błazeństwo! — ryknął ktoś z dołu. — Gadaj wyraźnie!

Z okna pierwszego piętra wyjrzała łysa głowa kierownika dobrego wychowania narodowego.

— A to co? — syknął. — A to co? Wszakże głos ma czcigodny prezes Trupia Czaszka!

— Panowie! — zaczął znów mówca. — Najskrupulatniejsze badania komisji, której mam zaszczyt przewodniczyć, wykazały, że właściwie wszelkie obawy, tylekroć wyrażane nie mają żadnego uzasadnienia!

— Wszakże cieknie straszliwie! — zagrzmiało z dołu.

— To niczego nie dowodzi! — ozwały się liczne głosy.

— Za pozwoleniem! — wołał prezes. — Nie przeczę wcale, że cieknie... nie o to idzie jednak...

— A o cóż?

— O zasadę niweczenia rzeczy czcigodnych, rzeczy świętych, w imię fałszywie pojętego postępu i rzekomej praktyczności.

— Precz z dachem! — wołano z dołu. — Niech go diabli biorą!

— Protestujemy!

— Panowie! Wchodzę *in medias res*<sup>79</sup>...

— Zrzucić dach!

— Panowie... pozwólcie... Komisja zbadła, że wprawdzie rzeczywiście dach Starego Domu...

— A widzisz pan... ha!

— Rzeczywiście wymaga pewnych... powiedzmy, ulepszeń... ale odrobina dobrej woli...

— Raczej nowych gontów!...

— Konopi wiecheć!...

— Dajcież mi mówić...

— Zgoła niepotrzebne... To sprawa architektów, nie polityków... precz z adwokatami! Gębą nie zatkaś pan dziury w dachu!

— Troszkę ufności! — błagał mówca.

— Absurd!

— Troszkę wiary w celową i troskliwą działalność rządu...

— Zrzućcież go raz z tej beczki!

— Tak... zrzućmy go! To dureń!

<sup>79</sup>*in medias res* (łac.) — w środku spraw. [przypis edytorski]



— Podaj się do dymisji! Rząd Trupiej Czaszki nie może się utrzymać, odmawiamy mu zaufania!

— Tak nie można! Tak nie można! To jest terror! Głosujmy!... Głosować!

Ponad zmieszane głosy wzbiło się czyjeś wołanie.

— Obywatele! Zapraszam wszystkich na wielkie zgromadzenie. Na porządku dziennym referat radcy Nietoperza pt. *Więcej światła* czyli *O sposobie wyjęcia ścian bez dotykania ich*. Metoda premiowana. Obywatele, stawcie się jak jeden mąż. Rzecz to niezmiernie ważna dla społeczności. Wolność słowa i bijatyki po odczycie zagwarantowana. Przestrzegane też będzie jak najliberalniejsze traktowanie wszelakich nonsensów.

Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem prosto przed siebie.

Otoczyła mnie cisza leśnego ostępu, objął w ramiona chłód rozkoszny. Rzuciłem się wyczerpany na mech. Ciało legło spać zwolnione z ustawicznej, dręczącej konieczności odbierania tych wszystkich wrażeń, które niósł każdy dzień w Starym Domu przeżyty. Ogarnął je zaraz sen głęboki. Dusza zaś poszła w las przeżywać widzenie, które by nazwać można: *Mare viriditatis*<sup>80</sup>.

Oto nowa ojczyzna... — radowała się dusza, spoglądając jak ptak z wierzchołka drzewa po rozlewnej dali.

Nie było widać końca, las nietknięty toporem stał się aż do skraju widnokregu. Wydawało się, że wszystko co na dole musi być zielone, jak wszystko co w górze, szafirowe.

Szarą plamą odcinał się jeno Stary Dom podobny wielkiemu strupowi na ciele natury. Brzydki był, bardzo brzydki.

— Podpałę tej nocy Stary Dom!

Przebiegło to niby strzała rzucona z jakichś niedosiężnych dali... i znikło, zanim dusza mogła się zadziwić.

Nagle rozległ się szmer jakiś.

— Sługa pana dobrodzieja! Co pan tam robi na drzewie?

Głos dochodził z dołu.

Nieszwole byłem przy mówiącym i poznałem naszego woźnego Milczka. Zazwyczaj nie gadał nic, uprzątając pilnie i cierpliwie rozliczne ubikacje Starego Domu.

Była to stwora jakaś niesamowita, instynkt ostrzegł, ilekroć zbliżał się do mej stajenki na poddaszu. Ale zachodził tam rzadko i znaliśmy się mało.

— Jak to, więc i pan wyprowadził się ze Starego Domu? — spytałem zdziwiony.

— I, nie... — zaśmiał się z cicha — Ja tak sobie tylko... na spacer... Właściwie tom przyszedł zobaczyć, jak się panu powodzi.

— Dziękuję! Na razie doskonale!

— W Starym Domu poploch! Dziwią się, że pan się wyprowadził. Pytali mnie, z czego pan niezadowolony. Wydaje mi się, że oni się tego pańskiego postępkę przelękli...

— Przelękli się? Cóż ja im mogę uczynić, ja, lokator z poddasza?

— Poddasza i suteryny Starego Domu to najniebezpieczniejsze miejsca! — powiedział Milczek — Stamtąd wychodziły zawsze idee... wie pan... idee... a taka idea to gorsze, jak beczka prochu, to, powiadają, może wysadzić w powietrze Stary Dom.

— Nie ma obawy. Stary Dom dobrze jest pilnowany. Są żołnierze, są latarnie sygnałowe. Zresztą wszystkim, mimo rozlicznych narzeknięć, dobrze w Starym Domu. Poza tym, zważ pan tylko: wszak poza Starym Domem, jak mówią, nie ma wokół dosłownie nic, prócz ostępu leśnego, gdzie tajń i mroki, gdzie mieszkają straszliwe stwory niewidzialne, a mocne. Poza Starym Domem, powiadają, człowiek żyć nie może... rozumiesz pan... nie może!

— A jednak wyprowadziłeś się pan?

Błysło mi podejrzenie.

— Wysłano pana, widzę, drogi Milczku na przespiegi... co?

Zaprzeczył energicznie.

— Nie! Mylisz się pan. Lubię ludzi śmiałych... bardzo lubię.

— Cieszy mnie to. Ale czy poza tym nie masz pan do mnie jakiegoś konkretnego interesu? Wydaje mi się...

<sup>80</sup>*mare viriditatis* (łac.) — morze zieloności; morze świeżości. [przypis edytorski]

— Tak jest w istocie. Przede wszystkim jednak pytam... czy pan, który wiesz mnóstwo rzeczy, nie domyśliłeś się dotąd, kim ja jestem właściwie?

— Nie pomyślałem o tym... choć prawda... podejrzewałem zawsze, że pan jakoś tylko luźnie związany jest ze Starym Domem.

— O... bardzo luźnie... bardzo...

— Pełni pan jednakże określone funkcje, jest pan na etacie, posiada pan ordery i mundur z herbami Starego Domu.

— Streszczę się. Posłuchaj pan. W Starym Domu mieszkają nie sami jeno ludzie...

— Co?

— Mieszkają zarówno niższe od ludzi organizmy, jak zwierzęta, a jednocześnie i wyższe. Człowiek jest formą przejściową, a Stary Dom terenem tej ciągle trwającej przemiany. Od bakterii do istoty nadludzkiej, do anioła, czy szatana nie ma luki w wielkim łańcuchu rozwojowym. Bez jednego, choćby najmniejszego ogniwa, sam byt byłby niepodobieństwem. Wy, ludzie, widzicie w Starym Domu tę rzeczywistość, którą ogarniają wasze zmysły i to uważacie za prawdę. Ale i tam wasza prawda nie jest wieczną i trwałą. Podobnie jak gwiazdy stałe, pozornie od setek tysięcy lat tkwiące na jednym miejscu przestrzeni, posiadają jednak swój ruch własny i w ciągu milionów lat zmieniają położenie, podobnie i wasza ludzka prawda z wolna przesuwa się, wykonuje ruch po pre-stworzach poznania. Stajecie się coraz bliżsi innej prawdy, prawdy anielskiej, podobnie jak wasz układ słoneczny posuwa się z zawrotną chyżością w kierunku Wagi w konstelacji Lutni...

— Jak to, wy... ? — przerwałem mu. — Czyż pan nie jesteś człowiekiem?

— Naturalnie, że nie. Czyż inaczej przychodziłbym tutaj? Czyż miałbym odwagę wyłamać się spod autorytetu Habdanka?

— Wielkiż to autorytet?

— Bardzo wielki. Habdank jest krawcem gromadzkim. Każdemu szyje mundur z guzikami jego rangi i jego ludzkich atrybucji. Jest on rozdawcą praw. Można powiedzieć, że szyje on ciało duszom ludzkim, bo czymże byłaby w Starym Domu dusza bez tego ciała, bez rangi, z której wynika wszystko inne, jak płaca, utrzymanie, szacunek, prawo głosu, prawo deptania innych.

— A jednak ja wyłamałem się, a czyż nie jestem człowiekiem?

— Znowu szemat<sup>81</sup>. Powtarzam, człowiek jest to wiecznie żywa i wiecznie zmieniająca się sprawa. Przypomina chmurę, która ciągle zmienia kształt, barwę, zawartość wilgoci i ustawicznie co innego niesie ziemi od ożywczego dżdżu, do niszczącego gradu. Pan wstawszy rano nie jesteś już tym samym, którym byłeś, kładąc się spać. Poza tym różni ludzie, jak różne gwiazdy, posiadają różną szybkość ruchu własnego. Jedni wiszą jak martwiejące półksiężycy czarne u boku ciał promiennych, wiecznie ku nim jedną stroną zwrócenii, inni pędzą z szybkością, wobec której szybkość pocisku największego działa Starego Domu jest jeno krokiem ślimaka. Ludzie o szybkości przekraczającej pewną miarę nie ulegają już atrakcji<sup>82</sup> Ziemi i wylatują poza jej orbitę, jak komety paraboliczne, czy hiperboliczne.

— I nie wracają?

— Niemal zawsze. Stwierdzono, że chyżość jest zmienna i słabnie w miarę oddalania się od Słońca. Właściwie nie ma hyperboli, a komety z reguły wracają. Tylko wracają po milionach lat w postaci odmiennej, tak że je poznać trudno. Mówi się wówczas: to człowiek zesłany od Boga. Takie przynajmniej mają zapatrywanie mieszkańcy Starego Domu.

— Dobrze! — zakończyłem. — Proszę mi teraz powiedzieć, jaki masz pan do mnie interes. Ciało moje zbudzi się niebawem i zechce jeść. Muszę coś dlań obmyślić.

— Nie znajdziesz pan nic dla swego ciała w Wielkim Lesie. Ziola tam rosnące to trucizna dla człowieka dzisiejszego.

— A to ładna historia. Cóż się więc stanie?

— W tej sprawie przybywam właśnie.

<sup>81</sup>szemat — schemat. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>atrakcja — tu: przyciąganie. [przypis edytorski]

— Poradźcie przeto drogi panie Milczku... ale *à propos*... nie pojmuję, z jakiego powodu właśnie pan zajmujesz stanowisko tak niskie w Starym Domu.

— A jakież zajmował pan? Ranga nieużytko-myśliciela z mieszkaniem na poddaszu? Rangi, widzisz pan, są rozdzielone na zasadzie praw, których badać nie należy. Byłaby to jałowa praca i daremna. Ale każda osobowość ludzka posiada poza swą widoczną, zewnętrzną, drugą jeszcze misję życiową „tajny rozkaz”, którego częstokroć sama nie zna. Najczęściej zdarza się, że najniższa ranga posiada misję niezmiernie doniosłą. Jest to nawet zrozumiałe, ci, którym nie dano nic na ziemi, muszą mieć przecież coś dla siebie w niebie... prawda? Ale wracajmy do spraw aktualnych. Cóż tedy poczniemy z pańskim ciałem?

— Nie wiem... nie myślałem o tym...

— Pyszny człowiek... panu niewątpliwie dano bardzo piękny „tajny rozkaz”.

— Zginąć?...

— Hm... możliwe... Albo może odnowić Stary Dom...

— Jakże to?

— Przypuszczam, że należałoby po prostu podpalić go na cztery strony!

— Co? — krzyknąłem wstrząśnięty do głębi, bo myśl taka zabłysnęła mi przed chwilą.

— Tak jest! Byłaby to nawet rzecz piękna taki pożar ziemi... to jest chciałem powiedzieć... Starego Domu. Pomyślano by w przestrzeni, że urodziła się nowa gwiazda, a któraś z konstelacji oglądanych od przeciwległego krańca przedwieczności wzbogaciłaby się o nowe słońce.

— Ależ wszakże Stary Dom jest dla ludzi wszystkim, co posiadają...

— I nic prócz niego nie mają...

— Cóż by im tedy pozostało?

— Konieczność zbudowania Nowego Domu.

— Trud nadludzki...

— Praca wznosząca ku anielstwu...

— Kara okropna...

— Za to, że uczynili swój dom nieznośnym...

Zamyśliłem się głęboko, potem zaś chcąc zmienić treść rozmowy, spytałem:

— Ale coż pan radzisz uczynić z moim ciałem?

— Użyjemy go do spełnienia czynu!

— Zginie?

— Naturalnie! Rzecz prosta! Każdy wielki Odnowiciel świata, ginął zawsze... Czyż mam wymieniać nazwiska...

— Tak, tak... to prawda. Ale widzisz pan, mimo owych odnowicieli, Stary Dom stoi, jak stał. Nie powiodło się widać żadnemu...

— Znowu szemat<sup>83</sup>. Zastanów się pan! Czy to jest... pierwszy Stary Dom... człowieka? Nie... wcale nie. Spadło na miejsce, które zajmuje mnóstwo piorunów i szalały pożary ogromne... To jest tylko ostatni... Stary Dom, to jest ostatnia formuła poznania ludzkiego, dobra na dziś, zgoła nieprzydatna na jutro. Nic nie jest trwałe, co tylko jest żywe... nie zapominaj pan o tym... nie zapominaj ani na chwilę!

Czułem zawrót myśli, niby czerwone fale przelewały się jedna w drugą. Czułem, jakby sen mój był jawą, z której przeszedłem w drugi sen. Wszystko wydało mi się innym, dziwnym na tym głębszym poziomie snu, podobnie jak oczy napotykalą coraz inne dziwne zjawy w miarę zapuszczania się coraz głębiej w bezdenń morza.

W pierwszej linii zatroskałem się teraz na dobre o moje ciało leżące oto tam niedaleko na mchu.

Rozejrzałem się wokół. Rozłóg wysokiej trawy. Witki jej ruszały się ustawicznie, kłaniały sobie, zbliżały się ku sobie i oddalały. Żadne źdźbło nie stało na swoim miejscu. Wydawało się, jakbym tkwił w olbrzymim, dziwnym węzowisku, cieniuteńkich źmij, gotowych kąsać. Pośród traw widniały olbrzymie, niemal czarne kwiaty z pozoru przypominające pełne maki. Płatki koron poruszały się nieumiarowo, jakby dowolnie, odsłaniając żółte plamy, podobne do wielkich kocich oczu. Także pnie drzew nie tkwiły nieruchomo w ziemi. Oddalały się od siebie, to znów zbijały w gromadki. Korony ich szeptały zaś

<sup>83</sup>szemat — schemat. [przypis edytorski]



— Mańka! — wołam. — A kiedyż się tam wyguzdracie?  
 — Zaraz, zaraz... Hej! Stefa! Józek! Drucha!...  
 — Jak to? Wszyscy?  
 Zły jestem. Przecież to nie do darowania zamęczać konie! Przy tym, to moje... te kuce... wyłącznie moje.  
 Ale spaśne są, więc po chwili przychodzę do przekonania, że im nic nie będzie.  
 — Wawrzon! — wołam.  
 Psiadusza! Pewnie dopiero czyści buty... Nie będzie z niego nigdy dobry furman... co nie, to nie...  
 Rozkoszny mnie oblewa wiatr. Idę oczyma po linii topoli, aż tam do gnącego się we wietrze wierzchołka.  
 Cudna jest. Szemrze. Pachnie! A ten krąg żywopłotu... Jak się dziś rysuje elipsą ciętych krzaków!...  
 Idzie Wawrzon. Nie patrzę, a wiem, że dociąga paska. To robi zawsze na ostatku. Nie do gniewu mi zresztą. Patrzę na szyby ganku... liczę je... Błyszczą... jak błyszczą... Wiem, tam za nimi, gdzieś w głębi, głowy drogie, kochane, cudne przez to, że takie kochane... Są. To dość... nie umiem im powiedzieć nic nad podziękę, że są... ale zdaje mi się... rozumieją. Ot kochani...  
 — No, będzie tam raz?! — wołam w nagłej pasji. — Idź Wawrzon i powiedz!...  
 Waha się i spoza moich pleców mówi:  
 — A... naręcznemu kłapie lewa podkowa...  
 — Co?... Do krośset diabłów!... A czemużeś... Cóż robi Antoni... ha?  
 — Poszedł do kościoła... że to niby niedziela... W mieście się przybiję... dojdą... dojdą... mówię tylko zawczasu, żeby się pan nie gniewał...  
 — Cymbale jakiś! — wołam. Ale on wie, że to tak z obowiązku, więc nic z tego sobie nie robi.  
 Przekonany, że tak jest, milknę i ja... Nie, to nie do wytrzymania!  
 — Mańka! Mańkaaaa!  
 — Nie krzycz! Adaś nie krzycz! Wstydź się!  
 — Proszę cioci, bo nie mogę się doczekać!...  
 Staje w progu. Złote ma dziś od słońca włosy. Słyszę kaszel wuja.  
 — Nie wrzeszcz, Adaś! — mówi wujek — Panny muszą się zawsze guzdrać. Całkiem proste.  
 — Więc jakże? — mówi Mańka — miałam w halce jechać na sumę?  
 Nareszcie wychodzą wszyscy. Co tu tego!  
 — Nie biorę tyle hołoty! — mówię. — Stanowczo nie.  
 — Patrzcie go! — szydzi Józek. — Albo to twój wózek.  
 Nie twierdzą, że mój, bo wujek słyszy, więc atakuję go tylko pośrednio.  
 — A to co znowu? — wołam. — Na cóż ty bierzesz aparat fotograficzny? Czy myślisz fotografować księdza przy ołtarzu?  
 — Daj mu spokój Adaś, niech sobie weźmie, to przecież...  
 — Mój dzień dzisiaj — woła butnie.  
 — Widzisz, to jego dzień... Niech sobie weźmie! — prosi ciotka.  
 — No, prędeż hołoto Branickiego! Prędeż! Mam interesy!  
 — On ma interesy! Patrzcie go! — szydzi teraz Mańka.  
 — I ja też! — woła Józek — Prędeż!  
 — O ty smarkaczu... Ty chyba w Jedlnej!...  
 — Wypraszam sobie przytyki osobiste! Proszę wuja!...  
 — Prędeż bando! Prędeż! Wio!  
 — Czekać! Czyś oszalał? A, gdzież Andrzej?  
 — Ajajaj! Moja noga?! Wstań Stefa — mówię — wstań! No, nie ruszysz się?  
 Drucha poważny, z książkami pod pachą całuje starych w ręce.  
 — Pamfil! — wołam — Pamfil!  
 — Tak... jeszcze psa brakuje tylko. Nie ma go. Gdzieś poleciał. Zły jestem, nie wiem sam czemu.  
 — No, w imię boskie... — mówi ciotka.

— Wracajcie wnet! — dodaje wujek — A powiedźcie ta w Jedlnej, żeby mi przysłali tego rymarza, skoro tylko tam skończy robotę.

— I zaproszę chłopców na popołudnie. Dobrze?

— No dobrze! Zaproś! I panny też. — Józek i Stefa zamieniają zagadkowe spojrzenia. Ruszamy. Objędzam gazon, by raz jeszcze spojrzeć na nich.

— Kochani! — rzucam im cicho, bardzo cicho, by moja banda nie słyszała. Patrzą za nami. Uśmiechają się. Zrozumieli. Ten uśmiech był dla mnie, wyłącznie dla mnie.

I zaraz zapomniałem o gniewie. Świstam. Jak cudnie.

Raz jeszcze się oglądam... nic już nie widać.

Zakryły ich lipy, zakryła stojąca pośród nich kaplica...

Ale słyszę, jak mówią do siebie, tam daleko, może tylko myślą zresztą:

— Kochany! Kochany chłopiec!

— O jakżem wam wdzięczny, że jesteście! — odpowiadam cicho.

— Płakać się chce... tak cudnie. Ależ ta moja banda gada!

Całkiem jak w hajderze.

\*

— A pruuu! — woła Józek i łapę swą kładzie na lejcach.

— Co? — pytam, przychodząc do siebie.

— Oszała! — woła Józek. — Przecież to już Jedlna! Stój!

— Co?

Nie mogę wrócić ku jawie. Nie odnajduję drogi pośród mrocznych gęstw rojeń. Ciągną mnie przemocą ku przytomności.

— Stać! Wsiadamy! Ja i Stefa.

— Na cóż Stefa? — pytam.

— Na to samo, co i Józek! — szydzi Mańka.

— Miłostki... ha, ha!

— Wypraszam sobie! Poskarżę wujkowi! No, piśnij jeszcze słówko, no, piśnij!

— Cicho! Cicho! — przynagliła Drucha — Spóźnię się! Jedźmy!

— Stać. Inaczej stłukę aparat fotograficzny! — woła Józek...

— Spróbuj tylko! — ostrzega Mańka — Miałbyś się z pyszna!

— Może nie ma nikogo... — mówię. — Jakoś pusto.

— Są! — stanowczo twierdzi konsorcjum zakochanych.

Oni to wiedzą.

— Będziemy w lesie! — informuje laskawie Józek. — Gdybyś nas nie zastał, powracając... pamiętaj... przy drodze w lesie...

Więc wszystko dawno ułożone...

Nie mogę zapomnieć, że miała dziś złote w słońcu włosy. Słyszę jego kaszel, widzę szarą kapotę... Niczym by się mógł nie wyróżniać spośród wielu, a poznano by go... kochany bowiem jest... kochany bardzo on i ona... jakże ich Kocham! I oni mnie Kochają. I to nie minie... nie zapadnie się w bezden! Wyciągam dłoń... Zostańcie na zawsze. Taką ma moc miłość. Jak to? Nie wiedzieliście? Wyciągam dłoń i odejść już nie zdołacie, bo do miejsca was przykuje coś, co największe, najogromniejsze z istniejących zjaw w tym i wszystkich innych życiach, tu i tam... tu i tam... w tej dali, skąd przychodzi ona... tęsknota, nowych, ciągle nowych stawań się... Miłość! Twórca nieśmiertelności!

\*

— Co to? — drgnąłem nerwowo.

— Przy tamtym domu — mówi Drucha, a ręką w powietrzu kreśli przy tym jakieś kontury — przy tamtym domu staniesz. Albo nie, tu... Prr! To zwraca uwagę...

Wysiadł. Zbierał rozrzucone pod nogami rodzeństwa notatki.

— Można do was zajrzeć? — spytałem.

— Można. Dziś mój dzień. Ale idź naokoło. Idzie o dobry przykład.

Mańka patrzy nań z niepokojem.

— Odrywasz się od pnia. Widzę to... Odchodzisz! Może daleko... strzeż się!  
— Prorokini jakaś! — odrzucił jej — Na razie idę pożyczyć książek<sup>85</sup>.  
— Nie — upierała się — ty odchodzisz... ja widzę cię co dnia dalej.  
Westchnął.  
— Dziecko. Może nim minie chwila i ty się przeprawisz na swój własny brzeg.  
Zamyśliła się.  
— No, dość kiepskich imitacji Apokalipsy — rzucił żartem. — Pa!  
Znikł w zaułku ciasnej uliczki miasteczka.  
— Te smarkacze, pewnie zapomną o mszy. Zapomniałam im powiedzieć, by poszli bodaj na chwilę do kościółka w Jedlnej. Szkoda, ciotce to zrobi przykrość.  
— Czy sądzisz, że im to dobrze robi takie udawanie?  
— Niech udają. Może się zjawić dnia pewnego potrzeba...  
— Albo rutyna.  
Nie odpowiedziała nic, jak zwykle natrafiwszy na opór.  
Wózek podskakiwał po haniebnym bruku. Błoto przyskało wysoko. Mańka otulała się skórzonym fartuchem, jak mogła.  
Ochoczo dość i z niejaką fantazją wpakowaliśmy się do okropnej, cuchnącej sieni zajezdnej. Przeciąg tu był nie do zniesienia, więc skróciwszy do ostatecznych granic powitania ze Szłomą, wyszedłem na rynek z Mańką.  
Różnymi mienił się barwami, bo słońce świeciło jasno.  
Tłumy były gęste, zwłaszcza w wąskim przesmyku wiodącym do drzwi kościelnych.  
— Popatrz no tam! — wykrzyknęła Mańka.  
— Przez tłum przeciskała się zakonnica w czarno-brązowym habicie.  
— To i cóż! — odparłem. — Jakaś felicjanka. Pewnie ze szpitala.  
— To Wanda... Pamiętasz Wandę... ma już kwef... to dziwne spotkanie. Chodź, przedstawię cię, przypomnę raczej. Chcesz?  
— Nie! Idź sama. Spotkamy się przy wyjściu. Wówczas mnie przedstawisz.  
Skinęła mi głową i znikła w cieniu kamiennej bramy.

\*

— Jak to? Już po nabożeństwie? — spytałem dziadka kościelnego zamiatającego podłogę.  
— Ma się wi... — i zamiatał dalej. Dziwnie niegrzeczny, pomyślałem sobie. Pewnie mu Mańka zapomniała dać jałmużnę.  
Ale i potem dziad nie okazał się łaskawszym.  
Mamrotał coś. Raz nachylił i podniósł wielką, kraciastą chłopską chustkę.  
Wyszedłem. Miasto nie wrzało zwykłym niedzielnym ruchem, niebo oblaży teraz ciężkie, z trudem dźwigające swoje brzemiona chmury. Ludzie się spiesznie rozjeżdżali.  
W zajeździe nie było Szłomy, tylko jakiś młody Żydek, trochę do niego podobny.  
A i Wawrzon widno jeszcze od kowala nie wrócił. W mrocznej sieni jakieś konie chłopskie chrupały siano, pojazdów w stłoczeniu i ciemni wcale widać nie było.  
Wreszcie chętnie zobaczyłbym tę Wandę, pomyślałem... Tylko gdzie one poszły?  
Nie, nie będę czekał w zajeździe.  
Hm... deszcz zaczyna padać.  
Nie, nie zostanę w zajeździe. Pójdę tam, do nich, do małoletnich fabrykantów wielkiego JUTRA.  
Wielkie się porobiły kałuże, widno ziemia była nasycona wodą. A tam, u nas przeszło tydzień pogody, pomyślałem, człapiąc w zbyt nowych na taką wyprawę trzewikach. Despekt każdy uczyniony mojemu obuwiu dotyka mnie osobiście, więc byłem zły, wściekły, kipiałem gniewem.

\*

<sup>85</sup>idę pożyczyć książek — dziś popr.: idę pożyczyć książki. [przypis edytorski]

— Nie mam przyjemności...

— Jak to? Nie znasz pan mego brata Andrzeja?...

— To jest w istocie... — jękał się młody studencik.

— A rozumiem, rozumiem... No ja nie jestem niebezpieczny. Ale jeśli już tacy jesteście mistycy, gotyccy, wolnomularscy, to sobie bądźcie! Proszę tylko powiedzieć mojemu bratu, że czekamy w zajeździe... proszę zaraz powiedzieć...

— To właściwie... to jest...

— Proszę bardzo! — huknąłem mu nad uchem z wielką pasją.

— Oczywiście! Natychmiast! Padam do nóg! — krzyknął i zamknął drzwi na klucz.

— A to szelma! Taki arogancki, małaletni fabrykant wielkiego JUTRA! Nie zna Druchy! Konspirator! Szelma!

A tu błoto... Psiakrew!

Trzewiki już i tak na nic. Można iść dalej.

W szalonym jestem humorze. Mam wrażenie, że oto jestem na całym świecie sam jeden, opuszczony, odumarty przez swoich... Wylazi żyłka literacka. Przerabiam błoto, smutek, przypadki rozmaite na powieść.

Wyjechał kucykami na sumę.

W pierwszej wsi, znaczy się, w pierwszym czasokresie zgubił, znaczy się, śmierci dał brata i siostrę... nie... nie... nie... To zbyt bolesne na temat! Kochany Józek... cicho... cicho... Stefa... nie... nie... A to smarkacze! Proszę, już się temu śnią amory, no... no... Okropność robić z życia bibułę... okropność. Pamiętam, doznałem bardzo przykrego uczucia, ilekroć czytając książkę wspomniałem: „I o nas można by taką historię napisać!”. Płakałem. Ciotka uspokajała mnie:

— Widzisz, to nieprawda! Czyż u nas są np. jak w tamtej bajce mury zębate, przez które by można wyrzucić zwłoki pomordowanych?!

— Prawda!

— No widzisz! Nie płacz. Takich smutnych bajek nie można by pisać ani o cioci, ani o wujku, ani o was.

— A wesołe, prawdziwe, całkiem dokładne, można by...?

— Naturalnie! Naturalnie! — powiedziała raz.

A ja się dziwiłem. Dlaczego jest aż tak wielka między smutnymi, wesołymi różnica... Wszak i w wesołych przychodzą czasem rzeczy, których tu nie ma... więc...

Nie mogłem nigdy wybrnąć z zawikłania. Czulem jednak, że należy przyznać: tak, tak, najsmutniejsze rzeczy, a całkiem prawdziwe, można by napisać o mnie, Józku, Stefie... Brakło mi odwagi dokończyć nawet w myśli tej listy... Ale potem w życiu nieraz wracało: „Ano, można by!”. I zawsze ten dziecinny lęk...

Psiakrew! Trzewiki na nic!

A wszystko przez te przeklęte... Zawahałem się.

Nie było winnych, mniejsza z tym. Na złość pójde piechotą aż do Jedlnej, a Mańka i ten Drucha-Konrad, fabrykant wielkiej światłości, niech się trapią, niech mnie szukają!

— Aż do samej Jedlnej! — wrzasnąłem głośno, jakbym tą odległą metą miał się zemścić... na... kimże... no na wrogu... na swej może własnej niezaradności, żyłce literackiej czy złej pogodzie, co mi zniszczyła trzewiki.

Tak. Przybywa dalszy rozdział powieści, przemknęło mi przez myśl.

Machnięciem ręki odegnałem precz szatana literackiego i natychmiast dumny z siebie i z tego też, że mam swego własnego, własnego szatana do odpędzania, powlokłem się po rzadkim błocie ku widnym na zachodzie górcom.

Literat, Szatan

\*

— Cóż u licha! Gadasz czy nie?

Tupnąłem z pasją. Ale to nie zmieniło wcale sytuacji. Głupawy ogrodniczek dalej śmiał się rehotliwie, nie wypuszczając fajki z ust, ani doniczki z dłoni.

— Przybywa dalsza karta powieści! — ryknął mi w ucho mój rodzony szatan literacki.

Ale teraz już nie bałem się tej myśli... Nonsens! Nonsens! Nie odganiałem wcale szatana, usunąłem się nawet na bok, by mu zrobić miejsce na ławce kamiennej, gdzie siedział.



Oni w lesie i nie wrócą wnet, bo jak na złość wypogodziło się! (teraz, gdy moje trzewiki na nic)...

Nudy... kto by w takiej sytuacji odpędził interesującego szatana literackiego, niech pierwszy rzuci na mnie kamieniem.

Więc mu przyzwoliłem snuć przykry wątek powieści... czekałem... minutę... dwie... daremnie.

Tak, to jakiś naprawdę literacki szatan, pomyślałem, jest dziwaczny, kapryśny, całkiem współczesny... całkiem...

Rozległo się szczekanie, gdzieś od strony gościńca.

— Pamfil na tu! Poczciwy pies szuka mnie! To jedyna żywa i mądra istota, jaką spotykam od paru godzin... Na tu!...

Z krzaków wybiegł pies laciaty. Stanął, podniósł przednią łapę i patrzył.

— Na tu, głupi Pamfil! — krzyknąłem.

Szczeknął, przepadł do ziemi, ale nie przyszedł do nogi.

Zmyliło go widać jasne, zmoczone moje ubranie niedzielne. Ale po chwili już łasił się po staremu i podskakiwał do kawałków cukru, ocalałych w kieszeniach od spodni. Nosilem je stale dla psów i koni.

Jakoś wszystko od razu z pojawieniem się tego psa nabrało innych barw. Ten „fakt” uczynił rzeczy otaczające zwyczajnymi, codziennymi... Znikł gdzieś literacki szatan, natomiast pojawił się głód.

— Psiakość! A tom się musiał spóźnić! Nie mam zegarka... prawda, pożyczył go sobie dziś Józek szelma, żeby zaimponować damie swego serca...

— Musieli wszyscy od dawna wrócić... Wujek będzie znowu po swoim drwił... Kochany... drogi... o drwij... drwij!... A ona bronić... dobra... moja... brońże, broń mnie...

O jakże się naraz zrobiło dobrze! To bliskość domu... i ten poseł... Ten żywy fakt...

Prawda! Jest gazeta! Sam po drodze wziąłem z poczty. Doskonale! A teraz marsz w drogę! Pamfil! na tu!

Czytałem, idąc szybko. Ach, czyż mi trzeba aż oczu, by znaleźć tę drogę, tę moją własną... Zaczytałem się. Jakieś były awantury w parlamencie, głupkowate, a ciekawe ze względu na znane osobistości.

— Pamfil! Masz cukru! Pif! Ale to ostatni kawałek!...

Na czas podniosłem oczy, by nie uderzyć się o leżącą w poprzek alei ogrodu kłodę.

Cóż to za głupi żart młodych jegomościów, pomyślałem i krzyknąłem ku stajniom:

— Wawrzon! Wawrzon! Antoni! Antoni!

Ale pewnie świątkowali, więc sam z pewnym wysiłkiem odsunąłem kłodę na bok.

Kończąc notatkę o zwadzie posłów liberalnych, wstępowałem po kamiennych schodach.

Wetknąłem gazetę w kieszeń i układając, jak opowiem przeczytaną krotoczwilę moim starym, położyłem rękę na kłamce...

Cóż to, tak cicho?

Oczywiście są przy stole. Tak, tak, jeść, jeść!

Co to? Także, żarty! Hej!...

I nagle, nagle... wróciły wszystkie... wszystkie okropne myśli... Co?... Pytałem nie wiadomo kogo... Co?... ZAMKNIĘTE?...

A z głębi domu, gdym szarpnął za kłamkę coś posępnie potwierdziło: ZAMKNIĘTE! ZAMKNIĘTE! DOBRZE ZAMKNIĘTE!

## *Chleb i woda*

Stali nad brzegiem i klęli.

— Znowu zabiera, znowu jucha zabiera. Ot, tyle zagrodzone było łońskiego<sup>86</sup> roku na wiosnę. A teraz o jakie trzy sążnie podeszło spodem, że ani przystęp... A tu... o i tu zrysowana ziemia. Wciórności!! Żniwa nadchodzą, kłos twardy, żółci się już na dobre słoma... a ty teraz broń się przed złodziejem... ratuj...

<sup>86</sup>łoński (daw., gw.) — ubiegłoroczny; o roku: zeszły. [przypis edytorski]

Klęli i bili w brzeg grube, wierzbowe kłocce.

Wielkie wybrane doły na pół zalane wodą czerniły się rzędem. Długie, śmigłe wikliny zwały się ścianą pochyłą... czekały schnąc i dumając o swym losie.

Bracia wielkimi babami drewnianymi walili po głowicach kłoców wierzbowych. Każdy uderzył raz i stęknął... A kłoc, obsunął się trochę wgląd i chlupnął wodą.

Co chwila przerywali pracę... ocierali pot z czoła rękawami koszuli... to jednym, to drugim i klęli.

Wielka kiść żółkniejącego<sup>87</sup> żyta zwisała smutnie z wysokiej szkarpy brzegu. Kłosa walały się w błocie rozrobionym stopami pracujących. Górą widniał dach chaty i kawał białej ściany...

— Dość tego! — powiedział starszy i cisnął babę o ziemię<sup>88</sup>.

Młodszy nie rzekł nic, usiadł na skrawku ziemi pokrytym trawą i zwiesił głowę.

— Chodź jeść! — rzekł starszy.

— Idź sam! — odrzekł siedzący. — Zmordowałem się... przyjdę.

Został sam.

Wpatrzył się w nurt wartko płynący.

Na drugim brzegu połego<sup>89</sup> się ścielącym i zasutym<sup>90</sup> żwirem i namulem, stały chaty.

Stały, a raczej siedziały na ziemi szeroko rozkraczone.

Ściany się dołem rozlazły, rozszerzyły, jakby puściły korzenie w grunt.

Przybudówkami, chlewkami, niby rozstawionymi dłońmi objąć się starały największą przestrzeń.

Zdawało się, iż mówią ziemi:

— Ha! Mojaś jest... nie puszczę, nie puszczę... mojaś jest!

A woda płynęła i zdawała się mówić do zadumanego chłopca:

— Ach! Nikt mnie nie rozumie... nikt mnie nie rozumie.

Zdumiał się.

I nagle zebrawszy śliny... chciał pluć we wodę. Ale na czas wspomniał, że to nie-dobrze...

— A widzisz! — rzekła mu woda. — A widzisz! Nie pluj we wodę, nie bluźnij wodzie... nie bluźnij wodzie... szanuj wodę... szanuj... a lepiej jeszcze staraj się zrozumieć, kto ja jestem... ja WODA.

— Ty jesteś złodziej! — powiedział.

I zdumiał się sam dźwiękiem swego głosu i tym, że mówi do wody jak do żywej istoty.

— Nieprawda... nieprawda... mówisz jak cię nauczyła ta stara chałupa rozkraczona...

jak cię nauczyła wieś... jak cię nauczył rozum ludzki... To wszystko nieprawda!

Tak mówiła woda z szumem.

— Mówię, jak naucza rozum... ba, a jakże mam mówić?

— A wiesz, kto tego rozumu nauczył ludzi i tę chatę, i wieś całą... Wiesz, kto nauczył ich tego rozumu?

— Nie... nie wiem... — odparł. I już się nie dziwił, że mówi do wody jak do żywej istoty.

— Nauczył ich tego mój brat, CHLEB.

— Twój brat?

— Mój brat, który żyć beze mnie nie może... jak i ja nie mogę... z tęsknoty, kiedy go nie ma koło mnie.

Rozległo się wołanie od strony chaty:

— Jasieeek! Jaaasiek!

— Słyszysz! — powiedziała woda do Jaśka — Mój brat, CHLEB woła cię... idźże, idź...

Zerwał się żwawo. Oprzytomniał. Przetarł dłonią czoło.

— A tom się zdrzemnął... — mruknął i poszedł ku chacie, nie spojrzawszy już na wartki nurt z szumem płynący.

<sup>87</sup>żółkniejący — dziś popr.: żółknący. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>o ziem (daw., gw.) — dziś: o ziemię. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>połogi — rozpościerający się szeroko, rozległy. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>zasuty — pokryty. [przypis edytorski]

Długo nie było nikogo na brzegu. Panowała cisza południowa. Słońce stało w samym niemal zenicie i piekło, słoma żółkła, szypułki kłosów otwierały się powoli i wyzierały ciekawe główki ziaren. Trawa przygnieciona ciężarem Jaśka powstawała lekko, powoli, a konik polny wystraszony ze swego osiedla w zielonej kępce namyślał się, czy można wrócić. Odarte z kory, biedne kłocze wierzbowe tkwiły w błocie i żaliły się niebu, wznosząc w górę biedne udręczone głowy, zaś skryte w głębi ziemi małe strumyczki posłane przez rzekę, ryły się przez pulchną, gorącą glebę jak krety.

Woda płynęła wartko. Nie mówiła nic. Czasem tylko jakaś fala rzuciła na brzegu przeciwnym rozsiędzionej<sup>91</sup> chacie pogardliwie pod nogi garść namułu.

— Naści masz... naści weź...

— Dobra nasza! dobra nasza!... — śmiała się chałupa i łyskała do słońca oczami okien.

— Naści kamień...

— Dobre i to... panie Kmito... — rechotała.

— Naści drewno zbutwiałe...

— W piecu zetleje całe... ha, ha, ha...

— Naści i zdechłą mysz...

— Przyda się tyż... przyda się tyż...

— I kwiat zerwany gdzieś...

— Tylko nieś... tylko nieś...

A chałupa Jaškowa wytrzeszczała oczy, zazierała ponad brzeżek, by dojrzeć, czy woda czego nie skradła. Błada i zielona była ze złości. Zdawało się, że zgrzyta zębami i że włosy, że strzecha staje jej dęba na głowie z oburzenia.

Po południu wrócił Jasiek sam jeden do pracy.

Maciek poszedł z koniem holować łódź proboszcza, którą woda wczoraj jeszcze zniosła daleko i osadziła o parę stajań, na prost dworskiego ogrodu.

Stanął na brzegu i spode łba spojrzął na wodę.

— Widzisz! — zaczęła od razu, jak do znajomego. — Posłałam Maćka z koniem, by nam nie przeszkadzał. Siadaj!

Nagle ogarnęła go pasja, pasja istoty żywej i pana gruntu i chałupy w dodatku...

— Wciórności... psiakrew jedna!...

Chciał kłąć, ale się splątał, bo nie wiedział, jak kłąć wodę, która gada. Więc napluł tylko w garść, porwał ze ziemi babę dębową, zamachnął się i palnął z całej siły w głowicę nieszczęsnej, umęczonej wierzby, aż jęknęła.

Ale czy zamach był za wielki, czy kłoc uchylił głowy przed ciosem, dość, że baba się ześliznęła i potraćła Jaśka dosyć silnie w nogę...

— A niech to wszyscy diabli!... — jęknął boleśnie, chwytając się za nogę...

Musiał usiąść, bo go aż zesłabiło<sup>92</sup>.

— A nie mówiłam ci, żebyś se usiadł? — rzekła woda i zaśmiała się.

— Ty nieczysty duchu... ja ci... — wrzasnął ostro.

Nagle włosy mu stanęły dęba ze strachu na głowie.

— Boże ratuj! Toż ja tu pogawędki toczę z jakąś mocą piekielną...

Zerwał się, by uciec, ale nim krok postąpił, woda rzekła:

— Przy chrzcie świętym nalano mnie na twoje czoło!

— Prawda! — przyznał Jasiek.

— Tedy<sup>93</sup> siadaj.

— Ale ja mam robotę. Nie mam teraz czasu słuchać kazania.

— To nie będzie kazanie. A cała ta robota niepotrzebna.

— Jak to? Więc ma wszystko podmulić... ej gadanie...

— Nie podmula temu, kto ma przymierze z wodą. I prawo wolności od chleba uzska... ale to trudne...

— Mościewy kochani! — wmieszała się do rozmowy Jaškowa chałupa... — Mościewy... powiedzcież mi też... Więc ta czarownica... ot tamta na drugim brzegu... ma przymierze z wodą?

<sup>91</sup>rozsiędziona — siedząca szeroko; rozsiadła. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>zesłabić — dziś raczej: osłabić. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

— A mam! A mam! — wrzasnęła z drugiego brzegu sąsiadka.  
 — Moja wodo jedyna, powiedźcie nam prawdę... mnie i Jaśkowi... — prosiła chałupa Jaśkowa.  
 — Czy powiedzieć? — spytała woda chałupy z przeciwka.  
 Ale stara jakoś nagle przycichła, zawarła oczy swych okien, przyczerniała na ścianach, zgarbiła się, niby pod ziemię kuląc... Nie odpowiadała wcale.  
 — Stójcie sobie spokojnie, nie przeszkadzajcie! — nakazała ostro woda chałupom.  
 Jasiek zobaczył, że obydwu domostwa zmartwiały nagle, i taki jakiś inny mają wygląd niż przedtem. Ot chaty. Ale i woda stała się zwykłą wodą, co płynie nie wiadomo skąd i w jaki kraj. Szemrała, pieniała się na kamiennych progach rzuciła fale o brzegi... nie odzywała się głosem zrozumiałym.  
 Czekał cierpliwie sądząc, że się namyśla.  
 Siedział i czekał, a słońce szło po niebie nieustannie.  
 Nareszcie wstał, machnął ręką i podjął leżącą na ziemi dębową babę.  
 Za chwilę tętniły już uderzenia mocne, wytrwale, uporczywe. Pot mu zalewał oczy... nie zważał... pracował zażarcie.  
 — A toby też było, gdyby się tak roznieśli<sup>94</sup> po wsi! Rety!  
 Pośpiewując, pracował do zmierzchu. Zaciągnął trzy nowe kłocce. Gdy się zmierzchno i miał iść do domu, schylił się, podjął ciężki kamień i cisnął z rozmachem w rzekę.  
 — Masz nagrodę za twoje bajdy!  
 Roześmiał się. Naciągnął kaftan i sięgnął po paczkę z tytoniem do bocznej kieszeni. Skręcił papierosa, zapalił i ruszył przed się.  
 — A możesz ciekawy... — doleciało go od wody.  
 Splunął z pasją i poszedł, nie odwracając się już wcale. W domu zastał już brata siedzącego przy stole. Bratowa stawiała przed mężem miskę klusek.  
 — A dalibyście się ta czego napić matka! — powiedział Maciek do żony. — Zmordowaliśmy się dziś pono<sup>95</sup> obaj! — dodał, spoglądając z zadowoleniem na brata.  
 Wypili po raz i po drugim wcale niemałe sztankaniki<sup>96</sup> wódki, potem jedli w milczeniu kluski, póki starczyło. Gdy skończyli, zapytał starszy:  
 — Dużoś zrobił?  
 — Ta cosiem tam zrobił! — odparł niepewnie, bo mu żal się zrobiło straconego nad wodą czasu.  
 — A to bestia podmywa... — rzekł Maciek — Ciekawość czemu akuratnie nasze pole.  
 — Akuratnie psiamać nasze!  
 — Andrzejowego, to ani tknie... jakby...  
 — Jakby co?  
 — Jakby bestia, pijanica miał jakie tajemne przymierze z wodą.  
 — Przymierze! — wrzasnął i zerwał się z ławy.  
 Maciek spojrział na brata zdumiony wielce.  
 — Niewiele popiłeś, ale jakoś ci się sprzeciwiło...  
 Nie odpowiedział nic, ale wstał i wyszedł przed dom. Księżyc nie było, ale gwiazdy jasno świeciły. Szum zalaatywał od rzeki. Jasiek czuł, wiedział dobrze, że teraz trzeba by tam pójść... tam... do niej... bo ona teraz właśnie powiedziałaaby niejedno...  
 — Nieciekawym!... — uparł się — Wcalem nieciekawym!  
 I poszedł do karczmy.

\*

Pan komisarz łapał ryby. Pan komisarz był na urlopie.  
 Urlop, rzecz dobra.  
 Oooj dobra!  
 „Nic jakoś nie bierze dzisiaj” — myślał, patrząc na korek, o który, jakby był mocno we dno rzeki wbity, woda rozbija się z szumem.

<sup>94</sup>roznieśli (gw.) — dziś popr.: roznieśli. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>pono (daw., gw.) — chyba, prawdopodobnie, podobno. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>sztankaniki (z ros.) — szklaneczka. [przypis edytorski]

Ooo! Urlop rzecz doskonała! Tylko niełatwa.  
Wszystko co dobre, trudne jest.  
— A! Mam cię! — wrzasnął nagle z radością wprost dziką.  
Ale to było złudzenie.  
Ileż to razy choćby dzisiejszego dnia.  
Urlop, rzecz wyborna, ale co dzień, to pechoważy<sup>97</sup> wielce.  
Pan komisarz począł myśleć.  
Myśleć bowiem wiele można przy takim ryb łowieniu.  
Ale o czym.  
O awansie nie potrzeba. Właśnie zaawansował... i to... ach pewnie po raz ostatni  
w tym życiu.  
A w życiu przyszłym?  
Et! Pan komisarz był wolnomyślicielem, przeto...  
Wolnomyślność rzecz doskonała. Rzecz jasna.  
Dobrze jest tedy myśleć wolno i jasno.  
A jak się trawi przy tym, niam, niam!  
A propos. Pono jest jakiś szczerp NIAM, NIAM, gdzieś w Ameryce. Prawda?  
Ale co to ma do trawienia?  
Chyba, że to są ludożercy.  
Pfuj! Na co człowiek schodzi, myśląc...  
Korek zapchał się gdzieś we wiklinę, pan komisarz tego nawet nie spostrzegł.  
Szum rzeki porywał go w jakieś fantazje, mieszał tok myśli, rzucał nią jak kawałkiem  
drewna.  
Pan komisarz myślał to wolno, to prędzej, ale nic się nie kleiło.  
Zatracił się w tej mieszaninie, tonął w tym szumie, z którego coś jakby czasem wy-  
plywało, coś dziwnego, nieswojskiego, nie wolnomyślnego... a on nawet nie dziwił się...  
nie bronił.  
Na powierzchni tej zjawiało się raz po raz jedno tylko jasne pojęcie: Urlop... urlop...  
Ale i to zjawiało się coraz rzadziej i rzadziej.  
Wreszcie zanikło. Pan komisarz przestał być komisarzem... niemal utracił rangę...  
rzeka go pochłaniała... degradowała do rangi zwyczajnego człowieka... nie, jeszcze niżej...  
do poziomu poety...  
Pan komisarz marzył na jawie.  
W takich chwilach wszystko jest możliwe.  
Toteż rzeka zaczęła do niego mówić, a on do rzeki.  
— Ach! Nikt mnie nie rozumie... nikt mnie nie rozumie!  
Tak mówiła rzeka.  
Zdumiał się.  
— Jak to niby? — spytał.  
— Nikt nie wie, co to ja jestem... ja WODA.  
— Ty... ty... ty jesteś oczywiście... no, w tobie są ryby i koniec.  
Rzekł i jakby zdziwił się znowu, że przemawia do wody jak do żywej istoty. Ale zdi-  
wienie nie było wielkie.  
— Nieprawda, nieprawda! — odparła woda. — Mówisz tak, jak cię nauczył urlop...  
jak cię nauczył rozum zmętniały nad aktami wyzierający w lecie na świat boży...  
To wszystko nieprawda! Tak mówiła woda.  
— A jakże mam mówić inaczej? — spytał.  
— A wiesz, kto tego rozumu nauczył ludzi twej sfery, skąd wzięły go wszelkie urlopy  
od początku świata udzielane urzędnikom wszelkich ras i wieków?  
— Nie wiem! — westchnął z pokorą, iście nie siódmej rangi.  
— Nauczył ich tego mój brat CHLEB!  
— Aaa! Wiem. Do tego nie trzeba wielkiej filozofii!  
— Tak? A mnie się zdaje, że dużo większej jak twoja.  
— Phi! No na przykład!  
— CHLEB jest to wszystko, co mówi: „Stój! Milcz! Giń!”.

Woda, Chleb, Urzędnik

<sup>97</sup>pechoważy — dziś popr.: pechowy. [przypis edytorski]

WODA to wszystko, co mówi: „Idź! Drż! Płacz! Czyn!”.

Czyś kiedy nad tym pomyślał... ty niewolniku mego brata... ty...

Nikt tak od czasów Amenhotepa Czwartego nie przemawiał do urzędnika siódmej rangi na urlopie.

Komisarz oprzytomniał. Wstał.

W pierwszym zapędzie chciał się rzucić na bezczelnika, ale wstrzymał się, uczyniwszy krok jeden. Splunął pogardliwie na ziemię i zaczął zabierać się do domu. Mieszkał sielsko, anielsko w karczmie pobliskiej, gdzie Jasiak pijał wódkę i insze trunki.

Ale haczyk zaplątał się we wiklinę, sznurek mokry zaguził się niemożliwie.

Chcąc go wydobyć, musiał się położyć na brzegu i manipulować wychylony ponad wodę.

Dotykał jej niemal twarzą.

Męczył się, potniał. Czuł zawrót głowy.

— Tak! — powiedziała, musnąwszy go falą. — Teraz ci jeszcze coś powiem.

I zaczęła szumieć w ten sposób, że uczepiony rękami do sznurka znieruchomiał.

Uległ ponownie hipnozie ruchu jednostajnego, bezlitosnego...

— Ja i on jesteśmy jednej krwi. I tęsknimy za sobą, jak brat za siostrą, siostra za bratem. Cóż dziwnego... Żyjemy ciągle razem, a ciągle daleko... On mówi ciągle: „Stój! Milcz! Giń!”. I niewolnicy jego stoją... stoją w miejscu, jak zakłęci i milczą, i giną... A moi idą, mijają, przepadają gdzieś w dali śmierci i... zostają żywi na wieki... I nie wiedzą, że zostali. A tamci nie wiedzą, że zginęli.

Rozumiesz?

Nie odpowiadał.

— A ludzie... którym ustały kontrasty CHLEBA i WODY... ludzie tacy, którzy żywią się swym ruchem... swą falą... swoim przeznaczeniem... ludzie wolni, sprzymierzeni z WODĄ i sprzymierzeni z CHLEBEM... ach, tacy ludzie... Ale czy ty mnie rozumiesz?

Nie odpowiadał.

— Chłop... o nie! Ty... wy... nigdy, nigdy!

Mówiła teraz chyba do siebie, chyba do brata, chyba do wiatru czy chmur nim pędzonych, krewnych sobie na niebie. Szumiała ciszej, jakby... sobie samej.

A spod fali zaczęło coś śpiewać: Oooooj rzeko, rzeko, rzeko... Wzięłaś mnie daleko...

— Cicho bądź! — powiedziała temu niewidzialnemu. I znowu szemrała do siebie: — I któż rzuci CHLEB do WODY!... komu chleb wodą się stanie... kto dokona przemiany... największej z przemian ziemi?

— Ooooj! Wodo, wodo, wodo... Zabrałaś mnie młooodo! — zajękło<sup>98</sup> śpiewem.

Rzuciła się niecierpliwie i odrzekła:

— Nie zabrałam cię dziecko... Leżysz niedalecko!

— Pod progiem leżę chaty... Nie widzą mnie braty! — wypominał głos żałośliwy.

— No... cichaj chwilkę jeszcze... Zaraz cię popieszczę... — uspokajała go.

— Eeej! Trzeba było trzeba.

W służbie pana CHLEBA... — narzekało coś.

— Spróbować chciałeś przecie tęsknoty na świecie...

Gdyś widział, że nurt toczy błyskały ci oczy.

— Eeej zażyłaś sposobu... Ściągnęłaś do grobu... — odrzekł głos niecierpliwie.

Na skrzypcach zagrać chciałeś co we mnie słyszałeś — tłumaczyła woda. Zamyśliła się, ucichła. Czyż chciała ściągać do grobu?

Ale wspomniawszy sobie swoje przykazanie, rzekła:

— Co ujrzę, jaką duszę, każdą wołać muszę...

A chcąc pocieszyć biedne, umarłe dziecko, co nie miało sił iść w dal, powiedziała jeszcze pieszczotliwie:

— Wzruszona żalami twemi  
Daję ojcom ziemi...  
Za każdy jęk malutki  
Przyrzucę im grudki...

<sup>98</sup>zająkło — dziś popr.: zajęczalo. [przypis edytorski]

Będą szerzej orali,  
Ciebie wspominali...

Dziecko ucichło.

Woda osmutniała<sup>99</sup> sama od dawanego pocieszenia.

Tak bywa... oj tak bywa! I znowu spytał malec:

— A czy wiedzą ojcowie

Żeś ty ze mną w znowie?

A czy wie grunt i chata,

Za co ta zapłata?

I nagle zawiedło<sup>100</sup> krzyk głośny, tętniący daleko:

— Kochani!... Czy wy wicie,

Że to moje życie!...

\*

— Jesteś dziś rozmarzony? Co? — pytała WODA.

— Jak zawsze... jak zawsze! — wtrącił CHLEB i zaśmiał się.

Młody, osiemnastoletni student leżał na skrawku trawy nad wodą. Nad nim kołysała się wiecha pszenicy.

Nie mówił nic.

Zapatrzony w to, co wszyscy zwą „rzeczami nieistniejącymi”, milczał.

A tymczasem te rzeczy wywoływały w nim ustawiczny, gorący, niemy krzyk:

— Cuda! Cuda! Cuda!

To nie świat mu się tak podobał.

— Cóż świat? Phii! To zachwycanie się... a dźbełkiem... a trawką... a mrówką... ha, ha, ha... My jesteśmy dzieci wieku, dzieci wieku. Zresztą to jest tam w książce, w literaturze... pełno tego. Teraz zaś moścudzieju: są wakacje! Rozumiesz pan? Ha? — A w środku wrzeszczało ciągle, a ciągle:

— Cuda! Cuda! Cuda!

Takie już głupie wrzeszczenie.

A tymczasem CHLEB zapytał przymilnie:

— Trza by na podwieczorek! Nie głodno osobie?

— Ha!... A co komu do tego! — krzyknął ze złością. — Zresztą... — dodał całkiem łagodnie i jakby tłumacząc się — Zresztą wcale mi się nie chce iść.

— Aha! — rzekł CHLEB — Przepraszam, nie wiedziałem, że kolega nie ma w domu podwieczorku...

— Mam! Do krośset tysięcy! Mam! Nie jestem proletariusz. Kto to powiedział?

Usiadł. Rozejrzał się dokoła, ale nie było nikogo.

— Facecje<sup>101</sup>! — rzekł do siebie. — Ktoś do mnie gada ciągle... a tu nic!

— Prawda? Nie ma nikogo! — rzekł znów CHLEB.

— Jestem do tego przyzwyczajony! — odparł z powagą i naciskiem i położył się znowu.

— Przyzwyczajony? No proszę — rzekł CHLEB.

— Tak. Idzie tylko o to, by nikt nie słyszał. Nasz bowiem wiek jest trzeźwy i jasny... i tak dalej... proszę popatrzeć do jakiego dzieła.

— A więc — nastawał CHLEB — pozwolę sobie zaprezentować się. Jestem CHLEB, król świata trzeźwego i jasnego, a przeto król tu niżej leżącego osobnika, którym pan jesteś.

— Dobrze kromko, dobrze. A ja jestem... Ja!

— To genialne. Ale to słyszałem tysiące razy. Tak mówi nawet ten, który nie jest wcale: Ja!

<sup>99</sup>osmutnieć — zasmucić się. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>zawiedło (gw.) — zawiodło; od: zawodzić. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>facecja (daw.) — żart, wymysł, kaprys. [przypis edytorski]

— Dobrze. Czerstwiej pan dalej, panie CHLEBIE.  
— Słyszysz no siostrzo? — rzekł CHLEB do WODY — Jakoś mu nie imponują.  
— Może z niego coś być! — odparła woda.  
— Może być! — powiedział student. — Kolega Fajferek zawsze mówi: „Był czas, kiedy i mój papa był człowiekiem”.  
— Pan jesteś niezmiernie, ale to niezmiernie inteligentny! — odciął się CHLEB.  
— Być może! Teraz każdy cham jest inteligentny, nawet CHLEB, w postaci zdeptanej przez świnię pszenicy, sterczący nad kałużą.  
— Czyli że pan jesteś cham!  
— Mniejszy niż pan! Zapewniam!  
— Ależ to jest kłótnia?  
— Nie! To są nudy i brednie!  
— Poddawali się i tacy! — krzyknął mu nad uchem.  
— Tak jest, ale drwili przy tym.

CHLEB umilkł.

A WODA powiedziała:

— Tak! Tak! Potęga jego leży w czci. Ona robi niewolników. Buntownik nie jest niewolnikiem, jest tylko jeńcem.

Student rzekł WODZIE:

— Ty jesteś jego wrogiem!  
— Nie. Ja jestem jego siostrą... Kocham go.  
— Jakże to?  
— A on ciebie kocha... Kocha cię.  
— Nie rozumiem.  
— Tylko trzeba umieć jeść CHLEB.  
— Nie rozumiem.  
— Wiesz, trzeba przemienić CHLEB w Chleb żywota...  
— Bywasz czasem w kościele?  
— Nie, bo ja tego nie rozumiem...  
— A rozumiesz, czemu w tobie woła: Cuda! Cuda! Cuda!  
— I to wiesz?

Wiem. Największe rzeczy są NIEPOZNAWALNE.

— *Circulus vitiosus*<sup>102</sup>.

— Tak to nazywają ludzie.

— Naturalnie. Bo skądże wiedzieć mogę, czy są największe, skoro są niepoznawalne.

— Na to nie ma odpowiedzi, bo mnie nie idzie o twój rozum, ja nie będę cię pytała przy maturze.

— Oczywiście. I co dalej.

— Rzuć CHLEB do WODY.

— Aaa!

— CHLEB mówi: „Stój! Milcz! Giń!”. WODA mówi: „Idź! Drż! Płacz! Czyń!”. Czyś kiedy nad tym pomyślał? On i ja jesteśmy jednej krwi. I tęsknimy za sobą jak brat za siostrą, siostra za bratem! Cóż dziwnego. Żyjemy ciągle razem, a ciągle daleko! Dziela nas ludzie! W duszach ludzkich zmieścić się nie możemy razem. On mówi ciągle: „Stój! Milcz! Giń!” i niewolnicy jego stoją w miejscu, jak zakłęci, milczą i giną. A moi idą, mijają, przepadają gdzieś w dali smutnej śmierci i... zostają żywi na wieki... Nie wiedzą, że zostali. A tamci nie wiedzą, że już ich nie ma. Rzuć przeto CHLEB do WODY! Żyw się swoim ruchem i swoją falą... śpiesz się... śpiesz! Już czas, najwyższy czas dokonać tej WIELKIEJ PRZEMIANY, największej z przemian ziemi.

Buntownik, Niewola

Chleb, Woda, Kondycja  
ludzka, Przemiana

<sup>102</sup>*circulus vitiosus* — błędne koło; rodzaj błędu logicznego w rozumowaniu. [przypis edytorski]



# Hotel pod ideałem

Z wysiłkiem niezmiernym, widocznie ostatkiem sił, wdzierał się pielgrzym po głazach ostrych, uślizgujących się pod zmęczoną stopą, na niebosięzną górę, największą spośród gór...

Wędrował długo... Mówiła o tym szata pokutna, postrzępiona, zwisająca w dziwacznych frędzlach u dołu, kij też mówił sękaty, pielgrzymi, o kolcu startym od walki z twardą skałą, także twarz brunatna od opalenia i ręce drżące nerwowo.

Teraz stanął... oddech mu zapało.

Zapatrzył się na opar mgieł tulących szczyt.

Usta szeptały modlitwę.... której słów nie ma w żadnej, żadnej książce.

Serce jego mówiło:

— Ty... Ty Nienazwalny...

Ból go oprzytomnił... Słońce chyliło się do zachodu, nogi się pod nim uginały... ciało osuwało się na ziemię... Klęknął. Potem po krótkiej walce, mimo woli legł, niezdolny się ruszyć.

Patrzył wokół.

Jakby się zapadł w ogromne jakieś głębie, świat znikł kędyś... przepadł...

Pod stopami pielgrzyma klębiły się chmury białe, a tylko czasem, gdy wiatr zadął silniejszy, zjawiała się za chmurami skryta, szafirowa dal, w której domyślać się można było gór, rzek, miast i wsi.

Daleko to gdzieś tkwiło wszystko... tak daleko, że zdało się, można było, raz tu doszedłszy... wcale nie brać rzeczy onych w rachubę...

Niedostrzegalnymi stały się troski ziemi, jej radości, przesady, marzenia... ból... tęsknota nawet.

\*

Pielgrzym poszukał na piersiach manierki z wodą.

Gorąca była... niezdolna, pragnienia nie gasiła, goryczy jeno w ustach przymnażając.

Połknął ją ze wstrętem.

Wiatr odsłonił właśnie wielką połąć błękitnej dali.

Zarysowało się na tym tle jaśniejszą plamą morze, sino wystąpiły góry... ale i mowy być nie mogło, by dojrzec coś więcej.

Szczegóły znikły, potonęły jak łódki maleńkie na ogromnym oceanie, a tylko bardzo wprawne oczy mogły śledzić upłaz samej góry, aż do jej podstaw.

Dla wielu, wielu, nieobdarzonych orlim wzrokiem, mimo że poranione stopy wymownie o tym świadczyły, wydać się musiało, że nic wyżu onego z ziemią nie łączy, że unosi się on w przestworzu, niby jej satelita, bliski jeno dlatego, iż mu wiekuiste prawa ciążyły do globu większego...

Pielgrzym patrzył.

Oddychał teraz swobodniej, a głaz jakiś litościwy osłonił mu przed słońcem głowę.

Wszystko zdawało się szeptać:

Spocznij! Spocznij!

Choć chłodniej już było, gorączkę czuł jakąś wewnętrzną... piekło go w piersiach.

A nade wszystko głośniejsze wołało udęczone ciało:

— Spocznij! Spocznij!

I powieki się spuściły na oczy.

Podniósł je jeszcze raz przemocą.

Chciał się modlić... ale miast tego, spojrzął jeno w stronę, skąd przyszedł.

Błogosławieństwo wyszeptał.

I porwał go sen w objęcia.

Widział się niby znów młodzieńcem na ławie szkolnej.

Na wysokiej katedrze siedział chudy *doctor philosophiae* z ogromnymi uszami, które odstawały od głowy. Wylizczał na palcach punkty jakiegoś dowodu...

— Po pierwsze.....no cóż... ha?

Nikt jakoś nie wiedział, a profesor gniewał się bardzo.

W uszach tętniło:

— Po pierwsze... po drugie... po trzecie...

W powietrzu gdzieś bardzo wysoko chwiały się palce profesora, sterczały jego niezmiernie uszyska.

Dziwny to był, męczący sen... jakby kara za coś... tu... wśród drogi na szczyty...?

Zbudził się o cudnym ranku i nie mógł zrazu poznać, gdzie jest. Całkiem już znikła wszelka łączność ze ziemią... chmury oddzieliły dwa te królestwa, legły morzem... zaprzeczyły oczom wszystkiego, co nie w górze... Tam zaś straszliwie było dziko, choć i niewymownie pięknie zarazem.

Wichry wyżynne tak spolerowały skałę, że powyż<sup>103</sup> miejsca, gdzie stał pielgrzym, chyba na kolanach już iść trzeba było... wyżej jeszcze piersią musiałeś przyłgnąć do ziemi i przecie się wzwyż rozpostartymi ramionami<sup>104</sup>.

Z wolna chmury się rozstąpiły. Pielgrzym stał i spoglądał na przecudne widowisko. Był tu jakby uniesiony na skrzydłach anielskich... stąd widział... mógł widzieć piękno ziemi.

Mieszczące się w szczegółach.... fałsz, głupota.... dysonanse wszelkie, znikły. Z tych dali nie było widać mącących harmonię zbroceń, tylko cudny.... wiekuiście wierny sobie rytm praw kierowników, podobny rytmowi fal morza...

Stąd widziałeś, jako najwyższa wolność jest zarazem nieuchronną koniecznością, jako najszałeński rzut, najsilniejszy rozpęd woli człowieka jest konieczności tej jeno koniecznym drgnięciem, podobnie jak najwyższy szczyt Himalajów składową jeno częścią powierzchni ziemi, zgoła jej kulistego kształtu nienaruszającą.

Stał zapatrzony w cudny widok, a wargi jego szeptały:

— Dzięki Ci o NIENAZWALNY!

Zachód się już czerwienił, gdy schyliwszy się po porzucony kij, spostrzegł w załomie skały dziwną postać.

Bardzo podobny do oglądanego we śnie nauczyciela z lat chłopięcych, siedział tam w kucki człeczek czarno ubrany, z olbrzymią głową, wielkimi rękami oplótszy kolana. Wpatrywał się bacznie w pielgrzyma, który zdziwiony, cofał się mimo woli, zasłaniając rękami.

— Ach! Jakżeśmy wysoko! — ozwał się natręt: — Jakże wysoko! Hi... hi... hi... hi... hi...; ludzie całkiem już dojść nie mogą... i dlatego z ziemi przynoszę wieść... okrzyknęli cię wielkim... rozpisali konkurs na kantatę... zarezerwowali w Panteonie miejsce... Przysięgam! Nie widać stąd, ale... widziałem na własne oczy... no i cóż teraz?... Ha!... Zdaje mi się, żeś dość się narozmyślał nad nicością ludzkich głupstw... Jakiż stąd wniosek praktyczny? Szaloną podróż może przedsięwziąć człek najmądrzejszy, ale z szaleństwa nie wyciągnąć korzyści... to potrafi głupiec jeno.

— Popatrz no w górę... Wyżej po prostu żadna istota ludzka dostać się nie może... nie jest w stanie... przy tym twe zdrowie...

— Idź precz! Idź precz! — krzyknął przerażony pielgrzym.

— Słyszałem coś podobnego w dawnych czasach... bardzo dawnych... Ale ty nie posiadasz siły tamtego... o nie!... Dlatego usiądź tu oto... pogadamy rozsądnie. Nikt przecież nie widzi, nie słyszy... Tak... wysoko zaszliśmy... jesteśmy już ponad sądem ludzkim... powyżej ich opinii... hi... hi... hi... hi... hi... Ale do rzeczy! Owa świętość... tam na szczycie... ha! Wiesz sam dobrze, że świętość owa to legenda, piękna, wspaniała legenda! Nie sposób się dostać na szczyt, a nawet dostawszy się, nie znalazłbyś oczywiście nic! Więc nie ma się po co spinać. Ale wykorzystaj sytuację... to rzecz zgoła inna...

— Idź precz! — wykrzyknął raz jeszcze pielgrzym.

— Powtarzasz się... a pamiętaj... masz słuchacza... to niebezpiecznie...

Oszolomiony tą paplaniną, ulegając jakby jakiemuś wnętrznemu<sup>105</sup> przymusowi, pielgrzym usiadł, przerażone oczy utkwivszy w dziwacznej stworze.

<sup>103</sup>powyż — dziś: powyżej. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>rozpostartymi ramionami — daw. N.lm; dziś: rozpostartymi ramionami. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>wnętrzny — dziś: wewnętrzny. [przypis edytorski]

— Doskonale! — wykrzyknął prześladowca. — Zaczynasz, widzę, zachowywać się, jak przystało na porządnego człowieka. Otóż najsamprzód dowiedz się, że jestem ci życzliwy. Wbrew temu, co mówią o mnie tam... na ziemi... pasjami kocham ludzi... oczywiście osobniki śmiałe, jak ty, pociągają mnie przede wszystkim. Podczas gdyś trwał na pobożnych, czy jak właściwiej miemam, niepochlebnych dla swych ziomków rozmyślniach... uplanowałem dla ciebie coś... ale to mówię ci... ..coś bajecznego! Posiadam ogromny dar orientowania się... toteż zaraz spostrzegłem, że można by zrobić świetny interes. Przystępuję do rzeczy. Wyobraź sobie ogromne towarzystwo akcyjne... kapitał wynosi... powiedzmy dwa miliony... Ty nie wpłacając nic... w zamian za tajemnicę... za pomysł... dostajesz tyle, a tyle akcji... no... i... powiedzmy... posadę dyrektora... co? Podobna ci się to?... Widzisz... nieźle to nawet brzmi... Pewnieś ciekaw, co dalej? Całkiem słusznie. Otóż byleś, myślę, w Szwajcarii... i wiesz, że najjałowsza góra może przynieść zyski... stokroć nawet większe jak potrójnej wielkości łąn najpiękniejszej pszenicy.

No, chyba mnie rozumiesz? Co tam długo gadać... trafia się rzecz nadzwyczajna... pomogę ci... zbuduj tu hotel.

Pielgrzym zerwał się ze ziemi. Porwał swój kij sękaty i machając nim, wrzasnął głosem wielkim:

— *Apage satanas*<sup>106</sup>! *Apage satanas*! *Apage*...

Ale czarnej postaci już nie było.

Ogromne, kilkunastopiętrowe gmachy „Hotelu pod ideałem” ledwo pomieścić mogły pielgrzymów i kuracjuszków, ledwo docisnąć się można było do sal gry, stołów biesiadnych i przystani, skąd łodzie motorowe ruszały w drogę okrężną po mistycznym jeziorze Ekstazy. Z dnia na dzień, rzec można, powstawały też nowe oddziały, tak, iż groziło, że zabraknie dla nich liter alfabetu. Afisze pokryły mury wszystkich dworców kolejowych świata całego, akcji nie można było dostać za podwójną nawet cenę, a o miejsca najdroższe dobijano się formalnie.

Pielgrzymka modną się stała, tylko odbywano ją teraz w tak ponętny sposób, że bardzo jeno niewiele pozostało przy dawnej lokomocji. Dziwacy ci, wytyczyli sobie inną rutę<sup>107</sup>, z dala od hotelowego liftu<sup>108</sup> elektrycznego, ale widoczne było, że uczynili to jeno, by się oryginalniejszym wydać w oczach dam, bo raz po raz któryś się zjawiał w hotelu.

Doszło do tego, że dla wygody stron obu, ponad stromą „Ścieżką Pokutników” wzniesiono rodzaj werandy, skąd się idącym przyglądały damy. Jakiś Anglik zaprowadził tu totalizatora, ale dzienniki podniosły wrzask... no... i musiano go skasować. Zakładano się więc między sobą, a nie zdaje mi się, by „Pokutnicy” widzieli w tym coś złego.

Rojno było w hotelu od pierwszych zaraz dni, afisz dotrzymywał, co obiecywał, chwalał sobie tedy pobyt i pisywano co dnia masy kart z widokami. Ach tak... to jedno chybiło trochę... widoków nie było prawie żadnych skutkiem owych chmur pod nogami... Ale to nic... nie każdy może przecież sobie pozwolić na luksus pobytu w tak modnej instytucji, więc można sobie wobec znajomych radzić widokami... fantazyjnymi... od czegoż malarze hotelowi...

Skrajne organy lewicowe usiłowały z samego zaraz początku popsuć kurs „Ideałek”, zniechęcić publiczność do kupowania tych walorów... pewnego zaś agenta pewien redaktor zrzucił z pewnych schodów, przy czym pewne, a znaczne pieniądze rozsypały się... itd. No, ale nie wszyscy redaktorowie<sup>109</sup> byli tak nieokrzesani.

Pisma wymienionego gatunku wiele szkody nie robiły, jako ich klienci hotelu nie czytywali wcale. Nie przeszkadzało im to jednak pisać dalej w tym guście:

Wieprz kapitału pasie się ciągle na świętych stokach, pomyje oblewają dalej głazy zroszone krwią pokutników.

<sup>106</sup>*apage satanas* (łac. z gr.) — idź precz, szatanie; daw. formuła egzorcystyczna, przen. odmowa przyjęcia kuszącej propozycji. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*ruta* — tu: trasa; marszruta. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*lift* — winda. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*redaktorowie* — dziś: redaktorzy. [przypis edytorski]

Inaczej myślał dyrektor zakładu, zarazem główny promotor i twórca pomysłu samego... podobnie jak on myśleli wszyscy, a jeśli byli zrazu innego zdania, to wygody, jakich zażywali w hotelu, troskliwa czuła opieka, rozpogadzały ich ponure myśli.

Pokoje tańsze mieściły się w gmachu wschodnim poczynszy od suterenu, aż po czternaste piętro. Było ich jednak niewiele i temu, jak sądzą wszyscy dotąd, przypisać trzeba burzę, która wstrząsnęła dnia pewnego cichym, rajskim życiem kuracjuszków. Z tego to wielkiego salonu, oddziału P, około jedenastej przed południem rozbrzmiały fanfary rewolucji, o której wieści zachwiały giełdami całej Europy, powodując nagłą bessę „Idealek”, zawikłania finansowe, bankructwa wielu starych firm, kilkanaście samobójstw nawet.

Dyrektor, wróciwszy z wycieczki łodzią motorową po jeziorze Ekstazy, którą to wycieczkę urządzono dla pewnego bawiącego tu *incognito* króla... dyrektor, mówię, ujrzał w rzeczonym salonie dziwne zbiegowisko.

Pośrodku tłumu stał na stole człowiek ubrany w podartą, zniszczoną, białą szatę pielgrzymią, ową wstrętną rzecz, którą po pierwszych zaraz dniach pobytu w hotelu, zrzucać byli nawykli „Oblaskawieńcy”.

W rękach trzymał wzniesiony wysoko, naiwny kij wędrowny z kolcem na końcu. Wołał głosem wielkim, oczy jego jarzyły się fosforycznym blaskiem, a zwichrzone włosy w dziwacznych czubach piętrzyły się nad czołem.

Dokoła niego był tłok niemały. Pierwszy rząd stanowiły kobiety z najdroższych oddziałów... drugi i dalsze... służące hotelowe... potem stali ludzie wszelakich kondycji, a wreszcie... o nieba... gotowi jakby do drogi... do walki, zbrojni „Oblaskawieńcy”, ubierani w buntownicze szaty pielgrzymie.

Blady, na pół przytomny dyrektor spytał napotkanego płatniczego:

— Cóż to za jeden?

— Obcy. Dopiero co przybył. Nie było pokoju... i to go widać do takiej doprowadziło pasji.

— Durnie! Trzeba było umieścić gdziekolwiek!

— A gdzież? Zresztą któż mógł przeczuć?

— Idioty! Przeklęte idioty! — wrzasnął dyrektor. — Niechże was wszyscy diabli...

Począł się przepychać do mówcy, wołając:

— Jaśnie Wielmożny Panie!... Jest apartament... Są nawet dwa do wyboru!

— Cicho! Cicho! Milcz! Precz stąd! — rozległo się.

Tłum ogarnęła gorączka, a mówca grzmiał dalej, szalał jak burza wiosenna.

— Trupią jest, mówię wam, dusza człowieka czasów naszych... zgniła jest! Dziś zbudowany ołtarz z zakrzepłych w brylantowe głązy łez rozpaczy... w brudną jutro zamieni się kałużę. Łkajmy, że błotem jest dusza nasza... łkajmy, że szyderczym szaleństwem jest tęsknota nasza, że świętości imienia pomyśleć nam nie wolno... płaczmy!

— Pozachmurzały nam się szczyty wszystkie, bo mgły lepkie obiegly serca, iż nie biją jak dawniej.

— Nie do WIELKIEGO SZCZYTU, nie do świątyni złotej, gdzie ŚWIĘTE ŚWIĘTYCH... wyciągają się ręce nasze... ale do chimery zmysłów, co kształt jeno NAJWYŻSZEGO bluźnierczo przybrałszy, wabi mirażem zbrodniczym.

— Widome się stały zbrodnie nasze, przeszły pożądań i skrywanych morderstw formy i oto panoszą się teraz bezkarnie, połyskując złotem i adamaszkiem.

— Dziwię się, że ogień dotąd nie pożarł tych murów, jak mury Sodomy pożarł i skruszył na proch.

— Dziwię się, że oto stoimy wszyscy w tym salonie, którego fundamenty depcą zbrodniczo świętą skałę, której czoło jeno i usta konającego z mąk wędrowniaki pielgrzymia dotykały od wieków.

— Dziwię się, że jesteśmy tu wszyscy tak liczni, a tak niepotrzebni, gdy połowie należy się znajdować w cyrku albo w menażerii.

— Dziwię się, że widzę ot tu tego człowieka, zwanego dyrektorem, gdy powinien on być ciałem w podziemnym lochu więziennym, a duszą na mękach wstydu i wyrzutów sumienia.

— Widziałem u progów miejsca NAJWYŻSZEGO trędowatych i obłąkanych, a byli oni, gdzie ich BÓG postawił... ale zaprawdę... połowę z was moi bracia wwiódł tu szatan po to jeno, byście wrychle<sup>110</sup> spadli w bezdeń sromoty... za to, iżecie się ośmielili profanować nieznane, święte.

— Duszy mi żal człowieka czasów moich, nie świętej góry.

— Czyż może człowiek ubliżyć BOGU?

— Myśl taka sama śmieszna jest i głupia.

— Duszy mi żal człowieka moich czasów, bo ją kocham!

— Kochani ją i chcę, by wielką była!

— Zwiększcie lot dusz waszych!

— Skrzydła rozpostrzyjcie na wichry... wołam!

— Nie bójcie się szczytów skalnych... aniołami być niech się wam śni! Potężne, wielkie sny o mocy chcę, byście śnili!

— A czasu jawy, pręście ramiona, sięgajcie JUTRA., sięgajcie jeno ciągle... ciągle... a piórami ręce porosną długimi, od wiania tych dalekich, tych wyżynnych wichrów.

— Orłowie tak się skrzydeł doczekali i aniołowie także.

— Opuśćmy ziemię! Pierwszy to krok do nieba! I w mocy leży człowieka najslabszego! Opuśćmy ziemię!

— Opuśćmy ziemię! — zawrzasnął tłum.

— Tak. Opuśćmy ziemię z jej nędzą, jej małością małpią, skłonnością robienia błazństwami wszystkiego, co wielkie, święte, godne szacunku i czci. Obalmy przybytki hańby, powalmy Bastylie głupoty i żądź podziemnych, skrytych, bo podłych. Niech przepadną!

— Niech przepadną! — zahuczało wokoło.

— W gruzach niech legnie Sodoma!

— W gruzach niech legnie!

— Inaczej nie sięgniemy skrzydłami szczytu!

— Nie sięgniemy!

— BÓG się nam zaćmi!

— Aaaaach!

— Poginiemy marnie i potomność nie znajdzie na ziemi, ani niebie imion naszych, ani dzieł naszych.

— Aaaaach!

— Precz z przybytkiem zbrodni!

— Niech przepada!!!

Tłum wrzał, kołysał się jak lawa dyszącego wybuchem wulkanu. Na stół wyskoczył drugi mówca.

— Oto człowiek przez BOGA posłany — wrzeszczał. — Patrzcie na jego twarz! Czyż nie mówi o nim Pismo:

Powstanie pośród was prorok, a twarz jego jako księżyc czerwony od wichru jutra! A twarz jego miedziana od zórz dni, co idą... Mówię wam zaprawdę... Idźcie, gdziekolwiek powiedzie...!

— Nawet na szczyt! Nawet na śmierć! — wołał pierwszy głosiciel nowej, mocno apokryficznej ewangelii.

— Nawet na śmierć! — ryczał tłum.

— Do świątyni! Do świątyni!

— BÓG się nam zaćmi!

— Obalmy przybytek hańby.

— Niech przepada!

Wyznawca proroka, uniesiony szałem, cytujący fałszywie, choć z wiarą, wyrwał komuś stojącemu w pobliżu gruby, sękaty kij pielgrzymi, zamachnął się potężnie i cisnął, jakby maczugą w wielkie, weneckie lustro, wiszące na głównej ścianie salonu.

Rozprysnęło się na tysiąc kawałków.

Wulkan wybuchnął. Zawirowało, huk się uczynił ogromny, a na przedzie, siejąc zniszczenie, pijany entuzjazmem szedł wyznawca.

<sup>110</sup>wrychle — rychło, szybko. [przypis edytorski]

Daremnie sam mistrz wyciągał ręce, daremnie wołał.

— Niech przepada Sodoma! — wył tłum, nieuznający przenośni, a w powietrzu wirowały stoliki marmurowe, krzesła, obrazy... tysiąc rąk darło, tysiąc gardel wyło:

— Niech przepada! Niech przepada!

Komunikacja z dołem od pierwszej zaraz chwili ustała, snadź<sup>111</sup> przerwano liny *liftu*, przecięto druty telefonów. Nie podobnym było dowołać się telegrafem Marconiego posterunku żandarmerii. A może dobrze słyszano tam, na dole, a tylko bano się... albo też jakiś pomysłowy buntownik puszczał fałszywe depesze.

Cóż mówić o chaosie, cóż o stratach! Rozszalały, w trzech czwartych „wykwintny” tłum, hulał po całym nieszczęsnym hotelu, demolując, pałac, stając dęba...

Dyrektorowi los nastreczył wygodne względnie schronisko. Wpadł on biedak, nie myśląc, co czyni, do szafy z paramentami kościelnymi, w kaplicy oddziału C, gdzie znalazły się też dwie flaszki mszalnego wina.

Dzięki temu nie umarł z głodu i strachu i doczekał się ukojenia umysłów.

Nastąpiło ono po odejściu przywódcy buntowników na czele garstki pielgrzymów, którzy pod wodzą „Wyznawcy”, utworzywszy legion „rycerzy czystego serca”, poszli ku szczytowi.

Wylażł dnia onego dyrektor i zasiadł sądzić winnych, przyjmować potem do łask na powrót... a jednocześnie sam był sądzony przez radę nadzorczą... besztany... skazywany... no i wreszcie na powrót do łask przyjęty... gdy kilka wpływowych dzienników zamieściło wyjaśnienie tej treści, iż wszyscy nabrali przekonania, że rewolucja pałacowa była dziełem wariata albo „przewrotowca”.

Powiększono tylko liczbę tańszych pokojów, dobudowano dwa nowe pawilony R i S, aby zadosyc<sup>112</sup> uczynić „duchowi czasu”, który się pono tego gwałtownie domagał. Bardzo słusznie. Z przeciwności człowiek rozsądny powinien wyciągać naukę.

---

Dzień był szary, mglisty, gęste chmury zlewały na zboczach góry, nie było nic widać i tylko paru amatorów robiło zdjęcia, reszta gości pochowała się po pokojach.

Dyrektor, kwaśny, komponował właśnie jeden z wielu, wielu już wysłanych po katastrofie listów, gdy mu lokaj dyżurny zameldował:

— Pątnik. Prosi o audiencję natychmiast.

— Skąd przyszedł? Z dołu czy z góry? — spytał.

— Z góry.

— Hm! Przypadek groźniejszy. Dobrze. Herbata... koniak... pokój oddział A... Prosić do mnie. Tutaj... podasz.

Lokaj znikł. Po chwili w progu gabinetu zjawił się człowiek szary jakiś, jak mgła na dworze, ponury, o zaciśniętych wargach, ubrany w ongiś białą, pielgrzymią suknię.

Dyrektor podbiegł na powitanie.

— Aaaaaa, jakże mi miło! — począł od razu. — Pan... pan... doprawdy, że zdaje mi się... istotnie... czyżbym się mylił... z oddziału „rycerzy czystego serca”... wszak nie inaczej. Oooo znajdzie łaskawy pan kolegów... kilku... kilku. Właśnie dopiero wczoraj... Jakże pożałowania godne było całe to niemiłe zajście... Ale dzięki Bogu... minęło. Co... wszak pokoiki? Już rozporządziłem. Sądzę, że oddziałek A, na początek... dla odpocznienia po trudach, nabrania sił... Może by też kąpiel słoneczną?

— Dziękuję panu! Ale czy mnie pan poznajesz? Nie zdaje mi się... Jestem przywódcą legionu... byłego legionu...

Dyrektor zerwał się na równe nogi.

Przybyły chwycił go za rękę, którą już wyciągnął w stronę telefonu.

— Moment jeden — zawołał. — Jedna chwila! Przychodzę w interesie!... Posłuchaj pan, a potem zrobisz, co zechcesz...

— Co za bezczelność! Co za straszna bezczelność! — bełkotał przerażony i ogłupiały jednocześnie dyrektor — Toż to pan rozbiłeś... pan pierwszy... wielkie... wielkie lustro weneckie... Pan jesteście... rozbójnik! Pan... pan... ja.. panu... ja... — dławił się, a ręka szukała wciąż aparatu.

---

<sup>111</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>zadosyc — dziś: zadość. [przypis edytorski]

— Na miłość boską! Uspokój się pan, panie dyrektorze! — prosił przybyły. — Moment tylko! Pytanie... Oczywiście... przez to samo, że tu jestem, potępiam... żałuję wszystkiego, co miało miejsce. Moja obecność tu to rodzaj ekspiacji... a rad bym, by także była zadośćuczynieniem dla pana... któryś tyle... tyle... Posłuchaj pan. Potępiam jak najsurowiej tego samozwańczego proroka, który nas wszystkich... wszystkich... tak obalamucił... *ça va sans dire*<sup>113</sup>... A teraz do rzeczy:

— Cóż się z nim stało? — spytał, oprzytomniawszy trochę, dyrektor.

— Bo ja też wiem! Zostawił nas, po bezskutecznym namawianiu do dalszej wycieczki na szczyt nieistniejący... no... i poszedł sobie! Niepodobna, by żył dotąd...

— Dzięki Bogu! — odsapnął dyrektor. — Odprawimy jutro piętnaście mszy dziękczynnych... za pomyślność naszego zakładu... uff... To dobrze!

— Przystępuję do rzeczy. Otóż, walęszając się samotny po górze zaszedłem do przedniej roztoki utworzonej przez odpływy jeziora Ekstazy. Nie mam dość słów, by opisać to miejsce. W tych oto, naprędce porobionych notatkach znajdziesz pan szczegóły, teraz zwrócę tylko na to i owo uwagę pańską. Wszak nie zaprzeczy pan, że „Hotel pod Ideałem” ma te i owe braki.

— Cóż znowu! Mój panie! Taką to skrucha?

— Momencik! Zamierzam coś zgoła innego jak wówczas... Otóż jedną z głównych rzeczy, na którą się już nieraz uskarżały dzienniki, jest nadmiar mgieł i chmur, tak że o widoku stąd właściwie nie ma i mowy. Druga rzecz to wiatry wyżynne. Otóż w mojej roztoce... Ach... i po cóż mówić... Sądzę, że zechcesz pan przestudiować te oto notatki.

Wyjął plik papierów.

— Pobieźnie to, jak pan widzi naszkicowane, ale zawsze daje o rzeczy niejakie pojęcie. Proszę, spojrzysz pan.

— Wszystko to dobrze — rzekł uspokojony już dyrektor. — Nie pojmuję tylko, po co mi pan to wszystko mówisz? Cóż pan zamierzasz robić w tej roztoce?

— Co? Ależ oczywiście hotel!

— Ho... ho... pan?

— My... my... rozumiesz pan drogi dyrektorze... my! Mam już nazwę. Tak. Nasz hotel będzie się zwał:

HOTEL CZYSTEGO SERCA

Dyrektor otworzył szeroko oczy. Patrzył na swego gościa zrazu, jakby go podejrzewał o niecne jakieś, na nowych apokryfach oparte zamiary, ale po chwili, na widok tej dobrodusznej, pełnej prostoty twarzy, namyślił się inaczej i z lekkim westchnieniem pochylił się nad rozłożonymi na stole notatkami.

W tej chwili wszedł lokaj. Niósł na srebrnej tacy zamówiony posiłek. Na widok pracujących z zapalem, zawahał się. Postawił na bocznym stolczku zastawę i rzekł:

— Proszę Jaśnie Pana Dyrektora! Pan kasjer generalny pyta, czy mógłby się widzieć. Sprawa pilna... nie może czekać audiencji. Czeka w westybulu.

— Ha?... C... Co?...

— Pan kasjer generalny...

— Dobrze... dobrze... nie... nie... nie! Potem... potem... Nie mam teraz czasu...

## Dola

Wysoko, bardzo wysoko gdzieś, przewracał się po powietrzu, kąpał się w blaskach słońca, nurkował w światłości.

Poddawał ciepłu to plecy, to puszczał promienie po piersiach, to po bokach, ku stopom.

Jakże piecze! Jak zatapia! Jak mocni<sup>114</sup>!

Chciałoby się jedną ręką chwycić kędyś w tej jaśni utajoną gwiazdę, drugą ręką drugą i tak wydzwignąć się na wyże niezmierne, jak gimnastyk wywija się na drążek.

<sup>113</sup>*ça va sans dire* (fr.) — bez dwóch zdań; ewidentnie; oczywiście. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*mocnić* — wzmacniać. [przypis edytorski]

Albo znów jak orzeł, skrzydła po ciele położyć i spaść w dół... piorunem spaść... ale dobiegając ziemi, skręcić w bok, minąć ten drobiazg i wpaść w pokryte jej cieniem otchłanie międzygwiazdne.

Szeroko, tu jest gdzie latać, nie zawadzi o nic, chyba tam niżej chmurę przetnie i znowu wynurzy się człek z oparu jak księżyc.

Przegiął się grzbietem do słońca i spojrział w dół.

Zobaczył chmurę, a na niej DOLĘ zadumaną.

Płynęła ku zachodowi, by zastąpić od tamtej strony promieniowi słońca i przed zbytnim żarem zasłonić łan pszenicy.

Miała ciemną, siwą szatę. Siedziała ponura z łokciami na kolanach, głową w dłoni złożoną. Z czoła jej czarne spadały włosy. Palce rąk włożyła w zęby.

Cicha, spokojna, na ciągle zmiennej chmurze twardym obrysowana konturem, trwała, nieprzemijająca pośród rozplywań i skupiań, zatracañ kształtów i tworzenia bezustannego — dziwne sprawiała wrażenie. Zdawała się w swej rzeczywistości, na tle złudy, lotną mgłą, pośród twardych skał rzeczywistości. Obcą się tu wydawała, paradoksalną na własnym terenie, nie na miejscu, tu, skąd rządzić światem nawykła.

Roześmiał się na myśl, ile ma ta Dola dziś do roboty i nagle, w poczuciu swego królewskiego nadmiaru czasu, rozpostarł skrzydła, zamknął oczy i całą siłą rzucił się prosto przed siebie.

Leciał bez pamięci i kierunku. Wicher<sup>115</sup> mu gwizdał zrazu wielki koło uszu, ale potem i on ustał. Nie szarpał go teraz pęd za włosy, zrobiło się cicho, dreszcz nim tylko wstrząsnął zimny i czuł, że skrzydeł nie ma na czym oprzeć.

Mniejsza! Nie odmykał oczu, myślał tylko:

To jest chwila upojenia. Ach tak, to jest upojenie, to sen o wolności...

Ach, jakże się to robi... trzeba by zapamiętać... Mocne skupienie, wewnętrzna<sup>116</sup> wola, a rozmach członków sam się wyzwała w ruch. Ledwo sobie to uświadomisz, już wichry przeganiasz, wichry lecące w służbie.

To inny lot, po służbie... to przymus...

Rozkosz to bezkierunkowość.

Im zbaczać z drogi nie wolno, chyba że się roztrzaskają o przeszkodę.

Latać... bez przynagleń, co późnia<sup>117</sup>, bez brzemienia spełniań... to znaczy: latać... być wichrem-włóczęgą pośród wichrów żołnierzy, godzinami nie widzieć ziemi, nie czuć jej pod nogami nawet w wielkiej, ogromnej dali... być wysoko... wysoko, gdzie już nie ma nic do roboty nawet najprawowierniejszy promień słońca... to jest latać... Strasznie jakoś zimno!

Czuł pod zamkniętymi powiekami, że tonie w ciemni, pod bijącymi skrzydłami brakło powietrza...

Otworzył oczy.

Tkwiał w czerni niezmiernej. Niby jarzące się knoty świec pogaszonych błyszcząły czerwono gwiazdy w oddali przerażnej.

Przewrócił się na wznak, zdrętwiały niemal, a jednocześnie rozkoszą zamrozu objęty w tej bezdennej bezgłojej ciszy.

Chciał nabrać tchu w piersi, a wetchnął pustkę jeno. Krzyknął... nie zaszemrało nawet...

Był gdzieś na krańcach atmosfery, gdzie życie ustające już form żadnych nie ma.

I nagle z czarnej tej pustaci wyrzała ona, DOLA.

— Czego chcesz? — spytał szeptem — Czegóż się we mnie wpatrujesz, ty czarno-włosa, na nicości pilnująca nicości...?

Znowu mu była onej chwili tak wyraźna, tak materialna, wśród bezmaterialności otoczenia, że się zdumiał.

Zbliżała się, szła na niego... szła... szła... jak idą czasem różne rzeczy, gdy się w nie mocno, mocno wpatrywać... Wyłoniła się, jakby ot, z tamtej mgławicy błyszczącej, i pędziła, pędziła... Widać było coraz to lepiej owal twarzy na dłoniach opartej i oczy... Parły go, spychały w dół ku ziemi jak obce, wrogie ciała niebieskie.

<sup>115</sup>wicher — dziś: wicher. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>wewnętrzny — dziś: wewnętrzny. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>późnić — dziś: opóźniać. [przypis edytorski]



Szła przed nią fala wielkiej energii, wiał prąd niewidzialny, zmiatający wszystko z drogi.

— Precz! Precz!

Próbował walczyć, wbił się skrzydłami w rzadkie powietrze i stanął jej wbrew.

Chwila... i cofnął się, uśliznął, przegrał i pchnięty potężnie, spadł.

Uczuł znów pod skrzydłami cieplej gęste powietrze kręgów przyziemnych.

\*

— I mówią — prawil stary, że tylko wielka determinacja z nóg ją powalić zdoła...  
Choć znowu... pamiętam... ha... moiściewy, któż ta odgadnie co lepiej... Jemu, nieborakowi, nie na najlepsze wyszło...

Obciosywał siekierą kawałek drzewa na orczyk i słuchał starych.

Ale nie wiedział, o co im idzie. Myślał. Myślał, że wszystko, co się rusza na świecie, rusza się za pomału.

Prędeż! Prędeż! Jak wówczas!... Ach!

Sama wola... czuł, samo jeno: „CHCĘ”... samo to miało moc pochłaniania przestrzeni, zbliżania rzeczy odległych, usuwania bliskich zjaw.

CHCĘ... i gwizdał koło uszu wiatr...

CHCĘ... i ziemia stawała się małą połyskliwą kulką... Gdzieś, pod nogami znikaly niebiosy i czerwieniały gwiazdy najzłotsze.

Mrok zapadł. Wstał, spostrzegłszy teraz dopiero, że nic nie widzi i że cała robota na nic.

Hej! Na świat! Na świat!

Nagle otworzył drzwi i okroczyć chciał próg. Ale zdążył się jeszcze rozpędzić, dać sobie rozmach. Dlatego nie przewalił się przez coś, co siedziało w drzwiach, szare, w pierwszym spojrzeniu nie do poznania.

Skoczył i zdziwiony obejrzał się zaraz, nie bez trwogi.

Siedziało ich dwoje. Stary wskazywał nań palcem i opowiadał coś kobiecie... kobiecie o czarnych włosach, siedzącej z głową w dłoniach z palcami w ustach... Tak... tak, to znowu ona... — pomyślał — DOLA... a on?...

Strach mu zjeżył włosy na głowie, uciekać począł i stanął dopiero, zmiarkowawszy, że go od nich sto kroków bodaj dzieli.

Obejrzał się w sam czas, by widzieć, że wstają i idą w jego stronę.

Kroczą powoli, a przestrzeni tak szybko ubywa... zauważył, zdrętwiały...

Wokół pusto, nic tylko krzaki. Naraz, wydało się, że za każdym skryty stwór jakiś, co go będzie łapał, przytrzymał...

Kroczą powoli, a coraz są bliżej, coraz bliżej... już jeno sięgnąć ręką... Świecą... by<sup>118</sup> wilcze oczy DOLI... a on?

Starzec; włosy długie, płowe na twarz narzucił... twarzy nie miał żadnej. Wydało się, że szedł tyłem...

I w tym zamaskowaniu taki straszny był, że czuło się, iż życie się urwie jak nić pajęczna, skoro tylko... on... zechce...

Szedł. Szli. Prosto na niego.

Serce mu bić przestało... Już nie myślał nic... tylko coś w duszy, jakby obce, wrogie, a dobroczynne zarazem, bo skrcające mękę czekanie, wołało ku zbliżającym się: „Prędeż! Prędeż!”

Ale nie umarł, bo oto oni ulitowali się w ostatniej chwili, skinęli sobie na pożegnanie i naraz rozeszli się w prawo i lewo, skręcając z nagłą w pola objęte mrokiem.

Dawno ich nie było, nim się odetchnąć ważył.

\*

<sup>118</sup>by — tu: niby, jakby; jak. [przypis edytorski]

Szedł z wysiłkiem, prąd był wartki.  
Minęły czasy górnych jazd, szczęśliwej bezkierunkowości. O nogi biły fale, każdy krok to zmaganie się bolesne, walka o nieświadome.  
Pustać. Roztoką płynie potok, a zadanie... jakiś niewyraźny nakaz:  
„Tę oto łódź, bez wiosel, dla kogoś... po coś hen... aż do lodowca, skąd płynę, doprowadź!”  
Dorosły jestem, czuł tak. To się zwie: pełnia sił!  
Łzy do ocz napłynęły.  
Ktoś inny prędko, w sekundzie z wartkim płynie prądem... może prześpi nawet chwilę podróży... A ty, rób!  
Na płaczu cudzym, na łzach płynąć w Jutro? Po co?  
Rzeką szedł, co rwała z gór nienazwanych.  
Rzeką szedł i cierpiał, biorąc na siebie cały przeciwny prąd i całą świadomość, że to daremne, że kiedyś zostanie spostrzeżone i ustanie taka rzecz, zgoła niepotrzebna.  
Rzeką szedł w górę i czuł cały żal, że go teraz nie ma wysoko, wysoko na niebie.  
Dorosły jestem, czuł tak. To się zwie: pełnią sił!  
I ledwo tak pomyślał, osłabł rozkosznie i nie mógł walczyć z prądem przeciwnym i nie mógł podnieść nogi.

Zdziwiony był i osłabły, prąd go znosił.  
O jakże prędko! Dwa dni temu mijałem ten zakręt... idąc w górę rzeki..  
Niosła go woda, tonął i dziwnie mu było:  
— Zwyciężam! — myślał... — Ginę! — myślał jednocześnie.

Podniósł oczy.  
Brzegiem rzeki, pod prąd szła kobieta.  
Szła obojętna, cicha, szata za nią siwa wiała i włosy czarne płynęły w przeciwnym wietrze.  
Głowę na piersi zwiesiła, złożyła ją w obu dłoniach.  
Szła pewnie, równo po płaskim brzegu, nie oglądając się wcale.  
Gdy ją ujrzał tonący, nabrał sił.  
Wbił nogi w grunt, rękami czepił się umykających wodorostów i ruszył naprzód... naprzód... naprzód... z zaciśniętymi zębami... łkaniem przyczajonym w piersi... naprzód... naprzód... naprzód...

\*

Był gzyms kamienny stary, ścieżka skalna, niewiadomymi rękami ułożona dla stóp nieznanych.  
Stał, w rękę dzierząc koniec łańcucha długiego i ciężkiego.  
Dorobek — mówili — wieków...  
I podać go trzeba tam, naprzeciwko, o kroków sto... włożyć w dłoń, co się wyciągnie...  
A jeśli nie? A jeśli tam nie ma nikogo?  
Domki widział w dole niskie, jakby rozpląszczone... przez komin by zajrzał niemal prosto w garnek...  
Pod nogą się głazy chwieją. Powypierały je z oprawy zielska przerozmaite, poruszyły stopy czyjeś...  
Ostrożnie... Ostrożnie!  
Z dołu, spod nóg dolatuje głos dzwonu.  
Świat do snu kołuszą te dzwony. Jakże nisko... Jak nisko złatać muszą z nieba anioły z wiatykiem, do mrących tam w dole...  
Na niczym nie możesz oprzeć dłoni. Skala odbiegła daleko, za dziesiątym krokiem... łańcuch ciężki... Spocznę!

Ale w spoczynku jeszcze trudniej... Nie. Ten gzyms, ten kawał drogi trzeba wziąć rozmachem...

Przeklęty kamień... Śliski gzyms łuku, którego filary niezmierne, wkopane gdzieś na dnie przepaści...

Ach, jakże daleko... Mówili: nie dalej, jak od jednej myśli, do drugiej... tak mówili...

W drogę! W drogę!

Świat na dole, teraz czerwony. Słońce zachodzi właśnie... ogląda się... Na mnie patrzy... Czuje żal, że nie zobaczy, jak się to skończy... Widowisko niecodzienne...

Hej staruchu! A co się tam stało z ostatnim... z ostat...

Jezus Maria! Nie! Nie sposób... Spoczne!

Drżą nogi. Mówili... wyteż moc chcenia... nie spoglądaj na prawo, nie spoglądaj w lewo... Nie ma cieniów... nie daj się ludzi ceniom, co zastępują drogę... Ach... jest... jest cień... Wychylił się zza skały... Nie, to ręka się wychyla... ręka... Masz! Bierz!...

Idzie ktoś śmiało po śliskich głazach z wyciągniętą dłonią.

— Pokaż stygmat!... — wołam.

Idzie, nie słucha...

— Pokaż znak!

Wyciąga dłoń... Nie ma znaku... A... to ona!

Czego chcesz? Nie dam!... Nie... nie! Precz! Z drogi!

Spoza pleców DOLI wychylił się człek z włosami płowymi na twarzy. Śledził tok walki... krótkotrwałej.

Człowiek z łańcuchem pchnął DOLEĘ w pierś. Zachwiała się.

— Precz — krzyknął i wymierzył cios drugi, między oczy.

Wtedy ów przycażony podniósł rękę do twarzy powoluteńku, drugą podtrzymując padającą od uderzenia DOLEĘ.

I wpatrzony w wysłańca, rozchylił na czole włosy.

Ciężki łańcuch uderzył o kamienie i stoczył się w bezden przepaści wraz z zmartwiałym ciałem pielgrzyma, wysłanego pracownika JUTRA... którego poraził ZAMRÓZ-STRACH.

\*

Otworzył oczy. W szafirowej jakby mgłę ujrzał śmigle filary mostu. Leżał na wznak na łące kwietnej, bezsilny, jakby po ciężkiej chorobie.

Nie bolało go nic. Tylko przy każdym ruchu, przy każdym niemal oddechu, szeptało mu coś: „I na cóż! I na cóż!”

Wszystko już skończone, załatwione, wyczerpana treść życia... ot wspomnienie jedno, drugie i koniec.

Dawne czasy... Loty dalekie na wszystkie strony, bezobowiązkowe nadzorowanie wszechświata.. Porażenie Strachem...

Od jakichże drobnych rzeczy, pomyślał, zależy Jutro... Od jakichże nikłych ocznych złud...

Nie chciało mu się myśleć. Wodził oczy, a wokoło, po łące, na każdym kwiatku napotkanym dając wypoczywać oczom.

Podniósł wzrok.

Był łuk potężny, od skały do skały, górą gzymsem obrzeżony. Jakieś wpółzatarłe na nim widniały rzeźby, końskie nogi wzniesione do skoku, ostrza dzied w rękach wojowników.

Zamykał widać jar głęboki, był jakby bramą doń... tak, bramą był.

Potężne skrzydła bramy, zawarte, świeciły ponuro pociemniałymi okuciami spiżu. Dźwigały się poważnie ku górze.

Wiódł oczyma po wstępującej linii potężnych gwoździ.

Nagle zerwał się. Siadł, przerażone oczy wbijając w półkolistą przestrzeń nad skrzydłami bramy.

Tkwiła tam twarz olbrzymia, ciemna, o wielkich, połyskujących oczach.

Dola złożyła głowę na splecionych rękach, palce włożyła w usta i wpatrywała się cicha, niema w siedzącego.

Teraz dopiero zobaczył, że ona to sama była skrzydliskami bramy, do jaru wiodącej... Suknia jej ciemna opadała w szerokich, płaskich fałdach, suknia siwa, usiana gwiazdami z poczerniałego złota.

\*

I nagle śmignęło mu przez głowę, by stoczyć z nią bój.

Pamiętał, że się zachwiała pod jego ciosem wówczas... czuł moc teraz... czuł w sobie nakaz...

Zerwał się i rzucił na zapatrzoną.

Wymierzył cios potężny w jej kolano... i padł na ziemię. Pięść jego nie trafiła na ciało.

Wstał.

U stóp jego leżała siwa suknia Doli... Na trawie zaś, poczarwane jakies błyszcząły kwiaty czy oczy...

Wpatrzył się w nie...

Rozpływały się, wyraźnie zachodziły mgłą, wsiąkały w ziemię...

Gdy tak stał zapatrzony, uczył nagle, że go ramię czyjeś obejmuje.

Podniósł oczy i ujrzał pochyloną nad sobą twarz anioła ciszy wieczornej.

Anioł podparł silnym ramieniem chwiejącego się z wysiłku walki i przerażenia i rzekł cichym, śpiewnym głosem:

„Oto nadszedł czas odpocznienia... chodź, pracowniku wierny pożywać wieczerzę po dniu znojnym. Otwarte są ogrody pańskie dla spracowanych na polu jego”.

Uczuł, że na oczy mgła mu spada jakaś przejrzysta, a przez tę mgłę ujrzał w zamkniętej łukiem przestrzeni długie, nieskończenie długie aleje cyprysowe, ginące gdzieś w pomroce dali.

— Chodź! — powtórzył anioł i poszli.

## Drogowskaz

Była pełnia. Księżyc świecił jaskrawo, a pnie brzoź połyskały żółtawym blaskiem, na tle czerni zwiłanych<sup>119</sup>, dziwnych kształtów pełniących<sup>120</sup> głąb lasu. Noc nie działała kojąco. Wydawało się, że księżyc przybrał maskę słońca i przedrzeźnia oto śpiącego władcę dnia. Cienie były jak aksamit czarne, przepastne, by<sup>121</sup> otchłanie, w które zapadały oczy śledzące formy znane czy prawdopodobne. Zapadały i nie znachodziły<sup>122</sup> niczego, czasem tylko dostrzec się dawał prostolinijny pień podobny do filara, jeden, drugi, trzeci... Były jak kolumny podpierające strop ogromnej kaplicy przedpogrzebnej.

Czarno-stalowe były fale rzeki płynącej pod lasem. Woda zatraciła przejrzystość. Sunęła upornie<sup>123</sup>, bez przerwy, monotonnie. W poprzek zwałił się kloc żółty, słup światła i leżał w bezruchu otępiałym, ciężki, posepny.

Od dni i dni siedział na brzegu rzeki Człowiek z toporem obrócony plecami do lasu i spozierał pod prąd rzeki. Nie spuszczał oczu z punktu, gdzie się rzeka zatraci — tam na widnokręgu, skąd nadpłynąć miały upragnione i wyglądane dębowe tramy. Słuch wysłał na zwiady, czy nie pochwyci dźwięków fanfary, jaka rozebrzmieć<sup>124</sup> miała, w momencie, gdy święte drwa znajdą się w jego pobliżu.

Czekał wolen<sup>125</sup> niecierpliwości, tłumiąc samą zaródk buntu, bowiem samo to czekanie świętobliwe i pokorne było nowicjatem wielkiego zakonu pracy, do którego wstąpić

<sup>119</sup>zwiłkany — dziś: zawikłany a. splątany. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>pełniący — tu: wypełniający, zapełniający. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>by — tu: niby, jakby, jak. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>znachodzić (daw.) — znajdować. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>upornie — dziś: uporczywie a. uparcie. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>rozebrzmieć — dziś: rozbrzmieć. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>wolen (daw.) — dziś: wolny (od czegoś). [przypis edytorski]

miał oznaczonej godziny. Była to część ważna i niezbędna samego wtajemniczenia, diakonat bliskiego kapłaństwa. Wiedział, że nadpłynąć muszą. Powstanie tutaj oto nowa świątynia, staremu Bogu wzniesiona, nowy kształt przedwiecznej prawdy, nowe hasło rzeszom stęsknionych, więź jedności, co zewrzeć ich miała w legion bojowników, pod sztandarem nieziszczalnego ideału.

Z dalekich krajów nadpłynąć miał budulec, stamtąd, kędy mieszka Tęsknota.

Człowiek z toporem siedział spokojnie na brzegu, sparłszy<sup>126</sup> łokcie na kolanach, z brodą na pięściach złożoną, a spojrzenie tkwiło w dali widnej tej nocy jakby w dzień biały.

Siedząc tak zapatrzony, nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Zatracił czucie ze światem zewnętrznym, a w świecie tym dziwne zachodziły sprawy.

Las, do niedawna jeszcze cichy i zmartwiał rozszemrał się naraz głosami. Coś rozsuwało gałęzie z lekkim szmerem, trzaskały pod czyjąś stopą suche gałązki, tętniły głucho po mchu spieszne kroki. Najlżejszy powiew wiatru nie musnął listowia drzew ponad głową siedzącego, ni trawy dźbła<sup>127</sup> tuż przy nim, a jednak w głębi lasu poruszały się krzaki i szemrało coraz mocniej, coraz donośniej.

Nagle rozteętniły się wyraźnie echa szybkiego biegu. Ktoś pędził, stąpając ciężko. Darł sobą gąszcz leśny, słychać było postęk<sup>128</sup> zadyszanych z wysiłku płuc i po chwili na czerni ostępu zamigotało białe ciało.

Człowiek z toporem poruszył się, obrócił ku lasowi głowę. Nadsluchiwał.

Nagle, niby strzał wśród nocy, zagrzmiął okrzyk trwogi.

I wraz za nim rozebrzmiał śmiech... długi, cyniczny śmiech.

Ten śmiech ludzki, a jakby nieludzki przez zamróz, jaki od niego szedł, dochodził tuż z pobliza, jakby spoza najbliższego krzaka.

Rozebrzmiał raz jeszcze, trochę ciszej i urwał się nagle. Biegnący, zbliżał się z każdą chwilą bardziej.

Człowiek z toporem ścisnął silniej swój topór w dłoniach.

Nagle spostrzegł przybysza. Był całkiem nagi. Biegł, dobywając ostatnich sił.

Zerwał się na nogi i poskoczył naprzeciw, ale gdy go tamten spostrzegł, wydał przeraźny<sup>129</sup> okrzyk trwogi, dał ogromnego susa w bok, rzucił się w gęstwę ostrężyn<sup>130</sup>, przedarł przez nią i skoczył z wysokiego urwiska w sino-czarne fale rzeki. Za chwilę zajaśniały jego ramiona na ciemnym tle. Pruł fale nerwowymi ruchami, płynął szybko, jakby mu szło o uratowanie życia. Po krótkim czasie znikł w oddali, stopił się w jedno z granatowym zarysem przeciwległego brzegu.

Człowiek z toporem stał przez chwilę zdumiony i poglądał<sup>131</sup> za uciekającym. Nie mógł zrozumieć, czemu tak bardzo przeraził się na jego widok.

Jednocześnie wysłał na zwiady słuch w głąb lasu. Mniemał, że nadbiegnie stamtąd więcej ludzi. Ale nie dochodziły odgłosy kroków.

Posłyszał natomiast co innego. Znajdywały się poblisko jakieś istoty i rozmawiały. Ciche słowa zdawały się wychodzić tuż, spoza najbliższego krzaka.

Człowiek z toporem pochylił się ku ziemi, podpełznął bez szelestu nieco bliżej i położył się w trawie.

Dwie jakieś istoty, nie wiedział, zali<sup>132</sup> byli to ludzie, zajęte były żywą rozmową.

Nastawił uszu.

— Mówię tedy, że mało któremu uda się umknąć?

— Naturalnie. Nie ma potrzeby ścigać go... sam wróci... po latach może, ale wróci niezawodnie. Przymus zbytaczny... dlatego też roześmiałem się na widok, jak zmykał. Myślał, że go ktoś goni...

— Powiedz no mi raz wyraźnie, co to jest takiego to ich „szczęście”.

<sup>126</sup> *sparłszy* — dziś: *wsparłszy*. [przypis edytorski]

<sup>127</sup> *dźbło* — dziś: *źdźbło*. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *postęk* — dziś: *postękiwanie*. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *przeraźny* — dziś: *przeraźliwy* a. *przerażający*, a. *przerażony*. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *ostrężyny* — jeżyny. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *poglądać* — dziś: *spoglądać*. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *zali* (daw.) — *czy*. [przypis edytorski]

— Dokładnie oczywiście określić ci tego nie potrafię, ale musi w tym coś być, bo inaczej czyżby go ludzie szukali z takim wysiłkiem, czyżby ginęli w poszukiwaniach daremnych.

— A gdzie ono jest? Powiedz. Czy miejsce jego pobytu zna stary kapłan... czy może tylko kpi sobie z ludzi?

— Nie wiem, ale nie musi wiedzieć, bo w takim razie przejrzałby nasz podstęp i zauważył, że nastawiamy drogowskaz w fałszywym kierunku.

— Któż to wie? Może i wiedział za młodu, ale zapomniał w starości. To zgrzybiały człowiek, nie wie sam, ile ma lat.

— Bo ja wiem? Wszakże nie jestem człowiekiem. Nie zadawaj mi ciągle tych głupich pytań. Co wiem, to ci powiem.

— Oto ludzie widocznie żyć bez rzeczy owej nie mogą, musi to więc być coś ważnego. Każdy szuka gdzie może i pędzi w pogoni za szczęściem swoją własną ścieżką. Ale wszyscy schodzą się ostatecznie tutaj, jako pielgrzymi długimi procesjami. Czy to się dzieje z prostego przypadku, czy jest w tym coś innego, nie wiem i nie mogę wiedzieć. Jestem z natury dosyć ciekawy, przeto usiłowałem nieraz...

— Co?... Powiedz...

— Badałem, szukałem, przetrząsałem cały nasz kraj. Ale nie znalazłem niczego więcej prócz drzew, łąk, zwierząt, roślin, rzeki i tym podobnych rzeczy. Oczywiście nie pominąłem także owego straszliwego, iście szatańskiego ostrowu<sup>133</sup> leżącego w stronie, gdzie wskazuje drogowskaz.

— Ba... jakże mogłeś znaleźć, skoro nie wiesz, jak to wygląda. Musi tu jednak być gdzieś ukryte... nie dam sobie tego wytłumaczyć...

— Oj głuptasie, głuptasie! Czyż nie wiesz, że przed moim okiem nic się nie ukryje? Jakżebym ja, który musi wiedzieć wszystko, co się tutaj dzieje, mógł nie odnaleźć tej rzeczy, do której złążą się ludziska. Sprawa jednak ma się inaczej. Jest tutaj jakaś omyłka. Nie idzie o miejsce, ale o zrozumienie samej istoty szczęścia. Podobnie rzecz się ma z niebem i z piekłem. Jakże długo ludzie szukali po ziemi bramy do piekieł wiodącej, a po niebie dziury, przez którą przeciska się promień światłości wiekuistej. Ludzie wszystko zamieniają i mieszają jedno z drugim. Tedy owo szczęście, o ile przypuszczam, musi być jako niebo i piekło... jest wszędzie i nie ma go nigdzie. Nie jest to więc właściwie rzecz, ale coś podobnego do: „Niego”.

— Niepodobna...

— Zrozum tylko... jest wszędzie i nie ma go nigdzie... zupełnie jak On... nieśmiertelne.

— Cicho bądź... wszakże słyszy nas!

— No tak... słusznie. Zresztą cóż mnie to wszystko właściwie obchodzi! Czyż jestem człowiekiem? Basta!

— Czekajże... możemy przecież gadać o ludziach.... to wolno!

— Wolno, ale to nudne.

— Jestem innego zdania... mnie to ciekawi...

— Nic dziwnego, jesteś żółtodziób... nie miałeś jeszcze służby na strasznym ostrowie.

— Tam, dokąd wskazuje drogowskaz?

— Tak. Ale nie wolno rozmawiać o tym. Rozumiesz?

— No dobrze... ale na cóż właściwie siedzi pod drogowskazem ten starzec? Powiedz mi! Czy on zawsze siedział na tym miejscu, czy był przed nim inny kapłan?

— Mój pradziad mawiał... ale będzie temu z górą sto lat i drogowskaz już wówczas był nastawiony na straszny ostrow... otóż mój pradziad mawiał, że czasu jego młodości inny kapłan siedział pod drogowskazem.

— I cóż się z nim stało?

— Co?... Osiół z ciebie. Oczywiście umarł, jak każdy człowiek. Pełno wśród lasu wzgórków podobnych do mogił. Są to zapewne groby dawnych kapłanów szczęścia.

— A co głosili tamci? Czy to co ten, czy może coś odmiennego?

— Phi... możliwe, że głosili to samo, ale może też co innego...

<sup>133</sup>ostrów — wyspa na rzece. [przypis edytorski]

— To jest ważna kwestia. Gdybym wiedział dokładnie wszystko, co mówili wszyscy kapłani szczęścia, mógłbym sobie wyrobić pogląd, co to takiego jest. Chciałbym wiedzieć, czy zawsze jest ono takie samo, jak np. słońce, czy też ulega zmianom, jak księżyc.

— Spytaj więc człowieka. Ale nie wiem, w jaki sposób będzie cię mógł zobaczyć...

— To prawda. Ludzie są całkiem inni jak<sup>134</sup> my. Muszą też mieć inne oczy i widzą zgoła inaczej.

— Nie zbyt dobre te oczy ludzkie, mówiąc między nami... Zawsze im ktoś musi pokazywać najprostszą rzecz, inaczej nie widzą nic... Ale mniejsza z tym... Otóż w jednym godzili się obaj kapłani ze sobą... mówił mój pradziad.

— Cóż to takiego! Mów! Czemuż przemilczałeś tę rzecz ważną?

— Obaj, dawny i terażniejszy uważali się za posłańców Boga i prawdziwych, nieomylnych wyznawców prawdy.

— I głosili jednocześnie sprzeczne rzeczy?

— Nie wiem czy sprzeczne. Nie chcę ich oczerniać.

— Może mieli w młodości swej inne poglądy, a znów inne, gdy się postarzeliz?

— Nie wiem. Tamten zmarł, zanim przyszedłem na świat... Ale cóż ci tak bardzo na tym wszystkim zależy?

— Jestem młody... a młody diabeł nie bywa tak zły, jak wygląda z gęby... Tak mówi przysłowie.

— No i bierze wały...

— Niestety...

— Cicho no! Zdaje mi się, że ktoś nas podsłuchuje.

Człowiek z toporem poruszył się mimo woli. Zatrzeszczała gałązka. Przywarł do ziemi, zapierając oddech. Nastawił uszu. Ale daremnie. Rozmowa się urwała, nic nie przerywało ciszy. Las zamarł w bezruchu. Nie pochwycił ani słowa więcej. Dziwne istoty uciekły.

Czekał jeszcze czas jakiś. Ale las milczał, jak gdyby zapadł na nowo w głęboki sen, po krótkiej chwili półjawy. Człowiek z toporem wstał i kroczył przed się, nie oddalając się jednak od brzegu rzeki. Tajemnicze rzeczy i podsłuchana rozmowa wprowadziły go w dziwny stan podniecenia. Zasadniczo nie wierzył, by to wszystko było naprawdę rzeczywistością. Nic. Drogowskaz?... Niepodobieństwo! Musiała to być jeno jakaś metafora. Coś podobnego nie może mieć przecież realnego bytu. Rzecz jasna... zdrzemnął się... wbrew silnemu postanowieniu musiał się zdrzemnąć. Tylko ten człowiek... ten uciekający, nagi człowiek! Był to człowiek fizyczny, realny. Dudniała ziemia pod jego krokami, dyszał ciężko, dał olbrzymiego susa w bok, a potem skoczył w fale. Widział przecież na własne oczy... A może i to było snem?

Nie był w stanie wyrobić sobie jasnego pojęcia, gdzie kończy się tutaj sen, a zaczyna jawa. Jedno z drugim stopiło się tak bardzo, że musiał, w celu wydobycia się z mgieł marzenia, zwrócić swe myśli ku świątyni.

Tak, świątynia, przyszła świątynia. Oto jedyna realna rzecz w tym wszystkim.

Ale nagle i to mu się przysłoniło mgłą. Czyż i jej byt to marzenie, które przeżywał? I zdziwił się w głębi duszy, że nawet ta rzeczywistość niezaprzeczalna, jedyne dobro jego serca, ten najistotniejszy cel życia stał się jak sen czasu tej dziwnej, niepojętej nocy.

Śnimy prawdę, jak się przeżywa sen. Radość i ból to tylko zwrotki jednej kołysanki, którą nuci los-piastunka, kolebiąc nas w kołysce życia.

Zapusczył się w las i zauważył, że zmienił się znacznie. Cienie były teraz mniej jaskrawe, jaśniejsze, bardziej przejrzyste, partie jaśni stały się matowe i bledsze. Na wszystkim położyła się srebrzysto-szafirowa mgła, a szafirowy jej ton stawał się z każdą chwilą głębszy i ciemniejszy. Las nie był już ponury, śnił słodko jak dusza mająca za chwilę zbudzić się z rozmarzenia. Pośród drzew zaczęło przebłyskiwać coś białego, a plama ta stawała się z każdą chwilą bielszą i większą. Unosiła się ponad wysoką trawą, wisiała chmurą...

Rozpoznał mgłę poranną.

Rozróżniał teraz olbrzymie pnie drzew i niskie, strzępiaste krzaki. Dostrzegł kręte ścieżki snujące się poprzez gęstwinię.

Ogarnęła go nagle dziwnie słodka radość. Miał ochotę ćwierkać jak ptaki, które jeszcze zaspane, w czubach drzew próbowały nieśmiało głosu.

Prawda, Obraz świata, Życie snem

<sup>134</sup>jak — tu: niż. [przypis edytorski]

Stal jego toporu<sup>135</sup> rozbłysła niebieską luną.

Spostrzegł to, oprzytomniał i uśmiech wybiegł na jego usta.

Tak, tak... pomyślał. Wszystko tamto, to sen. Jedyna prawda, to moje narzędzie, mój topór święty.

Wywinął młynca w powietrzu i nagle przyszła mu wielka chęć rąbać coś twardego, coś opornego... Poczul siłę, młodość... Ale łoskot zmąciłby cudną ciszę poranku. Zresztą poświęcona stal nie mogła dotknąć niczego innego, prócz cudownych tramów świątyni.

Zbliżał się z wolna do polany leśnej zalanej gęstą mgłą. Drzewa się tutaj rozstąpiły w krąg, mógł spojrzeć w niebo.

Sklepienie niebios nad jego głową było teraz cudne, błyszczące. Lśniło turkusowo, a ton ten bladł z każdą chwilą, mieniając się w srebro przeszywane złotymi nićmi. Błada tarcz<sup>136</sup> księżycza zapadła kędyś poza drzewa, śląc wokół siebie jeno rdzawy poblask, kontrastujący z tonem nieba, co podnosiło jeszcze jego jaśnienie.

Świtało.

Człowiek z toporem kroczył przed siebie z oczyma utkwionymi w górze.

Nagle potknął się o coś twardego.

Stanął i ujrzał wielki kamień leżący w trawie.

Spojrzał wokół i mało nie krzyknął ze zdumienia.

Ujrzał tuż przed sobą niewielki pagórek utworzony z dużych kamieni. Leżały spiętrzone jedne na drugich niby mur, ale narzucone niedbale tworzyły coś, co dawało wrażenie jakiegoś kopca czy ołtarza. Pośrodku sterczał wysoki, z gruba ociosany pal szczerbiały od dżdżów i pokryty naroślą mchów.

Na poprzek słupa była przybita wąska deska przypominająca w ogólnych zarysach wyciągnięte, wskazujące dokąds ramię.

— Drogowskaz! — wykrzyknął mimo woli Człowiek z toporem.

Zjawił się sen, nasunął się na jawę jak mgła i przeświecił ją na wskroś, tak iż stał się prawdą, oczywistą prawdą.

Patrzył oniemiały.

Oparty plecami o kamienie siedział pod drogowskazem zgrzybiały starzec o długiej, falistej, białej brodzie i spał z głową spartą na dłoniach. Srebrzyste włosy otaczały czcigodne jego oblicze i spadały w pierścieniach na błękitną szatę spływającą bujnymi fałdami na kamienie ołtarza.

Gdy tak patrzył zdumiony na niezwykle obraz, wydało mu się, że słyszy gdzieś w dali chóralny śpiew, pieśń nuconą przez tysiące ludzi, zagubioną w przestrzeni, dolatującą jak nikle echo. Płynęło to echo z wolna, podobne do fali, w obranym, niezmiennym kierunku, a jednocześnie ustępował z polany biały opar mgły, cofając się coraz to bardziej w głąb lasu.

A więc to prawda, pomyślał Człowiek z toporem, więc to prawda.

Doznał uczucia, że nieprawdopodobieństwo otoczyło go niby sieć i nie tylko jego. Majak ogarnął ludzi i świat i zastąpił prawdę. Nie było możliwości wydobycia się na twardej gruntu trzeźwej jawy.

Jednocześnie zbudziła się potrzeba czynu. Sen czy jawa, wszystko jedno. Wołał go czyn. Objął rolę narzuconą.

Przystąpił do śpiącego i potrząsnął nim tak, że głowa starca straciwszy równowagę spadła na piersi, a ramiona zesunęły się na kolana.

Starzec spał dalej skurczony, wrosły jakby grzbietem w kamienie.

Krzyknął nań raz i drugi, ale to pozostało bez skutku.

Zbudziły się tylko ptaki w gałęziach drzew i zawiodły tak głośny świegot, że śpiący powinien by się był ocknąć z samego już tego hałasu.

Stary kapłan nie żyje, pomyślał Człowiek z toporem i doznał wielkiego ukojenia. Umarł, a przeto nie pośle na zatracenie tych oto nadciągających w procesji pielgrzymów. Dzięki Bogu!

Osunął się na pobliski kamień i usiadł z toporem między kolanami.

Czyn

<sup>135</sup>toporu — dziś forma D.lp: topora. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>tarcz — dziś forma M.lp: tarcza. [przypis edytorski]



Siedział spokojnie czas jakiś, rozglądając się wokół. I spostrzegł przede wszystkim, że ołtarz z drogowskazem stał dokładnie pośrodku okrągłej polany. Od niego biegly na wszystkie strony ścieżki, niby promienie koła, i gubiły się w gęstwinie lasu. Niezdarne drewniane ramię wskazywało gestem zdecydowanym w jednym kierunku, ślad drugiego ramienia ledwo był widny. Odpadło widać z biegiem czasu zbutwiałe, zjedzone przez mchy.

Dzień się czynił coraz to wyraźniejszy, budziły się barwy, zajmując przynależne sobie miejsca na każdej rzeczy z osobna. Walczyły ze sobą, wypierały się wzajem. Ptaki wrzeszczały z całej mocy, jakby chciały zgłuszyć pieśń chóralną, która rosła, potężniała z każdą chwilą.

Nagle spostrzegł Człowiek z toporem, że kapłan porusza się.

Patrzył przerażony, co czyni, gotów wkroczyć, gdyby miało się stać co złego.

Kapłan powstał, wyprostował się i podniósł ramiona ku słońcu.

Wydawało się, że ma skrzydła i chce lecieć na powitanie władcy nieba. Wyglądał jak duch, ciało jego prześwieciły promienie, szata stała się mgłą szafirową, stopy ledwo tykały ziemi.

Człowiek z toporem zerwał się na równe nogi, nie wiedząc, co czynić.

Starzec śpiewał hymn, w tej samej poruszającej się kadencji, co pieśń pielgrzymów.

Nie można było pochwycić uchem słów... czyż były to zresztą słowa? Starzec znajdował się teraz w nastroju ducha, gdzie nikną słowa nawet najwyższe, najgórniejsze, nie mogąc niczego wyrazić. Witał słońce radością serca i dźwiękami zbratanymi najbliżej jeszcze ze świegotem ptaków leśnych.

Nie był już materialną istotą, rysował się zaledwo na tle polany, a wokół jego głowy rozpromienił się nimb świetlisty zharmonizowany precudnie z blaskami promieni sypiącymi się od wschodniej strony.

Człowiek z toporem padł na kolana ogarniony wzruszeniem i czią niewysłowioną.

W tej chwili ukazały się na skraju polany pierwsze szeregi pielgrzymów.

Pochód zatrzymał się, ludzie rozstąpili się w wielki krąg i pokłękli<sup>137</sup>, czekając, aż kapłan skończy modlitwę poranną.

Nie trwało długo. Nimb dokoła głowy starca począł gasnąć, ciało jego zarysowało się znów ostrą sylwetą, szata zszarzała i niebawem stał na polanie prosty, skromny stary człowiek, a słowa, które głosił brzmiały również prosto i niewyszukanie.

— Moi mili — rozpoczął — dobrze się stało, żeście tutaj oto przyszli. Jest to bardzo pocieszające i dobre dla was wszystkich. Wiem, że przemierziliście stopami świat cały, że błędziliście długo po drogach fałszywych, a poznawszy, iż są takimi, z mozołem szukaliście drogi dobrej. Niemal was to kosztowało cierpienie i zaparcia. Widzę każdą kroplę krwi, każdą ranę stóp waszych. Policzyłem je i rachunek długów przedłożyłem Bogu do zapłaty. Teraz oto głoszę wam dobrą nowinę: koniec cierpienia nastąpi, uzyskacie wszyscy pokój i szczęście.

Skąd pochodzi, że mnie to właśnie wybrał Bóg za swego posłańca, nie waszą rzeczą badać. Tak się stało. Przyjmijcie tylko szczere zapewnienie, że pycha nie mówi przez moje usta.

Pielgrzymi pochylili się w niskim pokłonie, twarze ich leżały w trawie.

— Nie należy mi się cześć żadna, o bracia moi! — powiedział starzec — Jestem tylko głosicielem słów cudzych, słów świętego wybrańca bożego. Jemu się cześć, nie mnie należy. Podnieście się i słuchajcie pilnie.

Tysiąc spojrzeń zawisło na jego ustach, jak gdyby pielgrzymi chcieli widzieć złote słowa, które z nich uleca.

— Przed wielu latami — zaczął kapłan — przed bardzo wielu latami, a wiecie drodzy bracia, że lat życia świętego liczyć nie należy, jeno mierzyć tym, co zawarły, gdyż czasem są jak wieki, a czasem znów przemijają niepostrzeżone, otóż w czasie odległym od chwili obecnej żył na świecie mąż świątobliwy, którego Bóg umiłował. Chcecie wiedzieć, jak się nazywał? Trudna odpowiedź. Weźcie słońce, księżyc, gwiazdy, zwierzęta ziemi, stwory powietrza i morza, wielkie i małe, dalej weźcie człowieka wraz ze wszystkimi jego radościami i troskami, z wszystkim pięknym i szlachetnym, które się przezeń objawić może,

<sup>137</sup> *pokłękli* — dziś: *poklękali*. [przypis edytorski]

zgrupujecie wszystkie wielkie myśli, jakie się narodziły od zarania czasów w duszach, wszystkie natchnienia poetów, artystów i filozofów, wszystkie modlitwy serc gorących i bogobojnych i utwórzcie z tego wszystkiego słowo, które by streszczało w sobie rzeczy i sprawy, które wyliczyłem... a będziecie mieć imię świętego męża.

Posiadał szlachetne, miłujące cały świat serce. Człowiek taki jawi się na ziemi raz tylko w tysiącu lat, albo i rzadziej może jeszcze. Odczuwał każdy ból świata i brał udział w każdej radości jego. Nie było dlań stworzenia zbyt małego i zbyt niegodnego, nie było zbyt wielkiego i nieprzystępnego, nie było zbyt głupiego i dość wstrętnego. Wszystko co żyje otaczał miłością jednaką i pieczę miłosną. Istoty, które się naszym grubym zmysłem przedstawiają jako pozbawione życia, znał i odczuwał w ich najistotniejszej treści i zawarł również w swoim sercu. A ta ogromna, nadludzka zdolność miłowania całego świata uczyniła, że dane mu było wszystko martwe i żywe radować, wspomagać i podnosić.

Żył długo kochany i czczony, chociaż odsuwał od siebie oznaki czci i polecał, by ludzie brali tylko to, co dawał, zaś jego samego nie chowali nawet w pamięci. Chciano go zasypać bogactwami, uczynić władcą państw i ludów. Wówczas płakał gorzko i żalił się, iż ludzie go nie rozumieją.

Jedynie, co mi dać możecie, mawiał, jest, abyście żyli, jako ja żyję. Idźcie w moje ślady, a szczęście stanie się waszym udziałem. Taka będzie wasza i moja nagroda. Stałem się szczęśliwy miłością i współczuciem... naśladowajcie mnie!

Prawił to wszystkim ciągle i uczył przykładem własnym. Ale ludzie nie umieli go naśladować. Człowiekowi łatwiej uczynić wszystko, jak żyć wbrew sobie. I dlatego trudnym było bardzo świętemu mężowi sprowadzić szczęście na ziemię. Tu i ówdzie przyjął się pięknie złoty posiew, ale marniał po największej części i stało się widoczne, że nie sposób świata do szczęścia zbliżyć. Świat nie umiał być szczęśliwy, mimo że wołał o szczęście ogromnym głosem. Ludzie nie mogli pojąć, że szczęście nie przychodzi z zewnątrz, jak świetny, wspaniały meteor, albo cudna kometa z zaświatów, ale że wyrasta w głębi duszy ze ziarna miłości i pełni się w ciszy, a kwiaty i owoce wysyła dopiero w świat, gdy czas właściwy nadejdzie.

Świątobliwy mąż rzucał ciągle posiew szczęścia w ziemię, ledwo się jednak oddalił, marniało ziarno i usychało niepolewane i pozbawione pieczy.

Tak być dłużej nie może, rzekł sam do siebie. Starzeję się, a gdy umrę, zapadnie cały świat w niedolę i cierpienie. Po chwili rozmyślu udał się w daleką podróż. Zwiedził świat cały, chcąc znaleźć dla ludzi wszystkich ras i krajów wspólną formułę szczęścia, wspólny symbol, który by zawierał to, co łączy w pracy nad przemianą człowieka w istotę wyższą, światlejszą. Taki symbol, jak mniemał, byłby dla ludzkości znakiem odnowy, ostoją wśród rozchwiei przypadkowości, domem, pod dach którego chroniłby się nieszczęsny twór żywy. Gdy wrócił, oczy jego czerwone były od płaczu. Poznał, że ludziom prócz siebie nic więcej dać nie może... siebie i przykład swój. Tylko taki przykład, stawiony pokoleniom przez wieki i wieki zbliżyć mógłby królestwo szczęścia na ziemi.

A właśnie około tego czasu otrzymał z nieba znak, że wnet mu umierać przyjdzie.

Zasmucił się bardzo i poprosił o zwłokę.

— Zgoda! — powiedział Stwórca — Albo nie, zrobimy inaczej. Umrzesz, a mimo to pozostaniesz na ziemi. To będzie praktyczniej. Nie mogę przez ciebie opóźnić biegu świata. Oto tak będzie. Przez całe życie wskazywałeś ludziom drogę szczęścia. Uczynię, że będziesz ją wskazywał także i po śmierci. Ci, którzy zrozumieją, zaznają szczęścia.

— A ci, którzy nie zrozumieją? — spytał święty mąż.

— Ci, którzy nie zrozumieją będą cierpieć dalej, ale uczynię, że będą musieli po wychyleniu czary bólu wracać do ciebie i będą musieli powtarzać to tak długo, aż wreszcie zrozumieją.

— Któż ich pouczy, że tak mają czynić? — pytał dalej święty.

— Polecę bogobojnemu mężowi, by się zjawił u ciebie dla nauki. Udzielisz mu swych wskazówek i on zastąpi twe miejsce na ziemi. Będzie żył lat sto...

— A gdy minie sto lat... — przerwał święty.

— Za dużo żądasz! — zawołał Stwórca — Ale ponieważ poznałeś istotę szczęścia i ponieważ cię miłuję, przeto przychyliam się do twojej prośby. Po śmierci męża pierwszego, ześlę drugiego na ziemię.

Szczęście

— A gdy drugi umrze? — pytał święty dalej.

— Tego za wiele! — wykrzyknął Stwórca. Po chwili jednak dodał — No, niechże będzie! Nudzisz mnie, ale zrobmy układ. Możesz liczyć na to, że będę zsyłał na ziemię co sto lat posłańców moich, nauczycieli szczęścia, którzy póty głosić będą twoje nauki, aż przenikną do serc ludzkich i zakorzenia się w nich. Myślę żeś nareszcie zadowolony? Co?

— Dziękuję Ci Przedwieczny! — powiedział święty mąż — Jestem mniej więcej uspokojony. Nie wiem tylko, czy ludzie będą tych nauczycieli szczęścia należycie rozumieć.

— Na to już ja nic nie poradzę! — odparł Stwórca świata — Wszakże oni nie rozumieć twoich własnych nauk!

Rozplakał się święty mąż, pokłonił się panu Bogu i powędrował przez świat, aż zaszedł do tego oto kraju. Czuł, że się zbliża jego godzina, usiadł tedy tutaj oto na tej polanie i rozpoczął objawiać następcy swemu, którego mu Bóg przysłał, jaką jest nauka szczęścia, którą ma głosić ludziom, a bardziej jeszcze, jakimi sposobami może trafić do serc ludzkich.

Uczeń słuchał pilnie i powtarzał wiernie słowa świętego męża, a gdy już wszystko umiał dokładnie na pamięć, przyszła na starca wielka niemoc.

Kiedy uczuł, że umiera, powstał i podpierany przez ucznia trwał na modlitwie. Chciał, by go anioł boski zastał gotowym do drogi, nie zaś gnuśnie leżącym na ziemi. Stał długo zamodlony, nic nie jedząc, ani nie pijąc. I z każdą chwilą coraz to bardziej więzy ziemskie opadały z niego, czuł w sobie niezmierne wewnętrzne przeistoczenie. Zatraciła się gdzieś niemoc ciała, przestało mu ciężko i ciągnąć ku ziemi. Im dłużej stał, tym bardziej czuł się lekkim, miał wrażenie, że unosi się w powietrze. Dosłownie opuszczał ziemię. Ale i w tej chwili nie zapomniał o ludziach i modlił się, by im uprosić łaskę zrozumienia nauki i przykładu następcy, jakiego im przygotował.

Pewnego dnia rozkazał temuż następcy, by położył u stóp jego kamień!

— I po cóż to? — spytał tenże.

— Nie pytaj, ale uczyni, co mówię! — rozkazał i dodał — Rozkazuję ci i zalecam. Gdy będziesz umierał, niech uczeń twój i następca położy obok tego pierwszego, drugi kamień... rozumiesz?

— Rozumiem!

— Ale tylko jeden, nie więcej!

— Rozumiem, ale jakież cel tego?

— Nie pytaj! — odpowiedział święty i zatopił się znowu w modlitwie.

Pewnego ranka, kiedy uczeń spał jeszcze, zmarł święty mąż. Ale nie upadł na ziemię. Za łaską boską stało się, że trwał dalej, stojąc...

— Oto wszystko moi mili, co wam mogę powiedzieć — kończył starzec — Od czasu onego przeminęły tysiączne lata. Nie wiem sam naturalnie, gdzie kończy się legenda, a zaczyna prawda oczywista. Jest to niepodobieństwem. Objawiłem wam naukę i spełniłem swoją powinność. Szczęśliwi, którzy zrozumieli.

Podczas gdy mówił, zbliżali się doń pielgrzymi coraz to bardziej. Uczynił się ścisk. Wszyscy przelewali łzy radości, niektórzy całowali rąbek jego szaty, inni kamienie ołtarza i czarne drzewo słupa.

Człowiek z toporem był także wzruszony. Nie mógł się temu oprzeć. Po chwili jednak zbliżył się do starca i powiedział stłumionym głosem:

— Czcigodny ojcze! Muszę ci coś ważnego objawić. Posłyszałem bardzo złowrogie i groźne rzeczy, podczas gdy spałeś.

— Któż ty jesteś mój synu? — spytał starzec. — Nie zaliczasz się, widzę, do rzeszy pielgrzymów.

— Jestem Człowiek z toporem, któremu poruczono czynność bogobojną i świętą.

— Wykonaj ją tedy mój bracie... wykonaj wedle najlepszych sił twoich...

— Posłyszałem rozmowę... — ciągnął dalej przybysz — Złe duchy naigrawają się okrutnie z tych ludzi. Istnieje tu w pobliżu gdzieś miejsce nieludzkiej karni, gdzie biorą tych nieszczęsnych na męki. Widziałem jednego, któremu się udało uciec. Biegł od tej właśnie strony, ku której zwrócone jest ramię drogowskazu.

— Drogi synu... — odparł łagodnie starzec — Mylisz się, to wcale nie jest drogowskaz. Legenda powiada, że są to szczątki doczesne ciała świętego męża, o którym opowiadałem, jego ciało z ramionami wzniesionymi w niebo. Ale w rzeczy samej są to

Religia

jeno resztki drzewa zbutwiałego. Świętość każdej relikwii tkwi jeno w sercu wiernego. Jest to ciało symbolu... strzeż się brać je za formę rzeczywistości... strzeż się, powiadam ci, źle rozumieć...

— Wszystko jedno... czcigodny ojcze... nie dozwól, by ludzie ci udali się w tym kierunku... tam czeka ich śmierć!

— Ludzie uczynią, jak mówi nauka, nauka, którą słyszałeś, jak inni. Czyż zrozumiałeś moje słowa? Dziwny z ciebie człowiek! Czyż nie ubiegasz się o szczęście, jak ci wszyscy?

— Spełnienie obowiązku... oto moje szczęście! — wykrzyknął dumnie.

— To samo czuję i ja! — zgodził się starzec.

— Źle spełniasz swój obowiązek, ojcze czcigodny! — powiedział twardo Człowiek z toporem.

— Źle! — zdziwił się.

— Powinien byś ochronić tych ludzi od mąk, które płyną ze złego zrozumienia symbolu! Obowiązkiem twym jest powiedzieć im, że treść nie kryje się z formą, że nauki nie trzeba brać formalnie, ale wnikać w jej treść prawdziwą... powinienes... powinienes... bo ja wiem, powinienes ich ocalić...

— Nie rozumiem cię drogi synu! — rzekł starzec — Wszakże wszystko to powiedziałem ludziom i powtarzam ciągle...

— Drogowskaz, czy rzecz, którą za niego biorą, to jakaś poczwarna ironiczna pomyłka, ohydna maska szlachetnej nauki, grymas wstrętny...

— Widzę, że nie rozumiałeś nauki! I ty jej nie rozumiałeś. Powtarzam: szczęśliwi, którzy zrozumieli. A inni... inni pójdą i wrócą... będą wracać, aż zrozumieją. Tak powiedział Stwórca świata.

— Ale te męki...

— Są one częścią nieodłączną nauki. Zło jest jednocześnie głupie. Mniema, że zdolne uczynić coś przeciw dobru... Nie! To nieprawda, ono jest bezsilne... bezsilne, choć prędkie porywcze i ludzące pozorami. Ale dosyć tego...

Odwrócił się od niego.

— Słowo... jedno słowo tylko! — zawołał Człowiek z toporem.

— Mów... ale prędko!

— Kiedyż ludzie zrozumieją nareszcie?

Starzec zwrócił się doń i objął go miłosnym spojrzeniem.

— Synu... synu drogi! — zawołał — Mówisz, jak ongiś mówił święty mąż.

— Odpowiedz! — zawołał.

— Onego dnia, gdy zgromadzone pod drogowskazem kamienie zakryją go — odparł uroczyście.

Zwrócił się ku pielgrzymom.

Tymczasem utworzyła się znowu procesja i zabrzmiał śpiew chóralny. Ludzie, płacząc ze wzruszenia, z oczyma zawieszonymi na sklepieniu niebios poruszali się uroczystym pochodem w kierunku wyciągniętej ręki drogowskazu.

— Stójcie! Ani kroku dalej! — krzyknął z całej mocy Człowiek z toporem.

Pochód sunął dalej, ani jedno spojrzenie nie skierowało się na wołającego, nikt nie zwrócił nań uwagi.

— Każ im stanąć! — prosił starca.

Ale starzec nie słyszał jego słów. Stał wyprostowany na kamieniach ołtarza. Oba ramiona unosił w górę i błogosławił idących.

— Na miłość boską, stójcie! — zagrzmiął ponownie i podniósł w górę topór.

Procesja płynęła dalej. Jawili się ludzie coraz to nowi, sunęły postacie mnogie, korowód nie miał końca. Śpiewali radośnie a poważnie, bez słów. Było to jakby harmonijny oddech duszy zbiorowej, pieśń tęsknoty. Nie było w tym słów, bo słowa nie mogły wystarczać w tej chwili.

Starzec wydawał się słupem kamiennym, zastygł w bezruchu błogosławieństwa.

— Święta stali! — zawołał Człowiek z toporem. — Przeznaczone ci było ciosać czcigodne tramy na świątynię Bogu. Podnoszę cię oto w wielkiej sprawie. Niszcz majak kłamu, który zakrywa Boga, ciosaj święte tramy światłości, buduj świątynię Temu, którego imię prawda!

Jednym rzutem ciała wskoczył na ołtarz kamienny, podniósł topór, zamigotał iskrami w powietrzu i ciął strasznie w wyciągnięte ramię drogowskazu.

Stoczyło się po kamieniach z głuchym stukotem.

Pochód stanął jak wryty. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na świętokradcę. Dopiero teraz dostrzeżono go i tłum spoglądał zdumiony, osłupiały. Pieśń zgasła jak płomień zdmuchnięty. Martwa cisza ogarnęła polanę i las cały.

Jak strzał armatni padł w tę ciszę ryk tłumu. Skowyt rozręził wszystko wokół.

Korowód rozprysnął się na części, pielgrzymi otoczyli śmiałka szerokim kręgiem.

Stał spokojnie sparty na rękojeści topora, a spojrzenie jego skierowane było ku rzece, spozierał ku niej, ponad głowy tłumu.

Z warkotem śmignął przez powietrze kamień i uderzył go w ramię.

Zwisło zaraz bezsilnie.

Stał dalej, ściskając topór drugą ręką i nie odwracał oczu od rzeki, której migotliwe fale przebłyskiwały poprzez drzewa.

Posypały się nań kamienie gradem.

Były to kamienie ołtarza.

Upadł, a ciało Jego pokrywały z wolna głązy ciężkie, szare, ostre.

Jasna, połyskliwa, młodzieńcza jego krew migotała wesoło w słońcu.

Uczynił się nad nim wzgórek. Tłum szalał i miotał pociski.

Nagle wszystko umilkło.

Albowiem stała się rzecz dziwna.

Z oddali nadpłynęły dźwięki fanfary, radosne, skoczne tony pieśni, jakiej nie słyszano tutaj jeszcze. Nowe były, nieznanne, porankowi, który schodzi na świat, podobne, a stare, przastare jak słońce, które rodzi poranek.

Na falach rzeki kołysały się święte tramy dębowe. Płynęły z wiatrem, który dął w biały żagiel barki.

W szatach rozwianych, z wieńcem mirtowym na skroni stała Tęsknota u steru.

Krew

## *Lux perpetua*<sup>138</sup>

Szliśmy ku niemu poprzez noc. Szliśmy ku świecącemu przed oczyma... gdzie... nie wiadomo. Szliśmy, a wieki mijały, szliśmy, nie wiedząc nic prócz tego, że idziemy, że trzeba nam iść.

— Czemu?

— To pytanie gdzieś się zapodziało wśród pokoleń, zaginęło w ciemności, odeszło precz.

Szliśmy... idziemy.

Szliśmy po czerni niezmiernej, wielką falangą. Ciasno było, czuleś oddechy gorące, znojne czoła okrywał pot... wokół ciała, ludzkie ciała stłoczone w jeden kłęb, ogarnione jednym pędem ku czemuś, co przed nim. Zresztą<sup>139</sup> nic.

Tylko ono, to światło w dali tak zimne, obojętne, jak dalekiej gwiazdy ogromnej łyskanie, które nie daje ani jednego promienia idącym, nie oświeca nic... Tylko ono wiecznie oddalone tak, że mówią — ucieka przed pielgrzymami.

A pono<sup>140</sup> pod nogami przepaści.

Nie wiadomo dobrze gdzie są, tylko czasem krzyk strachu się rozlegnie i wydaje się, jakoby ktoś przepadł.

Przestronniej robi się chwilami.

— Kiedyś dopiero cała gromada przepadła! Słyszę głos jakiś tępy, zaaferowany, a twar-  
dy.

— Eee nie! — odpowiadam — Nie! Pewnie jeno poszli na bliższe ścieżki...

— Taaak? — dziwi się ktoś koło mnie. Słyszę szmer zmieszanych głosów, żywą rozmowę.

<sup>138</sup>*lux perpetua* (lac.) — nieustające światło. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*zresztą* — poza tym. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*pono* — podobno. [przypis edytorski]

— Nowe ścieżki... bliższe ścieżki...

Śmiechy wybuchają, szepty szemrzą.

Powstały „nowe, bliższe ścieżki”. Narodziła się nowa prawda. Czuję, że jestem obecny na chrzcinach nowej prawdy. Wiem, do jakiej wejdzie klasy prawd, działu, widzę jakieś widowisko, jakby w teatrze, słyszę jakąś muzykę, głos mówcy. A wszystko to jak we śnie, niejasno, ale pewnie znaczy: „Bliższe ścieżki”. Narodził się symbol nadziei.

Kto to uczynił we mnie, myślę.

I jak we śnie wiem zaraz: Tęsknota.

Ciemno. Przez chwilę nie widziałem, ciemność, zajęty wraz z nimi nowym kłamstwem, ale teraz... boli.

— O, jakże boli ciemność! — mówi sąsiad po lewej.

Zamykam oczy i zaraz mi lepiej.

— Zamknij pan oczy! — radzę — W ogóle... nie wiadomo, na co są oczy... Czy może potrzebne będą tam... Organy... na potem...?

Krzyk.

— Zapadł się człowiek pod ziemię!...

Wyciągnąłem rękę... nie ma go... przepadł.

— Morderca! — powiada ktoś nieśmiało, a zawistnie.

— Morderca! — podejmuje kilka głosów z przekonaniem.

— Wszakże nic nie widać! — broni mnie jakiś dziecięcy głosik.

— Morderca! — huczy wokół, tak pewnie i harmonijnie, że powtarzam razem z tłumem:

— Morderca!

— Umyślnie kazał mu zamknąć oczy!

— Umyślnie! Ciasno mu było!

— I to w najgorszym miejscu.

— Strzeżcie się mordercy!

— Zabił go! To zazdrość. Silny był. Mógł dojść... tam.

— Mógł zażegnać pochodnię od Wiekuistej Światłości...

— Silny był. Mógł dojść.

— I poświecić nam...

Jakże naraz stało się przestronno<sup>141</sup>. Nie dowierzają mi ludziska.

Nagle potknąłem się i jednocześnie uczulem pod stopą krawędź skalną. Noga, jakby miała oczy, zobaczyła śmierć.

— Stać! — krzyknąłem. — Przepaść!

Ścichły kroki. Ale nie, ktoś idzie dalej. Wyciągnąłem dłoń.

— Stać!

Dotknąłem ramiona czyjegoś. Ręka, czułem, trzymała gruby kij.

Sąsiad szukał swym grubym kijem stoku. Posunąłem po nim ręką, kierując w stronę właściwą.

— Ot, tutaj, widzi pan! Tutaj...

— Hm... to nic, to niewielka dziura.

— Ależ tam... tam...

Dziwny jakiś kij, pomyślałem. Na końcu ma daszek lejkowaty, zaś pod daszkiem gruby hak. Drugi hak sterczy na końcu.

Latarnik jakiś, czy co?

Obeszliśmy, widać, szczęśliwie szczelinę, bo nikt nie płacze pomarłych swoich.

Idziemy. Bliżsi rozważają minioną przeszkodę.

— Ho, ho! — powiada jakiś facecjonista<sup>142</sup>. — Nie takie braliśmy z nieboszczykiem panem Hieronimem, świec Panie nad jego duszą. Pamiętam, było to jakoś w Zapusty...

Z dalszych szeregów dolata<sup>143</sup> wołanie:

— Morderca! Morderca!

Ale słowo już mdłe jakieś, spóźnione, nic nie mówi.

<sup>141</sup>przestronno — dziś raczej: przestronnie. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>facecjonista (daw.) — dowcipniś. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>dolata (gw.) — dolatuje. [przypis edytorski]

Śpiew słyhać: pieśń w ciemności, to niemal jasność.

Ścieżyny bliższe, ścieżki nowe kędyżeście, kędy?  
O ścieżki tajemne, gdzieżeście? Któż był ten mąż, który was wyszedził?

Gdzież te nadzieje się narodziły, kiedy? Nie wiem sam nic, jak i oni. Tylko mi coś poczyną rozwijać w piersiach skrzydła, coś powstaje. Śpiewam wraz z tłumem:

Czy obiegacie ziemię wokół po twardych rozwinięte skałach?

Słyszę płacz kobiet tęskny i bezmyślny bek dzieci. Słyszę stąpanie wielu stóp, jakby po wodzie... Czy to nie fala łez przelanych?

Ty, któryś znalazł bliższe ścieżki, witeziu<sup>144</sup> nasz... niech się stanie Królestwo Twoje... Niech będzie Wola Twoja... władaj... prowadź... rządz na wieki wieków Amen...

Podnoszę się na palcach, wyciągam się wysoko, posyłam wzrok na ciemń... Gdzieś, tam... na przedzie... On... odkrywca pewnie musi kroczyć na czele tłumów, obwołany królem... Czuję gorący oddech sąsiada.

— Czy sądzisz obywatelu, że tam coś w ogóle zobaczymy? — pyta ktoś szeptem.

— Oczywiście... naturalnie... — zapewniam, cały zaszuchany jeszcze w pieśń.

— Tak? — pyta.

— Hm... to jest... przypuszczam... — powtarzam i czuję, że znów mdleje we mnie światło i radość.

— Przypuszczasz... hm... ano to mało obywatelu... mało... Ale przypuśćmy, że tak jest. Tedy pytam: cóż my tam zobaczymy?

— Ot, nic nie wiedzą! — mówi ktoś za nami.— Mówilem ci, nie wiedzą zgoła nic. Bo zresztą...

— Dajże spokój! Wszak słyszałeś, jak mówił: oczywiście... naturalnie...

— Światło zazwyczaj coś oświeca... po cóż by istniało! — wołam rezolutnie... — Wszyscy filozofowie...

— Thiii! Powiadasz tedy...

— A widzisz! — woła tryumfująco ten z tyłu. — Powiedział, że światło zazwyczaj coś oświeca. Poparł swoje twierdzenie świadectwem wieków myśli ludzkiej...

— Ładne poparcie! — wykrzyknął nagle jakiś desperat. — Zupełnie jak z tym Cyganem, co się świadczył własnymi dziećmi.

— To wariat. Nie zważajmy — ozwał się jakiś cichy głos przede mną. — Więc tedy twierdzi pan... no, ale gdzież dowód, gdzie jakiś namacalny dowód, że empiria nasza nie traci swych praw tam... uważasz pan... tam, poza szrankami poznawalnego... ha?

— Dowód... dowód! — rozległo się wokoło. Umilknałem, kryjąc się w ciemności, podczas gdy wokoło wrzało. Pochód zwichrzył się na chwilę.

Nagle tuż przy mnie posłyszałem szept:

— To ty?

— Dzięki Bogu. Znalazłeś mnie...

— W tym zamieszaniu...

Rozległ się odgłos pocałunku, raczej domyśliłem się tego odgłosu. Czegoś się oboje bali, widać. Pośród tych mąk po ciemku, ludzie mieli czas bronić sobie jeszcze pocałunku, uścisku, związków wedle woli, kaprysu nawet... dziwni ludzie...

— O pani — szeplecił teraz jakiś głos niedaleko. — Widzi pani tedy, że wszystko to są to tak zwane „legendy o Wielkiej Światłości”, utwory fantazji, przez wieki wytwarzane, budowane, spojone w gmach jednolity, piękne, szlachetne nawet w swej naiwnej, pierwotnej formie, przynaję... w jakimś tam wieku trzynastym porywające nawet, ale dziś, teraz...

— Więc czemuż wyszliśmy? — spytała kobieta.

— Paradne! Nie, pani na serio zachwycająca jest w tej swojej dziecięcej naiwności. Dlaczego wyszliśmy? Po pierwsze... ot tak z wewnętrznej<sup>145</sup> ochoty... a po wtóre... po prostu

<sup>144</sup>witeż (daw.) — dzielny rycerz, wojownik. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>wnętrzny — dziś: wewnętrzny. [przypis edytorski]

wytrzymać w domu nie było sposobu... Te ciągle ciemności, ta czerni ciężąca na myśli, całun rozciągnięty na duszy... a pod nogami te nieznanne, niepewne, śliskie rzeczy jakies! Tu przynajmniej...

— Ta jasność daleka, która choć nic nie oświeca przed nami, jednak...

— Pani myśli: ten śpiew o jasności, ten wid cudu... prawda?

— Więc pan widzi, ot, tam...?

— Zachwycająca... zawsze zachwycająca... Ta wyobraźnia...

Więc zapomniałaś już pani? To, co widzieć się daje na ciemni, to jest projekcja stanów subiektywnych, obiektywacja ich, eksterioryzacja, powiedzmy fotografia uzewnętrzniona na przestrzeni... Jednym słowem jeno coś, czego nie ma zgoła realnie, faktycznie, obiektywnie. Dla istot innych, niżej albo wyżej ludzi stojących prawdopodobnie nie istnieją wcale te kształty i blaski, które my zwiemy: światłem. Więc możemy to wszystko jeszcze nazwać chorobą ludzką, epidemią, jaka grasowała na tym, a tym stopniu rozwoju istoty zwanej *homo sapiens*... Pani mnie rozumie? Ach! Cóż do diabła! Uważaj durniu jakis!

— Cóż to panu?

— Jakis cymbał trącił mnie w głowę drągiem. Ouu! To gorzej, że na końcu było coś żelaznego, jakis hak, czy coś... Latarnik przeklęty! Z gasidłem wybiera się na procesję... Bałwan! Pani się śmieje? Cieszy mnie ten doskonały zawsze humor...

— Więc pana boli?

— Oczywiście...

— Pocieszam się, że jest to tylko stan subiektywny, który właściwie realnie, faktycznie nie istnieje, wszak prawda?

— Nieporównana! Zachwycająca! Co za dowcip!

— Powiedz mi pan — nalega sąsiad z prawej — co możemy tam zobaczyć... tam... wiesz pan? Mów pan do ucha.

— Nie wiem.

— To wiem i ja. Ale co panu powiada nauka?

— Nie jestem uczonym.

— Inteligencja... zdrowy rozum... przecucie? Co powiadają?

— Że możemy ujrzyć tam albo rzecz pomyślną, zgodną z naszymi tęsknotami...

— Albo zaprzeczenie ich i tragedię ostatnią... tak?

— Tak jest. Albo nic. Po prostu coś, co z nami nie ma nic wspólnego.

— Jak to? Nic wspólnego? Więc bezcelowymi byłyby te tęsknoty odwieczne...

— Przede wszystkim nie są odwieczne, a po wtóre kwestia celu jest jeno zbyt pospiesznym uogólnieniem faktów zaobserwowanych w życiu osobniczym. Nie da się zaś zastosować do wielkich kwestii bytu.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — rozległo się wołanie. — Dwaj mędracy się zeszli i rozważają nasze przeznaczenie.

— Jak to, nie są odwieczne? — dziwił się sąsiad z lewej strony.

— Nie. Tak mówi zoologia.

— To nie dwaj mędracy! Nie! To mędrzec i jego uczeń. Wszak słyszycie, że jeden wciąż pyta, a drugi mówi.

— A który mądrzejszy? — kpił ktoś inny.

— Obaj osły kwadratowe! — krzyknął ochryply człowiek.

— Oszała! Cicho bądź, cymbale! Pijanico!

Odwróciłem się i mówię:

— Ten pan ma wiele racji, tylko trochę przesadza. Powinien był powiedzieć: dwaj poszukiwacze prawdy, dwaj miłośnicy jasności, męczennicy dociekań... Na czymże to stanęliśmy? — spytałem sąsiada.

— Na kwestii metody.

— Ach! O to panu idzie. Więc powiedzmy na kwestii, jak należy postawić tezę istnienia samego problemu Wiekuistej Światłości... prawda?

— Tak. Bowiem nie spostrzegam rzeczy pewnych i niezmiennych.

— Widzicie, że to dwa osły. Miałem rację. Nie chcieliście mi wierzyć... Ha?

— Może i tak być...



— Jest tak, jak powiadam. Ja, panie święty, mam zawsze rację... Zawsze. Tylko psia-kość, panie święty, gdzieś mi się zagubiła droga do karczmy. Zabłądziłem, panie święty...

— Więc pan ośmieliłbyś się podać w wątpliwość trwanie Wielkiej Światłości... Więc pan... Ach, Jezus Maria!

— Co to panu?

— Wbiłem sobie coś w nogę... O!

— Czekaj no pan, zejdziemy na bok. Proszę o miejsce dla chorego. Na bok moi państwo. Przepraszam...

Znaleźliśmy się na wolnej przestrzeni opodal głównego koryta płynących fal.

Mój ranny przestał narzekać.

— Panie łaskawy! — szepnął — Nie wbiłem sobie niczego do nogi. Chciałem tylko oddalić się od sąsiadów, by z panem swobodnie porozmawiać.

— Przykro mi, ale nie mam czasu! — zawołałem z trwogą. — Spieszę się bardzo, a i panu radzę nie tracić ani chwili drogocennego czasu. Nic tego nie nagrodzi!

— E, cała wieczność przed nami! — odparł.

— Nie znamy dnia ani godziny, mój panie!

Porwał mnie za ramię.

— Cóż znaczy to wszystko? Co to znaczy? — krzyczał nade mną.

Trząsał się na całym ciele.

— Powiedz mi pan zaraz! Te półsłowa napawają mnie wielkim niepokojem... mów pan!

— Wracajmy — odparłem — Nie traćmy ani chwili życia. Lada moment bowiem może stać się coś okropnego...

— Co!? — wrzasnął.

— Może stać się wokoło nas tak straszliwie ciemno... tak ciemno, że słów nie ma w ludzkim języku, ani krzyków w ludzkim gardle, ani serce tak mocno ze strachu bić nie potrafi w piersi.

Zerwał się i uciekł ode mnie.

Jeno to miałem na celu, jeno to. Źle jest cierpieć wraz z natrętnym sąsiadem. Wmieszany w tłum szedłem po chwili spokojnie.

Cicho płynęła pieśń o ścieżynach bliższych. Była jakby skrzydłem anioła, co zasłania przepaść śmierci. Dziękowałem Bogu, że przeze mnie to uczynił.

Zatopiony w rozważaniu prawdy i kłamstwa, owego podwójnego oblicza Boga życia doczesnego, szedłem, a ponad mną, niby sztandar, wiła się pieśń owa, pieśń-kłam o ścieżynach bliższych, wolnych od zasadzek, witeziu jakimś niewidzialnym posłanym przez Wiekuistą Światłość ku pomocy idącym.

Czasem także sły szmery o mordercy, który przebija nożem każdego, kto się doń zbliży. Czasem opowiadał ten i ów o sporze proroków, z których jeden był fałszywy, a drugi prawdziwy. Pono stoczyli ze sobą walkę o władanie światem. Walczyli długo, aż prorok prawdziwy pożarł fałszywego. Radość wielka zapanowała na moment, a sama Światłość wiekuista miała tak się ucieszyć, że, jak mówiono, rozsiała swe blaski po ziemi. Zalała świat jasność, ale tak była preraźliwa i krótka, że nikt nie skorzystał z błyskawicy... Pono tylko mąż zabić miał czas niewierną przysiędź żonę, no i pijak trafił do karczmy. Tyle wszystkiego dobrego się stało. Sły legendy różne, pelzły cicho, nie rozgłośnie, jak szmer fal rzeki podziemnej, co płynie niedostrzeżona ku morzu wiecznego zapomnienia.

Jakby mnie od nich, od tych idących pośród ciemni oddzieliło coś nieznanego, zostałem sam w ścisku. Nikt do mnie nie mówił, nie dyskutował ze mną, nie pytał o nic. Anim wiedział, czy jest kto obok, ani oni nie zdawali sobie pewnie z tego sprawy. Zostało tylko jakieś głuche, niepewne uczucie, że otom część z części, atom masy całej, kropla fali.

Nic ponadto.

Jako kropla bezwiednie toczyłem się naprzód niezdolny zboczyć, nie chcąc, nie mogąc chcieć, chyba w fantazji czasem... przez ten sen, który zowią rozumowaniem.

I naraz uczulem... (a może trwało to już czas jakiś, tylko teraz uświadomiło się...) uczulem, że kroczy ktoś koło mnie z intencją zaczęcia rozmowy, z zamiarem powiedzenia czegoś ważnego.

Coś nas dzieli, czulem, coś nas dzieli, niepotrzebnie dzieli, albowiem należałoby wyświecić bardzo ważną rzecz.

Milczenie nas dzieli, pomyślałem i począłem śpiewać wraz z innymi. Głosy płynęły harmonijną, szeroką falą. Pieśń o nadziei była już teraz samą nadzieją. Akordy spiętrzyły się w ruchome kształty, jak fale morza, a na nich zamigotał żagiel, nie... rycerz płynący na białym płaszczu swoim, witeż opowiadany, a teraz już dopełniony, ożywiony tęsknotą i postawiony na czele tłumów idących po ciemni... Był już, czulem, widziałem go nieledwie, i śnił mi się szum sztandaru, który trzymał w ręku.

Śpiewaliśmy chwałę jego, pobudkę bohaterowi nuciły serca.

I ciągle ten jakiś człek, tuż przy mnie, a daleki, obojętny, a złączony z moimi myślami.

— Tak, tak! — począł mówić w tej chwili — Złączony jestem z twymi myślami obywatelu, podobnie jak i tamten, ów na przedzie... Hej, hej! Jednegośmy wszyscy rodu, po prawdzie, jednego!

— Cóżżeś to pan zacz?

— Sługa waszmości, ba, dziecko rodzone! Przypuszczenie jestem, które było na tyle śmiałe że wzięło na siebie formę widoczną. Mogłem być tym, mogłem być owym, wisiałem ponad ludźmi jako możliwość jeno... Tyś rzekł... no i stałem się. A mogę być jeszcze czymś innym...

— Dialektyka po ciemku mnie nie bawi.

— Po ciemku mówisz? O, nie wiesz, co znaczy ciemno... A wszak myślałem, że wiesz. Przecież mówiłeś: „...tak ciemno, że słów nie ma w ludzkim języku, ani krzyku w ludzkich piersiach, ani serce ze strachu tak bić mocno nie potrafi” ... Wszak tak mówiłeś? Otóż posłuchaj... Myślę, że coś się wielkiego stanie?

— Cóż takiego?

— Słabe wyginą od ciemności. To jest tajemnica Sądu.

— Czemu?

— To pytanie stworzyli ludzie. Nie ma go wcale.

— Nieprawda. Ja nie chcę. Ja zniszczę wszystko, co jest w tobie. Wszak mogę cię unicestwić, gdy zechcę.

— Mogłeś. Teraz już nie. Patrz...

— Czekać!

Uczulem, że jego ręka z gasidłem wyciąga się ku stronie, gdzie błyszczą nadzieja nasza, przeto chwyciłem ją, ściągnąłem ku ziemi i zawołałem głośno:

— Hej! Stójcie! Stójcie!

Chwała ci jasny na ciemności, chwała bliski zwycięstwa, w przededniu szczęścia witamy cię pokłonem my, umęczeni drogą niezmierną...

Nie słyszeli.

Zaparłem się nogami w ziemię, wbilem plecy w postępujących za mną i przejęty przerażeniem wołałem:

— Hej! Stójcie! Stójcie!

— Na bok! Na bok! Nie tamować ruchu!

— Z drogi! Z drogi!

Pociągnęli mnie ze sobą.

— Pomrą — jęknąłem — poszaleją zaraz w pierwszej sekundzie! Co zrobić? Co zrobić?

— Sięgam! Patrz! Idę! — mówił straszny człowiek.

Krzyknąłem i zaraz oprzytomniałem pod silnym wrażeniem.

Co za głupstwo. Co za głupstwo!

Strach przywiódł mnie do równowagi. Uczulem bezsens własnej halucynacji.

Wyciągnąłem ręce przed siebie i dotknąłem ludzi żywych. Złudzenie. Głupie złudzenie.

— Więc sprawa załatwiona?

Filozof

Filozof, Kondycja ludzka

— Oczywiście. Za godzinę dostaniesz pan zadatek. Doskonale, do widzenia.  
Słyszałem znowu rozmowy. Finał jakiegoś interesu pieniężnego. Roześmiałem się.  
Więc ludzie załatwiają jeszcze interesy finansowe... dziwni ludzie...  
Było mi teraz raźnie, wesoło niemal. Jakaś zmora usunęła się z piersi moich.  
Z ufnością, jak nigdy dotąd, spojrzałem przed siebie, ku owej nadziei kroczącej przed nami w niezglębione dale.  
Naraz ziemia zatrzęsła mi się pod nogami. Coś białego spadło na głowę. Uczulem, że kolana ugięły się, w piersiach zabrakło tchu. Skamieniało wszystko, nawet ból...  
Huk jakiś w głowie... zimno...  
I znowu dobrze. Znowu dobrze.  
Życie ruszyło naprzód... naprzód... świat się zachwiał, ale nie padł jeszcze martwy...  
To tylko „ono” zachwiał się na małą chwilę...  
Świat wydał jęk, stęknienie. Przeleciał wielki głaz, z wirchu oberwany, przeleciał blisko, bliżutecznie, musnął człeka i z cichym szelestem, po trawach zesunął się w przepaść. Jękła pierś ocalonego, zawyło pierwsze odetchnienie samo z siebie, gdy rozum jeszcze niczego podjąć nie zdołał.  
Trawy załopotwały i tyle. Nie zrozumiały niczego.  
I oni nie spostrzegli nic. Przeminięło, przeminięło szybciej, jak lata, jak zdolny był latać ich strach, ciężkie, niezdarne ptaszysko o nietoperzych skrzydłach.  
Więc nie można ich przygotować na zło.  
Nie można.  
Także nie trzeba im innego pokazywać szczęścia. Nie poznają twarzy obcej.  
A gdyby nawet to wszystko, co zwie się nadzieją, gdyby nawet Wiekuista Światłość zagasła, szliby dalej ku niej, wpatrzeni w nią, jak patrzą na gwiazdę przed wiekami spaloną; której promienie dawno, dawno wysłane ku ziemi, nie dobiegły dotąd, nie sięgnęły w ten zakątek daleki, gdzie płynie fala głów po ciemni, gdzie brzmi rozlewna pieśń o bliższych ścieżkach, ku uciekającemu mirażowi wiodących.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, *Tropy*, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0548-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).